NATIONAL GEOGRAPHIC

Niepublikowane zapiski
z pamiętnika
dziennikarki telewizyjnej

Elżbieta Piętak
Dariusz Piętak

LHOTSE '89

Kukuczka marzył o zdobyciu wszystkich czternastu ośmiotysięczników. To marzenie się spełniło. Gdzie więc jeszcze tak gnał? Przyzwyczajenie, radość ze zdobytego szczytu, spokój i ukojenie, jakie daje obcowanie z górami, przyrodą, a może coś więcej, coś jeszcze, czego nie pojmiemy. Tę wiedzę miał tylko on. Mają ją wszyscy, którzy zdobywają „swoją górę".

Ostatnia wyprawa Jerzego Kukuczki

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Elżbieta Piętak
Dariusz Piętak

LHOTSE '89

Ostatnia wyprawa **Jerzego Kukuczki**

NATIONAL GEOGRAPHIC

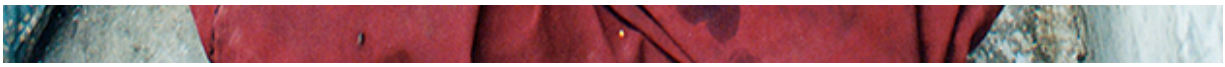

Dariusz Piętak

Spis treści:

Okładka
Karta tytułowa
Część I
- Telefon
- Zaproszenie
- Początki
- „Obca”

Część II
- Przygotowania
- Lhotse

Część III
- Zapiski z Lhotse ’89

Część IV
- Radio
- Wycinki
- Pamięć
- Wypadek

Część V
- Celina

Część VI
- Posłowie

Karta redakcyjna

Dariusz Piętak

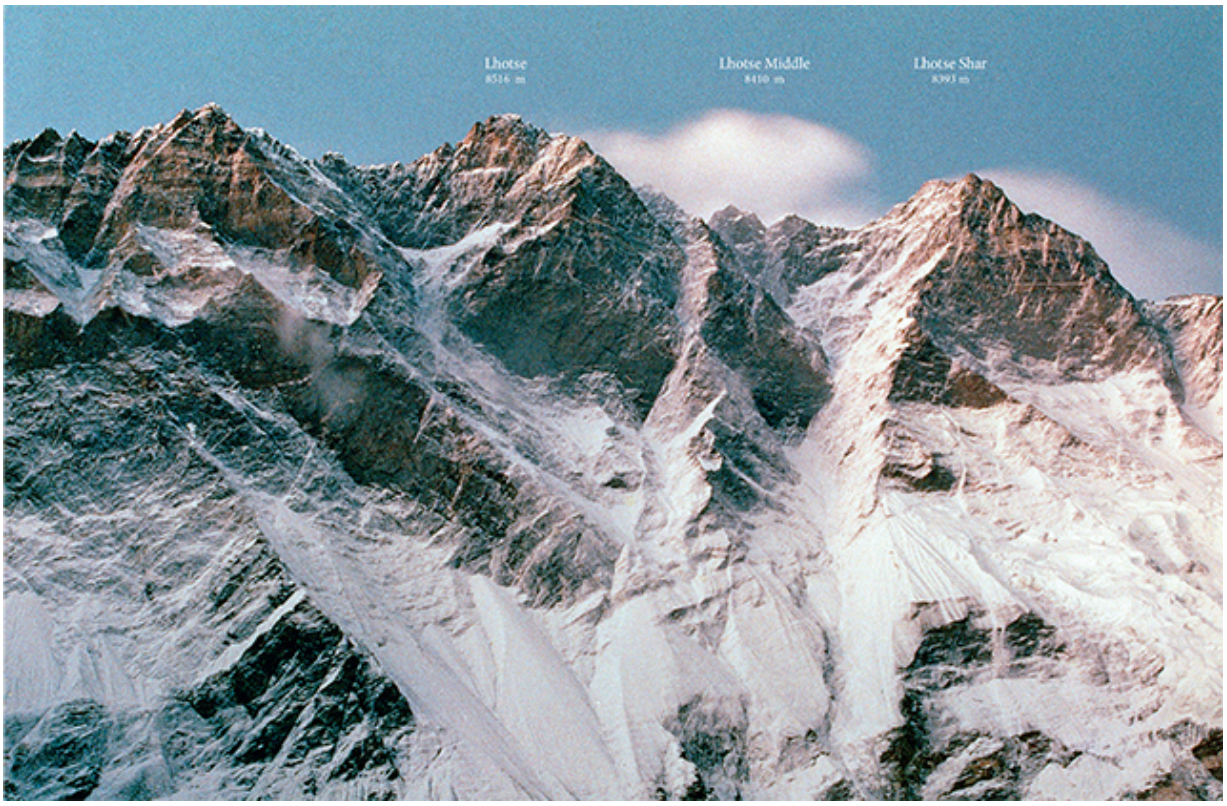

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

Największym urokiem świata jest urok drugiego człowieka.

Zofia Nałkowska

CZĘŚĆ I

Telefon

Dwa razy w swoim życiu miałam szczęście spotkać Anioły.

Jednym była moja babcia – „Maleńka”. Nie wiem, dlaczego tak ją nazywaliśmy, bo wcale nie była taka mała. Piękna z urody, miała kruczoczarne kręcone włosy, ale przede wszystkim była piękna z serca. Zawsze uśmiechnięta, nigdy się nie denerwowała, nie podnosiła głosu. Mało tego, dla wszystkich miała dobre rady i rozwiązywała każdy problem.

Kochałam ją bardzo.

Nawet nie myślałam, że po wielu latach uda mi się spotkać Anioła numer dwa.

Była to Celina Kukuczka, żona Jerzego Kukuczki, wybitnego polskiego alpinisty i zdobywcy wszystkich czternastu ośmiotysięczników świata.

Każdy z nas ma swoje typy Aniołów. Każdy inaczej postrzega drugiego dobrego człowieka. Ja właśnie tak postrzegałam Celinę. Nie znałam jej dobrze. Spotykałyśmy się okazyjnie, rozmawiałyśmy przez telefon, a jednak w jej obecności odczuwałam niezwykłe ciepło i życzliwość dla ludzi. I ten niesamowity spokój.

W wielu publikacjach czytałam, że w sprawy ekspedycji Jurka właściwie nie bardzo się angażowała. Ja odniosłam zgoła inne wrażenie. Pomagała, i to bardzo. To przecież na jej barkach spoczywał cały trud organizowania życia rodziny, gdy on wyjeżdżał na swoje wyprawy.

W 1987 roku Jerzy Kukuczka zdobył ostatni z ośmiotysięczników.

W Telewizji Katowice, gdzie wówczas pracowałam, robiłam wtedy już od wielu lat magazyn *Góry*, którego Jurek był częstym gościem.

Pewnego wieczoru odebrałam telefon od Celiny. Powiedziała, że następnego dnia nad ranem wracają uczestnicy wyprawy na Sziszapangmę (8013 m n.p.m.). To właśnie był Jurka ostatni, czternasty ośmiotysięcznik. Wielki sukces. Cała Polska szalała, a dziennikarze koniecznie chcieli przeprowadzić z nim wywiad.

Celina przekazała mi wiadomość z nieśmiałą sugestią, że może bym przyjechała z ekipą telewizyjną na lotnisko. Oczywiście na lotnisko w Warszawie. Łatwo powiedzieć, trudniej zrealizować, i nie chodziło o samą drogę, ale o wiele innych problemów z tym wyjazdem związanych. Po pierwsze byłam chora – przeziębienie z temperaturą. Po drugie musiałam zorganizować ekipę – przynajmniej operatora i kierowcę, bo o komplecie z dźwiękowcem i oświetleniowcem nawet nie marzyłam.

Zgodziłam się. Cel był tyleż zacny, co oczywisty. Wiedziałam też, że Celina na mnie liczy. Zadzwoniłam do dyspozytury, czyli miejsca, w którym planuje się pracę ekip, z prośbą o kogokolwiek, kto zgodzi się jechać w nocy do Warszawy. Dyspozytorka powiedziała, że musi mieć zgodę naczelnego, inaczej nie kiwnie palcem. Zadzwoniłam więc do niego, a był już wieczór. Zgodził się bez wahania. Kilkanaście minut później oddzwoniła do mnie dyspozytorka i powiedziała rzecz nie do wiary: mogłam sobie wybrać operatora, bo wszyscy czterej, których pytała, byli gotowi jechać w nocy do stolicy. To było niesamowite, profesjonalne, przyjacielskie. I było mi wszystko jedno, czy robią to dla mnie, czy dla Kukuczki. Wzruszyłam się bardzo. Dla takich chwil warto żyć.

Już w drodze do Warszawy martwiłam się, że czeka mnie jeszcze rozmowa z obsługą lotniska, tak żeby ekipa mogła znaleźć się jak najbliżej uczestników wyprawy. Moje obawy były całkiem na wyrost. Po przyjeździe dowiedziałam się, że wszystko już załatwiono. Władze Okęcia zgodziły się, by ekipa telewizyjna powitała Jerzego Kukuczkę na płycie lotniska. Cud.

Wśród kolegów fotoreporterów i dziennikarzy radiowych czekaliśmy, aż drzwi samolotu się otworzą i wyjdzie nasz bohater. Celina oczywiście była razem z nami. Podeszła do mnie, pocałowała w policzek i szepnęła: „Dziękuję”.

Kiedy Jerzy Kukuczka wysiadł z samolotu, wszyscy rzucili się w jego kierunku. On najpierw uściskał swoją ukochaną żonę, a potem podszedł do mnie, rozgarniając po drodze niezły tłum, i powiedział tylko: „Fajnie, że jesteś”.

Południowa ściana Lhotse i miejscowe sasanki.

Elżbieta Piętak

Zrobiłam z nim bardzo krótką rozmowę. Po pierwsze dlatego, że mieliśmy z ekipą trzysta kilometrów drogi powrotnej, a po drugie wiedziałam, że jak Jurek już wrócił, to na pewno zgodzi się wkrótce być gościem w studio telewizyjnym i tam porozmawiamy znacznie dłużej.

Do Katowic pędziliśmy jak szaleni. Nie było wtedy telefonów komórkowych, więc nie mogłam informować ludzi w Telewizji Katowice, że jedziemy i że – jeśli tylko zdążymy – jako pierwsi w Polsce pokażemy materiał filmowy z powitania Jerzego Kukuczki.

Autorka Ela Piętak dokumentuje Katmandu.

Wpadłam do studia na kilka minut przed końcem programu regionalnego emitowanego w godzinach porannych. Nie było czasu na montaż. Prowadzącym był Wojciech Majewski – świetny dziennikarz sportowy. Zapowiedział mnie tak: „Proszę Państwa, dziś Jerzy Kukuczka wrócił do Polski jako zdobywca wszystkich ośmiotysięczników świata. Wiedziałem, że nasza redakcyjna koleżanka Ela Piętak jest chora, więc nie ma szans na ten materiał z lotniska. Ale dziś rano dowiedziałem się, że w nocy pojechała do Warszawy. Jako pierwsza telewizja w Polsce mamy dla naszych Ślązaków i Zagłębiaków ten materiał filmowy. Obejrzyjcie, proszę".

Byłam wdzięczna kolegom z redakcji, że czekali na nas do ostatniej chwili, i dumna z ekipy filmowej, bo zdjęcia wypadły bardzo dobrze. Już po emisji programu ucałowałam wszystkich, a najbardziej kierowcę za to, że zdążył.

Byłam wdzięczna Celinie za ten telefon.

Zaproszenie

Wiosną 1989 roku odebrałam telefon. Dzwonił Jurek Kukuczka. W krótkich żołnierskich słowach powiedział, że choć nie bardzo lubi jeździć z babami na wyprawy, to chce zrobić wyjątek. Zależy mu na tym, żeby zrealizować film z wyprawy na południową ścianę Lhotse, i chce, żebym ja go zrobiła. Ponadto chce, żebym zajęła się również promocją i może pisaniem jakichś artykułów z tego wyjazdu.

Odpowiedziałam, że czuję się zaszczycona, ale nie wiem, jak to będzie, bo dostałam zaproszenie na festiwal filmów górskich do Japonii i lecę tam w lipcu.

Odrzekł, że w takim razie muszę zrezygnować z Japonii, bo on chce, żebym poleciała w pierwszej grupie uczestników i pomogła trochę w Delhi przy organizacji wyprawy. Odparłam, że nie ma mowy, nie zrezygnuję z tak szczególnej okazji obejrzenia produkcji o górach, które tam będą prezentowane. Tak z zawodowego, jak i podróżniczego punktu widzenia była to dla mnie zbyt wielka sprawa.

Zapadła cisza. Spodziewałam się, że za chwilę usłyszę: „No to nie lecisz na wyprawę". W końcu odpowiedział, że dobrze. Polecę w drugiej grupie, ale z Japonii muszę wrócić wcześniej.

Świetnie.

Tą radosną nowiną podzieliłam się natychmiast z moim mężem Darkiem, wspinaczem i grotołazem. Gdy skończyłam mu relacjonować rozmowę z Kukuczką, widziałam po jego minie, że coś jest nie tak. Powiedział krótko: „No co ty, Kukuczce się nie odmawia".

Początki

Kiedy zaczęłam pracować w Telewizji Katowice, przez przypadek dowiedziałam się, że jeden ze starszych kolegów robi studyjny program ze śląskimi wspinaczami. Gdy usłyszał, że się wspinam w jurajskich skałkach, zaproponował, byśmy przygotowywali go razem. I tak się zaczęło.

Ela Piętak prowadzi autorski program telewizyjny *Planeta zawodowców*.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

Zrealizowałam kilkadziesiąt programów o górach i ludziach gór. Były to odcinki o charakterze magazynów, realizowane co dwa tygodnie. A w nich informacje o aktualnych wyprawach, wywiady ze wspinaczami, historie wypraw, recenzje książek i filmów. Czasem ktoś przysyłał mi swoje

filmiki nakręcone amatorską kamerą; były ciekawym uzupełnieniem programu.

Uczestnicząc w różnych spotkaniach o tematyce górskiej, mając bezpośredni kontakt z widzami i wspinaczami, wiedziałam, co ich interesuje i jaką problematykę poruszać. Największym wsparciem była dla mnie jednak wiedza Darka i moich kolegów wspinaczy. Bez ich akceptacji pewnie nie realizowałabym tych programów.

Z czasem *Góry* przekształciły się we *W górach* – były emitowane na antenie Telewizji Katowice, a potem powstało kilkanaście odcinków zatytułowanych *Alpinizm*, emitowanych na antenie ogólnopolskiej. Dzięki dobrym, wręcz przyjacielskim kontaktom magazynu *Góry* we Francji zdobyłam ciekawe filmy o przyrodzie w Alpach. Z Francuzami często wymienialiśmy się materiałami filmowymi. Dostarczałam im nagrania ze wspinania w górach wysokich, a oni z Alp. Dzięki temu program był nie tylko bardziej urozmaicony, ale przede wszystkim nabrał nieco światowego rozmachu, a nasi alpiniści byli pokazywani we francuskiej telewizji. Ten cykl realizowałam przez kilka lat.

Baza pod Annapurną, jesień 1991 – Ela Piętak i Wanda Rutkiewicz.

Dariusz Piętak

Naturalną konsekwencją mojego zainteresowania filmami o górach były podróże po świecie i oglądanie, a czasem ocenianie produkcji filmowych na różnych festiwalach. Miałam zaszczyt być jurorem na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Górskich w Antibes we Francji, gościem Festiwalu Filmów Górskich i Przyrodniczych w Hakubie w Japonii oraz jurorem w przepięknym Banff w Kanadzie. Otrzymałam też nagrodę za film na przesympatycznym Festiwalu w Teplicach nad Metuí (podobną nagrodę dostała także Wanda Rutkiewicz i razem wchodziłyśmy na scenę).

Festiwale dają ogromną wiedzę na temat trudnej sztuki, jaką jest realizacja filmu w bardzo wymagających, czasem wręcz ekstremalnych warunkach. Największym zainteresowaniem wśród wspinających się osób zawsze cieszyły się filmy dokumentalne, one też były najciekawsze. Filmy fabularne traktowano raczej jako ciekawostkę, nie zawsze bowiem wszystko było w nich zgodne ze sztuką wspinaczkową.

W Katmandu bloki mieszkalne często sąsiadują z zabytkowymi budowlami.

Dariusz Piętak

Pierwszym festiwalem, na który pojechałam, był ten we włoskim Trydencie, organizowany od 1952 roku. Uważam go za jeden z najlepszych w Europie, jest przygotowywany z rozmachem i doskonale zorganizowany. Wiele razy zapraszano na niego Jerzego Kukuczkę. Sama byłam świadkiem, z jak dużym szacunkiem go traktowano. W pewnym momencie pomyślałam nawet, że jest bardziej znany tam niż w Polsce. Nie sądzę, żeby Jurek miał dużo czasu na oglądanie filmów. Uczestniczył w różnych spotkaniach, podczas których opowiadał publiczności oczywiście o wspinaniu, i to nie tylko w górach wysokich. We Włoszech pozyskiwał również sponsorów, głównie sprzętowych. W 1989 roku wracaliśmy do Polski z festiwalu w Trydencie razem z Ryszardem Wareckim, kierownikiem organizacyjnym wielu wypraw himalajskich. Odbywaliśmy

drogę przez mękę Fiatem126p, zwanym przez wszystkich Maluchem. Samochodzik był wyładowany po dach sprzętem wspinaczkowym dla wszystkich uczestników wyprawy na Lhotse, pozyskanym właśnie dzięki Jurkowi.

W Polsce po raz pierwszy Festiwal Filmów Górskich odbył się w Katowicach w 1988 roku.

Za namową Ryszarda Wareckiego i Artura Hajzera dołączyliśmy z Darkiem do grona organizatorów dwa lata później.

W 1990 roku Hajzer został dyrektorem festiwalu, a ja dyrektorem artystycznym. Odpowiadałam też za media, kontakty z dziennikarzami, artykuły prasowe i tak naprawdę za wszystko, co Hajzerowi wpadło do głowy. A że głowę miał pełną pomysłów i duszę artysty, na brak zajęć nie narzekałam. Hajzer był nie tylko doskonałym himalaistą, ale i świetnym organizatorem. Zresztą grono osób, które z zapałem zabrało się do pracy, było spore i prawie wszyscy byli wspinającymi się ludźmi.

Uczestnikom festiwalu, którego już pierwsza edycja okazała się wielkim sukcesem, staraliśmy się zapewnić różnorodność, tak jeśli chodzi o dobór repertuaru filmowego, jak i imprez towarzyszących. Przygotowania pochłaniały mnóstwo czasu.

Podczas jednego ze spotkań w naszym domu w Dąbrowie Górniczej miało miejsce zabawne wydarzenie. Artur Hajzer umówił się z Darkiem na rozmowy o klasyfikacji filmów speleologicznych. Kiedy przyjechał, Darka jeszcze nie było, załatwiał w mieście jakieś festiwalowe sprawy. Zajęłam się przygotowaniem czegoś do picia, a Artur usiadł przy stole, na którym leżała otwarta paczka papierosów. W zasadzie nie palił, ale wiedziałam, że od czasu do czasu lubił pociągnąć dymka. Bardzo jednak nie chciał palić, dlatego nie nosił przy sobie papierosów. Zapytał, czy może się

poczęstować, na co odparłam, że jasne. Chwilę później rozległ się huk. Obejrzałam się przestraszona. Artur był cały obsypany tytoniem, miał go na włosach, twarzy, ubraniu – wszędzie. Zaczęłam się śmiać, Artur po chwili też. Przepraszałam go, ale nie chciał uwierzyć, że to było niezamierzone. Kilka tygodni wcześniej przywiozłam z Paryża różne śmieszne gadżety, które dostałam od francuskich znajomych. Jeden podobał mi się szczególnie. Był to mały strzelający kapiszon w kształcie trójkąta, który umieszczało się w papierosie od strony tytoniu. Dla żartu miałam dwa tak załadowane egzemplarze, ale zupełnie o nich zapomniałam. Później jeszcze wielokrotnie spotykaliśmy się, żeby omówić sprawy festiwalowe i inne, ale Artur już nigdy więcej nie chciał moich papierosów.

Program katowickiego Festiwalu Filmów Górskich.

Marcin Klaban

„Obca”

Tak zatytułowałam scenariusz filmu, który miałam zamiar zrealizować podczas wyprawy na południową ścianę Lhotse. Dlaczego obca? Bo dla większości wspinających się ściana była nowym wyzwaniem. Wprawdzie

Jurek już tam był i nawet wszedł na tę górę, ale planował przecież iść inną drogą, też „obcą”. Dla mnie było to także nowe wyzwanie. Pierwszy raz robiłam film w Himalajach, choć nie po raz pierwszy w nich byłam. Do tego projektu zaprosiłam operatora Witolda Okleka, który nie tylko umiał się wspinać, a to bardzo ważne, ale był również zupełnie bezkonfliktowym człowiekiem.

W wypadku filmów fabularnych udaje się zrealizować większość scenariuszy. Z filmami dokumentalnymi także jest to możliwe, jeśli tylko dokumentacja zostanie dobrze przygotowana, a miejsca i bohaterowie są znani i przewidywalni. W przypadku filmów opowiadających o zdarzeniach nieprzewidywalnych – takich jak wyprawa na Lhotse – scenariusz sobie, a życie i sytuacje sobie. Musiałam jednak stworzyć przynajmniej scenariusz ramowy, by zmieścić się w czasie antenowym ze specjalną charakterystyką miejsca i bohaterów, w tym wypadku wspinaczy. Zresztą scenariusz musiał być przedstawiony dyrekcji telewizji do akceptacji, więc był po prostu niezbędny.

Oczywiście Kukuczka rozumiał, czym są założenia scenariuszowe. Omawialiśmy je przez parę dni. Słuchałam, co by chciał widzieć w tym filmie, i tłumaczyłam, co da się zrobić, a czego zrobić się nie da. Chodzi o to, że warunki w górach są bardzo trudne, żeby nie powiedzieć ekstremalne, że operator może dojść do pewnej wysokości, a dalej już nie. Pewien wspinający się kolega po kilku próbach realizacji zdjęć filmowych podczas wypraw stwierdził, że albo się wspinamy, albo robimy nagrania. I to jest prawda. Operator musi być wybitnym wspinaczem, żeby podołać trudom filmowania, jednocześnie się wspinając. Jeśli chce mieć na ujęciach na przykład czyjeś podchodzenie, musi sam wejść kilka, a czasem kilkanaście metrów wyżej, żeby pokazać wysiłek ludzi, którzy wchodzą na górę.

Dziś często korzystamy z nowoczesnej techniki, na przykład dronów. Dawniej wszystko zależało od umiejętności człowieka. Doszły jeszcze okoliczności związane ze sprzętem. Na wyprawę dostaliśmy z telewizji kamerę filmową (a do niej bardzo ciężkie rolki taśmy). Miała tę przewagę nad elektroniką, że nie zamarzała. Niestety była bardzo niewygodna w eksploatacji, więc korzystaliśmy z niej sporadycznie.

Na wszelki wypadek pożyczyłam od Francuzów kamerę Super VHS. Była amatorska, ale jednocześnie niezawodna i świetnie się sprawdziła. Całe szczęście, że ją pożyczyłam, właściwie cały film nią nakręciliśmy. Miała jedną wadę. Gdy temperatura w nocy spadała do minus 25 stopni Celsjusza, zamarzała. Dowiedzieliśmy się o tym w wyniku nieprzyjemnych doświadczeń. Chłopaki często wychodzili w góry o czwartej rano. Wieczorem umawialiśmy się, że wstaniemy jeszcze przed nimi, omówimy, również z wychodzącymi, co filmujemy. Nic z tego. Kamera nie odpalała, nie można było jej uruchomić.

Stupa buddyjskiej świątyni Swayambhunath. Należy do najstarszych w Nepalu.

Nie było sensu „na szybko” robić zdjęć kamerą filmową, bo ładowanie rolek było tak uciążliwe, że zdjęcia trwałyby bardzo długo. Ponadto akurat ta kamera potrzebowała dużo światła, zwłaszcza w nocy. A to już droga przez mękę.

Nauczeni tym smutnym doświadczeniem wkładaliśmy naszego Super VHS-a do śpiwora. Krótko mówiąc, spaliśmy z kamerą. Szczerze przyznam: częściej Witek niż ja.

Przygód z kamerami mieliśmy więcej. Do naszej wyprawy dołączyła ekipa szwajcarsko-włoska z dobrym operatorem i twórcą filmów górskich, a jednocześnie wspinaczem Fulvio Marianim. Przywieźli cudeńko w postaci kamery Betacam. W Polsce to była nowość. Chociaż telewizja miała ich kilka, na wyprawę oczywiście nie mogła nam żadnej dać. I okazało się, że bardzo dobrze. Któregoś dnia poprosiłam Włochów, by pożyczyli nam Betę. Odmówili, bo akurat zamierzali robić zdjęcia. I jak to zwykle bywa, pokarało ich. Beta się zepsuła. Wysokość wyraźnie jej zaszkodziła. My, dobrzy ludzie, pożyczaliśmy im więc naszego amatorszczyka Super VHS.

Południowa ściana Lhotse w porannej poświacie.

Elżbieta Piętak

Pisanie scenariusza, zwłaszcza do filmu opartego na faktach, nie jest sprawą prostą, bo prezentuje spojrzenie na temat z perspektywy piszącego, a w tym przypadku także realizującego projekt. Do tego należy zachować obiektywizm, a przecież jest to subiektywny przekaz. Dziś prawie zawsze, zwłaszcza przy produkcjach reklamowych, zastanawiamy się, do kogo ów przekaz jest skierowany. Do jakiego widza? Czyli kłania się teoria wielkiego Marshalla McLuhana, genialnego kanadyjskiego teoretyka wiedzy o mediach. Dla kogo? I w jakim celu? To oczywiście skrót jego teorii. Realizując program, pisząc artykuł, kręcąc film, zawsze zadajemy sobie pytanie, co chcemy przekazać. I komu. Z tym „komu” w przypadku specjalistycznego przekazu jest zawsze problem. Tak jest szczególnie w telewizji walczącej o oglądalność. Przekaz powinien być skierowany do wszystkich, ale nie ma „wszystkich”. W przypadku audycji telewizyjnych o tematyce górskiej próbowałam tworzyć je tak, by wspinacze się nie śmiali, a ludzie zrozumieli.

Młynki modlitewne mani. Każdy, kto przechodzi koło świątyni lamaickiej, może taki młynek obrócić.

Dariusz Piętak

Napisałam więc zarys scenariusza filmu, który miał powstać podczas wyprawy, a życie napisało własny.

Scenariusz filmu dokumentalnego pt. „Obca”

Scenariusz i realizacja: Elżbieta Piętak

Zdjęcia: Witold Oklek

Reportaż realizowany przez Telewizję – Program II oraz POLTEL

Konsultacja: Jerzy Kukuczka, Andrzej Dziedzic

Warunki techniczne: kamera filmowa 16mm

Czas reportażu: 30 minut

Warunki zdjęć: trudne

Temat reportażu w oparciu o wyprawę na południową ścianę Lhotse

Okres realizacji zdjęć: sierpień–listopad 1989 r.

Założenia merytoryczne:

Scenariusz ten powstaje na bazie przeżytych i wyimaginowanych doświadczeń, które się wydarzyły i mogą się wydarzyć podczas wyprawy na południową ścianę Lhotse (8511 m).

Do jego napisania (oczywiście z myślą o filmowej realizacji) skłoniła mnie propozycja Jerzego Kukuczki – wzięcia udziału w tak poważnej ekspedycji. Drugim argumentem przemawiającym za podjęciem tego tematu były moje piętnastoletnie kontakty i doświadczenia osoby uczącej się alpinizmu z tej drugiej strony. Moimi przyjaciółmi byli (bo bardzo wielu niestety nie żyje) i są świetni wspinacze.

Jeszcze dwa bardzo ważne argumenty: pierwszy przekaz z działalności w górach wyprawy Kukuczki, jaki zaowocuje programami studyjnymi, do których będę przygotowywała materiały. I choć znam Indie i Nepal – jest to moja pierwsza tak poważna wyprawa. Warto chyba w tym miejscu zaakcentować fakt, iż Kukuczka prawie nigdy nie zabierał na swoje wyprawy kobiet, a już na pewno nie zabierał takich, które się nie wspinają. Myślę, że spojrzenie na sprawę oczami kobiety, alpinistki i dziennikarki – mogą być ciekawym materiałem na temat reportażu.

Założenia wynikające ze scenariusza będą tylko w części literacką fikcją, większość wydarzeń zawartych w scenariuszu będę bowiem mogła przenieść na taśmę filmową.

Wracając do wyprawy – południowa ściana Lhotse pozostaje niezdobyta – mam nadzieję, że im się uda…

Rozbijanie bazy.	Po 10 dniach wspaniałej wycieczki docieramy na miejsce, gdzie stanie baza – nasz dom na co najmniej dwa miesiące. To wcale nie znaczy, że wycieczka nam się nie podobała – po prostu ścieżka się skończyła.

100%

Kuchnia wyprawy – opowiadanie kucharza wyprawy – Nepalczyka po nepalsku, o roli kucharza, jako najważniejszej roli na wyprawie.

Przygotowanie tradycyjnego śniadania europejskiego	*Off:* Przed chwilą kucharz wyprawy mówił o sobie same komplementy, więc ja nie muszę nic dodawać. Powiem tylko, że stwierdził, że tutaj on jest najważniejszy. No i dobrze, niech każdy myśli, że jest najlepszy.
Skargi uczestników na kuchnię. Kamera pokazuje obrazki przypominające dom. Oglądanie wideo (oczywiście porno), dyskotekę przy magnetofonie, pranie, mycie, zajęcia w bazie. Przed tymi ujęciami pojawia się napis, który widnieje na namiocie: *Mam chwilkę czasu do wynajęcia… oferty z ceną kierować…*	*Muzyka*
	Dźwięk werbli A teraz uwaga – tego faceta znam najdłużej z nich wszystkich – nie wiem, czy wy go znacie – nazywa się Kukuczka, ale mówimy na niego Kukuś – to jest kierownik.
I hop... - idziemy w góry	Angażujemy tragarzy. Po niezwykle przyjemnych podróżach w luksusowych i pachnących autobusach – zwariowaliśmy… idziemy na wycieczkę piechotą.
	Werble cichną.
I angażowanie tragarzy.	Mało tego – wymyśliliśmy sobie, że pójdziemy w strugach deszczu. Nigdy nie wędrowaliście w deszczu?... Żałujcie. To niezwykle przyjemne zajęcie.

Przepychanki o cenę, pokazanie, jak mali ludzie mogą przenosić wielkie ciężary.

Ujęcie karawany,
ktoś wpadł do wody, ktoś odrywa pijawkę.

Dodatkową atrakcją, czego niestety zabraknie wam w Polsce, są małe czarne zwierzątka, które tak się do nas przywiązują, że trudno je oderwać. Nazywają się pijawki. Okazuje się jednak, że te zwierzątka bardziej od nas lubią sól. Bo gdy tylko posypie się je solą, zapominają o swoich przyjaciołach – ludziach – i zostają w bajorze – zwanym tutaj ścieżką. No cóż, co kraj…

100%

Wypowiedzi uczestników wyprawy na ten temat. Zabawne i mniej zabawne historie z pijawkami.

Twarze w śmiesznych ujęciach (grymasach)	**Rysiu Warecki** – z wyglądu trochę śmieszny, ale jak to mawiali starożytni Rzymianie (to tak się mówi)… no właśnie – prawa ręka lidera i facet od wszystkiego, bez niego nie byłoby wyprawy. **Maciek Pawlikowski** – świetny alpinista, góral z Zakopanego, wspaniały kolega do tańca i … jak trzeba do modlitwy też. **Przemo Piasecki** – patrzcie, kobitki, jaki przystojny, ale to jeszcze nie wszystko, pewnie was to zdziwi – świetnie się wspina. **Rysiu Pawłowski** – ma na swoim koncie wspaniałe przejścia w Alpach i Himalajach, szkoda tylko, że tak mało mówi. Mnie to nie przeszkadza, bo ja mówię za kilku Pawłowskich. **Witek Oklek** – a to jest ten facet, który robi zdjęcia, jeżeli ktoś ma głupią minę, to wcale nie znaczy, że tak wygląda – tylko – on go tak pokazał. **Tomek Kopyś** – kapitalny kolega, warszawiak, lubi zawsze wiedzieć wszystko w najdrobniejszych szczegółach. **Radiotelegrafista** – tego nie znam, ale wygląda sympatycznie. **Yves Ballu** – Francuz, napisał kilka świetnych książek o górach.
Pakowanie beczek na wyprawę. Kamera pokazuje „dziwne” przedmioty, pasujące do wyprawy alpinistycznej (spodenki kolorowe, parapenta, watę,	Zdecydowałam się jechać z nimi. Myślę, że tłumaczenie, dlaczego, nie będzie dla was całkowicie nie interesującym tematem. Od 15 lat interesuję się tym

książkę kucharską itd.).
Dziewczyna pakuje te wszystkie dziwactwa.

Koniec pakowania.
Zamykanie beczki.

Czołówka filmu – tytuł.

Obrazki Nepalu – Katmandu.
Katmandu – stolica Nepalu. Miejsce spotkań wielu alpinistów. Wiem, że niemalże zawsze we wszystkich filmach czy relacjach z wyprawy przedstawia się uczestników, ale spójrzcie na te sympatyczne gęby. No jakże ich nie pokazać.

sportem. Dziwnym – bo nie ma w nim przecież medali, a może właśnie dlatego… Moimi przyjaciółmi są alpiniści, mój mąż jest speleologiem. Tematy, które najczęściej przewijają się przez mój świat – dotyczą ludzi gór. Właśnie ludzi, bo oni są w tym wszystkim najważniejsi, góry są tylko pretekstem. Mimo to czuję, że zawsze jestem jakby z boku. No więc chodźcie ze mną w daleką podróż ku niezdobytej południowej ścianie Lhotse, a będzie mi raźniej…

100%

Yves Ballu – opowiada, co to jest parapent, pokazuje, jak się na tym lata. Mówi, że ma przyjemność latać z mistrzami Polski w wysokości lotu (deniwelacji 1200 m) – Rysiem Wareckim

i Elką Piętak. Wszyscy członkowie wyprawy uczą się latać. Śmieszne komentarze i historyjki związane ze spadolotniami.

Wspinacze wychodzą zakładać obozy. Wstają o 4 rano.	*komentarze, jak się pakują*

100%

Radiotelegrafista przy pracy. Połączenie z obozami. Baza podczas nieobecności grupy atakującej. Rutynowe zajęcia, od czasu do czasu przerywane łącznością z alpinistami.

Zbliżenia twarzy radiotelegrafisty i słuchających kolegów (i koleżanki) w bazie, zegarek.	– jak się czujecie? – czy wszyscy zdrowi?
Alpiniści schodzą z gór.	– jaka pogoda? *piosenka na dobranoc*

100%

Powitanie. Opowiadanie jak było. Pierwszy posiłek w bazie po zejściu.

Składamy nasz domek, powrót do domu.	*pojedyncze polecenia, co teraz zwijamy*
Delhi, obrazki miasta, ostatnie zakupy do domu.	*muzyczka*
Samolot – wnętrze z pasażerami.	

100%

Kolega do kolegi – jakie te kobitki w samolocie podczas lotu są ładne i miłe, ale NASZA Ela też jest w porządku.

K2
Broad Peak
Gaszerbrum I
Gaszerbrum II
Nanga Parbat
N
W
E
S
Czternaście ośmiotysięczników
Dhaulagiri
Annapurna
Manaslu
Czo Oju
Mount Everest
Sziszapangma
Lhotse
Makalu
Kanczendzonga
Nepal
Bhutan
DŻAMMU I KASZMIR
HIMACAL PRADES
CZANDIGARH
PENDŻAB
UTTARAKHAND
HARIANA
DELHI
Nowe Delhi
Ghaziabad
Haldwani
Moradabad
Rampur
Bareli
Aligarh
UTTAR PRADES
Katmandu
Park Narodowy Sagarmatha
Park Narodowy Kanczendzonga
Ludhijana
Patiala
Dehradun
Srinagar
Leh
Lahaur
Amritsar
Shimla
Skardu

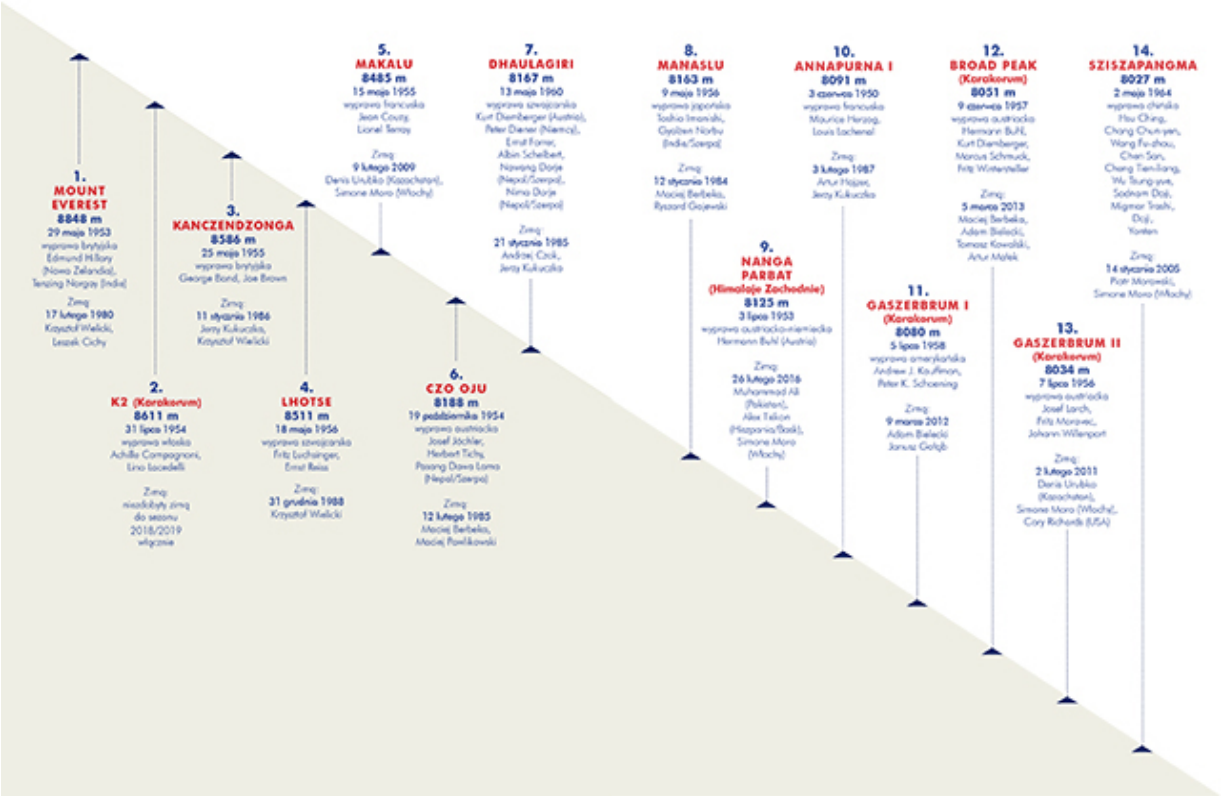

Korona Himalajów i Karakorum

Tak przedstawia się czternastka najwyższych szczytów Ziemi oraz ich pierwsi zdobywcy – z datami wejścia na szczyt, w tym także pierwszych wejść zimowych. Polacy nie wzięli udziału w zdobywczym podboju Himalajów w latach pięćdziesiątych XX wieku, jednak w kategorii pierwszych zimowych wejść, które miały miejsce później, przede wszystkim w latach osiemdziesiątych, pozostawali bezkonkurencyjni.

Trudno wyrokować, jak długo potrwa aktywność owego zimowego wirusa, obecnie pozostał bowiem tylko jeden niezdobyty zimą ośmiotysięcznik, za to wysoki i trudny. Mowa o K2 leżącym w Karakorum. Pytanie, co będzie, gdy ten ostatni szczyt zostanie zdobyty, nadal pozostaje otwarte. Czy zimowe

wspinanie na ośmiotysięczniki utrzyma swoją popularność z okresu atrakcyjności, jaką niosły pierwsze wejścia zimowe będące przedłużeniem epoki himalaizmu zdobywczego?

Odpowiedź na to przyniesie zapewne czas, jednak na podstawie obserwacji statystyk można przypuszczać, że aktywność zimowa znacznie osłabnie. Prawdopodobnie na rzecz wejść ścianowych prowadzonych nowymi drogami w sezonie letnim oraz przejść ścian o ekstremalnych trudnościach na szczytach niższych, za to ładnych.

Wymyślić da się wszystko, ot choćby przykładowa polemika nad samym trwaniem sezonu zimowego w Himalajach i Karakorum. Jego początkiem i końcem. Czy to zima kalendarzowa, czy astronomiczna, a może podział umowny i tradycyjny? Można też wspomnieć tendencję administracji nepalskiej do wpisania na listę szczytów ośmiotysięcznych nowych sześciu wierzchołków do tej pory uznawanych za szczyty boczne głównych wierzchołków danego masywu. Wzmiankowane w projekcie to w Nepalu: Yalung Kang, czyli Kanczendzonga Zachodnia (8505 m), Kanczendzonga Centralna (8482 m), Kanczendzonga Południowa (8476 m), Lhotse Middle (8410 m) i Lhotse Shar (8382 m). W Pakistanie: Broad Peak Central, czyli Broad Peak Middle (8011 m).

1.
REINHOLD MESSNER
1970–1986, Włochy
2.
JERZY KUKUCZKA
1979–1987, Polska
3.
ERHARD LORETHAN
1982–1995, Szwajcaria
4.
CARLOS CARSOLIO
1985–1996, Meksyk
5.
KRZYSZTOF WIELICKI
1980–1996, Polska
20.
PIOTR PUSTELNIK
1990–2010, Polska
21.
EDURNE PASABAN
2001–2010, Hiszpania
24.
GERLINDE KALTENBRUNNER
1998–2011, Austria
31.
NIVES MEROI
1998–2017, Włochy
wejścia kobiece

Zdobywcy Korony Himalajów i Karakorum

Na koniec 2018 roku lista zdobywców czternastu najwyższych szczytów liczyła 41 osób. Jest na niej trzech Polaków. Koronę Himalajów i Karakorum skompletowały również cztery panie. Pierwszą z nich (i 21. na liście wszystkich dotychczasowych zdobywców) jest Baskijka Edurne Pasaban.

Elżbieta Piętak

Księżyc wisi nad
Tybetem, w południowych
górach, nad Jang, znika
planeta Mars.
Ileż godności stracił
księżyc, od kiedy człowiek
zostawił tam swoje nędzne
śmieci.

Peter Matthiessen, *Śnieżna pantera*

CZĘŚĆ II

Przygotowania

Propozycję dołączenia do wyprawy na południową ścianę Lhotse i nakręcenia z niej filmu tak naprawdę otrzymałam od Ryszarda Wareckiego. To on był faktycznym kierownikiem wyprawy, Kukuczka zaś był jej liderem i kierownikiem sportowym. Cały ciężar przygotowania ekspedycji, logistyki spadał oczywiście na Wareckiego. Wiedział, że byłam już w Himalajach, że się wspinam, a to już dość dużo, żeby choć trochę zniwelować problemy z babą na wyprawie. Przede wszystkim jednak wiedział, że jestem twórczynią magazynu telewizyjnego *Góry*, który stawał się coraz popularniejszy. Tak więc zanim zadzwonił do mnie Jerzy Kukuczka, to Ryszard rozmawiał ze mną na ten temat. I to on przygotował mnie na TEN telefon.

Bardzo lubiłam Ryszarda. Miał wyjątkowe, sarkastyczne czasami poczucie humoru, które mi bardzo odpowiadało, był kompetentny w sprawach górskich, a przede wszystkim – był świetnym organizatorem. Bardzo mi to pasowało, w pracy przy produkcji telewizyjnej trzeba bowiem takie umiejętności posiadać. Nie wystarczy coś wymyślić, trzeba jeszcze mieć wiedzę i wyobraźnię, jak to zrobić.

Z telewizji dostałam pełne wsparcie fantastycznego człowieka: Józefa Węgrzyna, ówczesnego szefa Programu 2 Telewizji Polskiej. Był telewizyjnym wizjonerem. Nie musiałam go zbyt długo przekonywać do zamiaru zrealizowania filmu podczas wyprawy. Miał pomysł, jak przedstawić widzom ten temat, i podjął się próby opowiedzenia, na czym

polega fenomen pędu ludzi do zdobywania gór. Potraktował temat ekspedycji całościowo. Telewizja zorganizowała i pokazała dwie konferencje prasowe przed samą wyprawą, został również przygotowany program studyjny, do którego zaproszono wybitnych polskich wspinaczy, wśród nich Wandę Rutkiewicz, Jerzego Kukuczkę i Artura Hajzera. Opowiadali o swoich doświadczeniach oraz o tym, jakie trudności niesie ze sobą wyprawa na południową ścianę Lhotse.

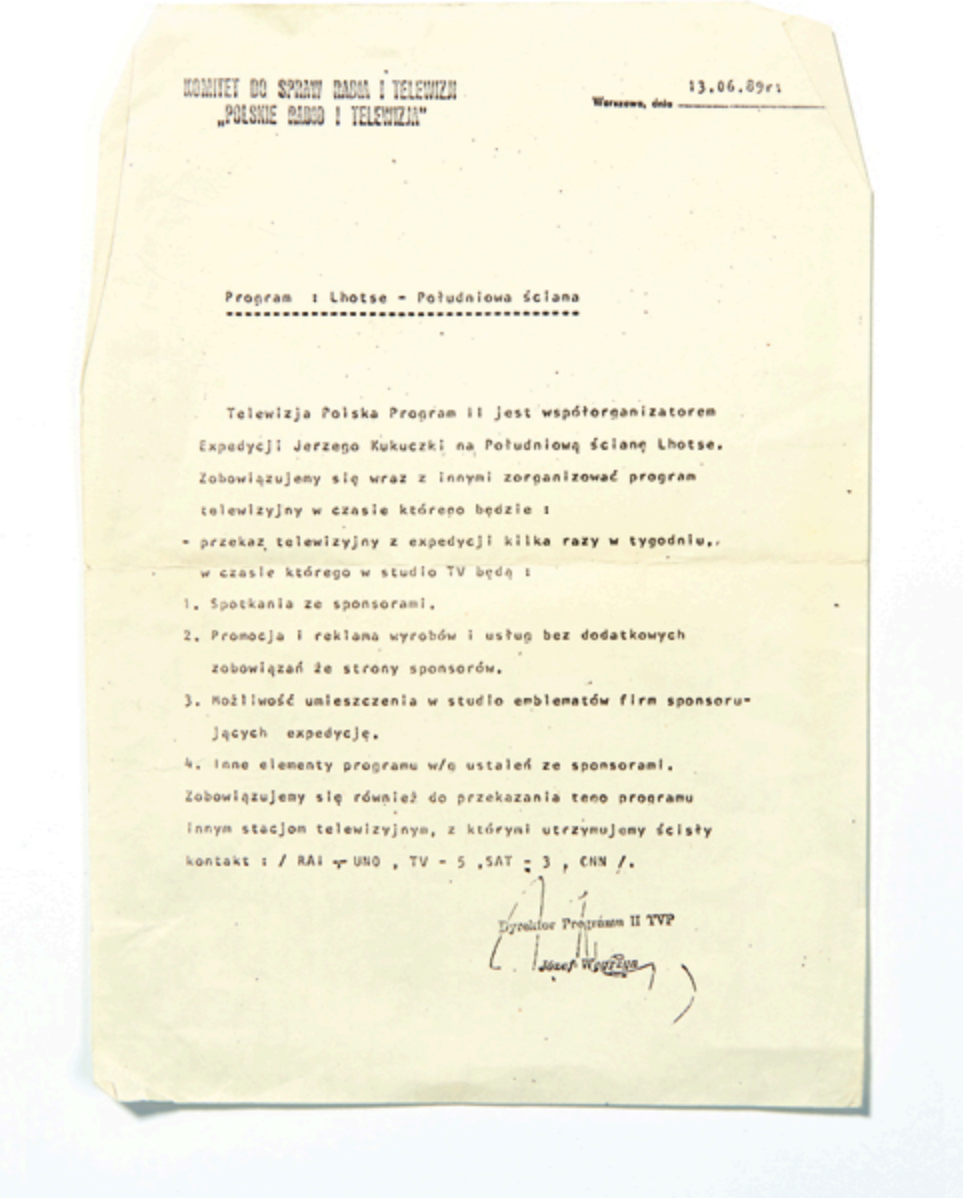

KOMITET DO SPRAW RADIA I TELEWIZJI
„POLSKIE RADIO I TELEWIZJA"

Warszawa, dnia 13.06.89r.

Program : Lhotse - Południowa ściana

Telewizja Polska Program II jest współorganizatorem Expedycji Jerzego Kukuczki na Południową ścianę Lhotse. Zobowiązujemy się wraz z innymi zorganizować program telewizyjny w czasie którego będzie :

- przekaz telewizyjny z expedycji kilka razy w tygodniu,.

w czasie którego w studio TV będą :

1. Spotkania ze sponsorami.
2. Promocja i reklama wyrobów i usług bez dodatkowych zobowiązań ze strony sponsorów.
3. Możliwość umieszczenia w studio emblematów firm sponsorujących expedycję.
4. Inne elementy programu w/g ustaleń ze sponsorami.

Zobowiązujemy się również do przekazania tego programu innym stacjom telewizyjnym, z którymi utrzymujemy ścisły kontakt : / RAI - UNO , TV - 5 ,SAT - 3 , CNN /.

Dyrektor Programu II TVP
Józef Wojtyła

Aplikacja do realizacji materiału filmowego z wyprawy Lhotse ’89.

Marcin Klaban

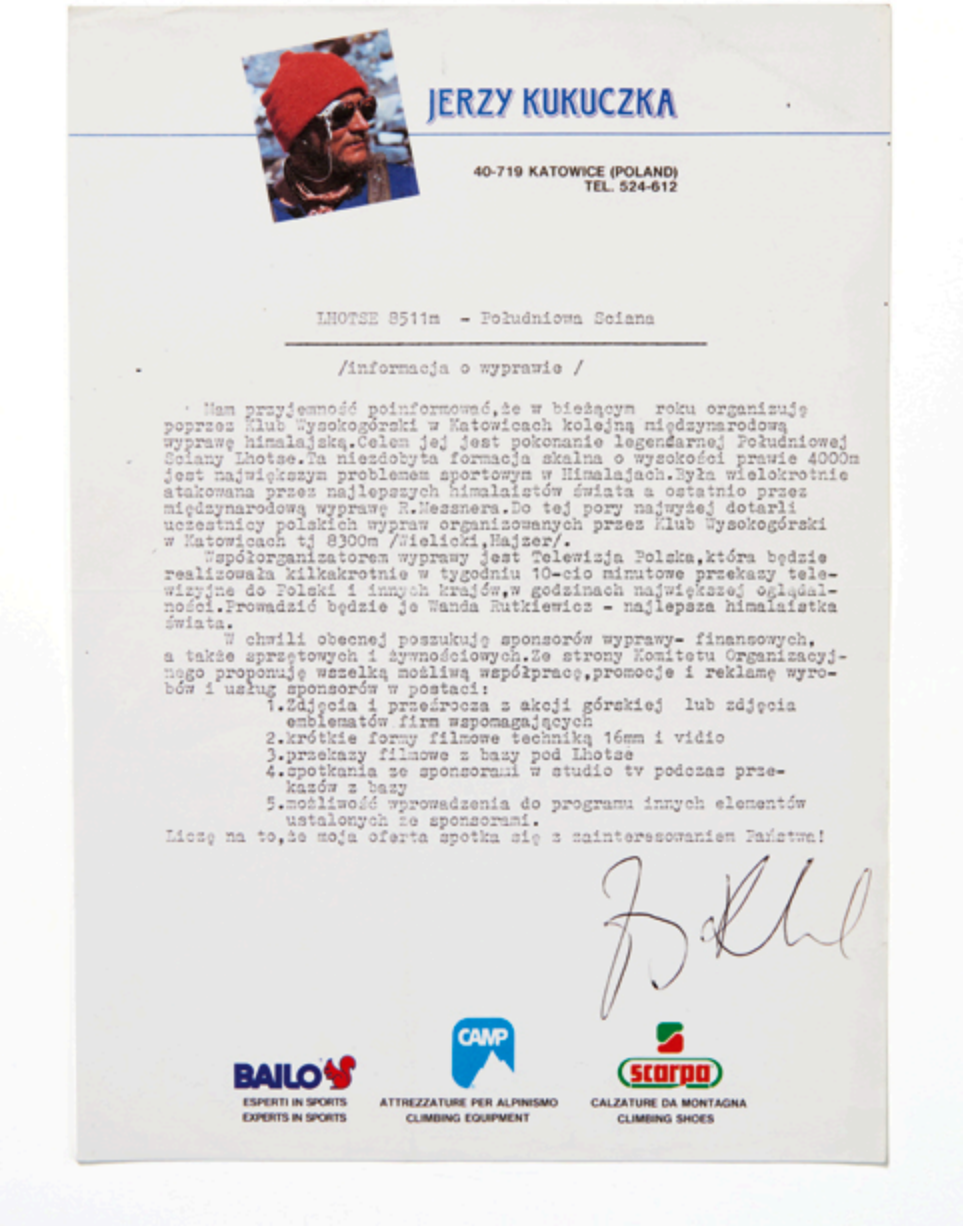

JERZY KUKUCZKA

40-719 KATOWICE (POLAND)
TEL. 524-612

LHOTSE 8511m - Południowa Ściana

/informacja o wyprawie /

Mam przyjemność poinformować,że w bieżącym roku organizuję poprzez Klub Wysokogórski w Katowicach kolejną międzynarodową wyprawę himalajską.Celem jej jest pokonanie legendarnej Południowej Ściany Lhotse.Ta niezdobyta formacja skalna o wysokości prawie 4000m jest największym problemem sportowym w Himalajach.Była wielokrotnie atakowana przez najlepszych himalaistów świata a ostatnio przez międzynarodową wyprawę R.Messnera.Do tej pory najwyżej dotarli uczestnicy polskich wypraw organizowanych przez Klub Wysokogórski w Katowicach tj 8300m /Wielicki,Majzer/.

Współorganizatorem wyprawy jest Telewizja Polska,która będzie realizowała kilkakrotnie w tygodniu 10-cio minutowe przekazy telewizyjne do Polski i innych krajów,w godzinach największej oglądalności.Prowadzić będzie je Wanda Rutkiewicz - najlepsza himalaistka świata.

W chwili obecnej poszukuję sponsorów wyprawy- finansowych, a także sprzętowych i żywnościowych.Ze strony Komitetu Organizacyjnego proponuję wszelką możliwą współpracę,promocje i reklamę wyrobów i usług sponsorów w postaci:

1. Zdjęcia i przeźrocza z akcji górskiej lub zdjęcia emblematów firm wspomagających
2. krótkie formy filmowe techniką 16mm i vidio
3. przekazy filmowe z bazy pod Lhotse
4. spotkania ze sponsorami w studio tv podczas przekazów z bazy
5. możliwość wprowadzenia do programu innych elementów ustalonych ze sponsorami.

Liczę na to,że moja oferta spotka się z zainteresowaniem Państwa!

BAILO ESPERTI IN SPORTS EXPERTS IN SPORTS
CAMP ATTREZZATURE PER ALPINISMO CLIMBING EQUIPMENT
scarpa CALZATURE DA MONTAGNA CLIMBING SHOES

Informacja o wyprawie dla potencjalnych sponsorów.

Marcin Klaban

Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu Józef Węgrzyn zachwycił się pomysłem, żebym w trakcie wyprawy przesyłała nakręcony materiał filmowy wraz ze wskazówkami dla montażysty w Warszawie, tak by powstał cykl programów. Wyznaczył też osobę do kontaktu i opieki nad

tymi programami (oczywiście po powrocie miał powstać cały film). Został także opracowany precyzyjny plan odbioru z lotniska przesyłanych materiałów filmowych.

Wysyłką miałam zajmować się ja, a nie było to wcale proste. Wiedziałam, że będzie mi w tym działaniu pomagała cała grupa ludzi, i to nie tylko Polaków.

Warto pamiętać, że nie było jeszcze wówczas dostępnych telefonów komórkowych ani satelitarnych, Internetu ani smsów. Tym bardziej - Facebooka i Instagrama. W bazie było radio krótkofalowe, kamera filmowa i długopis. Dziś mamy przekaz satelitarny i możemy na żywo oglądać, co dzieje się na przykład w bazie. Telefony satelitarne także ułatwiają sprawę. Na tle przygotowanych wcześniej obrazków gór można rozmawiać z członkami wypraw i niemalże na bieżąco śledzić wydarzenia, bez względu na to, jakie to są góry. W 1989 roku nie było takich możliwości.

Widzowie z Polski co kilka, kilkanaście dni mieli otrzymywać relację z wyprawy, możliwie jak najbardziej szczegółową. Częściowo się to udało. Powstało kilka programów w dość nieregularnym czasie emisyjnym. Widzowie śledzili, gdzie jesteśmy i co robimy. Zainteresowanie było ogromne. Po raz pierwszy telewizja pokazywała taki cykl z trudnego przedsięwzięcia, i to z odległego kraju – Nepalu. Na dodatek nie była to opowieść o przyjemnym miejscu gdzieś na plaży pod palmami, ale z miejsca o ekstremalnych warunkach bytowych i pogodowych. Zainteresowanie było duże również dlatego, że ekspedycja działała w Himalajach i wszystko, rzecz jasna, mogło się przydarzyć.

Uczestnicy w bazie. Od lewej: F. Castelnuovo (z aparatem), F. Mariani, J. Kukuczka, T. Kopyś, R. Pawłowski, M. Kulej, Y. Ballu, R. Warecki, M. Pawlikowski, P. Piasecki.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

Przed każdym programem zaproszony gość, prawie zawsze jakiś znany wspinacz, wprowadzał widzów w problematykę, przedstawiał miejsce oraz opowiadał, co w danym momencie dzieje się na wyprawie. Było to ciekawe i pouczające dla widza. Nie wszyscy przecież wiedzieli, o co w takich ekspedycjach chodzi.

Wyjeżdżając na wyprawę, postanowiłam robić notatki. Muszę przyznać, że nigdy nie lubiłam pisać pamiętników, ale teraz sytuacja była zupełnie inna. Wiedziałam, że gdyby musiała być zachowana pewna chronologia zdarzeń potrzebna do filmu, to takie zapiski na pewno się przydadzą.

Skład wyprawy na południową ścianę Lhotse ’89

Jerzy Kukuczka – lider

Ryszard Warecki – kierownik organizacyjny

Leszek Czech – radiowiec

Michał Kulej – lekarz

Witold Oklek – operator

Tomasz Kopyś

Maciej Pawlikowski

Ryszard Pawłowski

Przemysław Piasecki

Elżbieta Piętak

Yves Ballu (Francja)

Floriano Castelnuovo (Włochy)

Fulvio Mariani (Szwajcaria) – operator

Wyprawie towarzyszyli Nepalczycy – pracownicy bazy, kucharz, kuchcik, goniec oraz oficer łącznikowy Ministerstwa Sportu i Turystyki Królestwa Nepalu, His Majesty's Government (w czasie wyprawy Nepal był jeszcze królestwem).

Każdy z uczestników dysponował imiennym Expedition Permit wydanym przez Department of Immigration na podstawie zezwolenia na

wspinaczkę na Lhotse EXP-178/046 dla obszaru Everest Solo Khumbu, Lhotse B.C.

Trzy ostatnie nazwiska na liście uczestników to byli tak zwani „westmembersi” – goście wyprawy, którzy wnieśli za nią opłatę. Polskie realia w tamtych czasach wymagały, by na ekspedycje w Himalaje zapraszać ludzi z Europy Zachodniej, którzy mogli dostarczyć tak potrzebne wówczas dewizy.

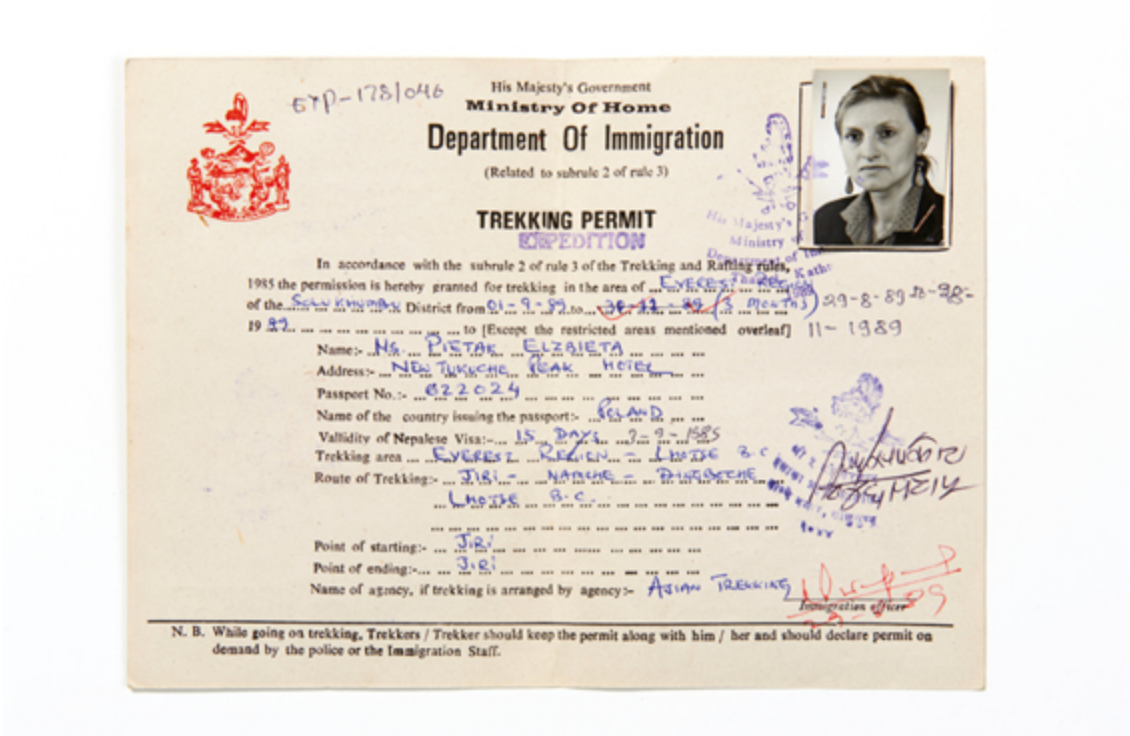

His Majesty's Government
Ministry Of Home
Department Of Immigration
(Related to subrule 2 of rule 3)

TREKKING PERMIT
EXPEDITION

EXP-178/046

In accordance with the subrule 2 of rule 3 of the Trekking and Rafting rules, 1985 the permission is hereby granted for trekking in the area of EVEREST REGION of the SOLU KHUMBU District from 01-9-89 to 30-11-89 (3 Months) 29-8-89 to 28-11-89 19 89 [Except the restricted areas mentioned overleaf] 11-1989

Name:- Ms PIETAK ELZBIETA
Address:- NEW TOURISTE PEAK HOTEL
Passport No.:- 822024
Name of the country issuing the passport:- POLAND
Vallidity of Nepalese Visa:- 15 DAYS 2-9-1989
Trekking area EVEREST REGION - LHOTSE
Route of Trekking:- JIRI - NAMCHE - DINGBOCHE - LHOTSE B.C.
Point of starting:- JIRI
Point of ending:- JIRI
Name of agency, if trekking is arranged by agency:- ASIAN TREKKING

Immigration officer

N. B. While going on trekking, Trekkers / Trekker should keep the permit along with him / her and should declare permit on demand by the police or the Immigration Staff.

Zezwolenie na udział w wyprawie (Expedition Permit), wydawane dla każdego uczestnika. Określa rejon działania i okres ważności.

Marcin Klaban

Z Yves’em Ballu się przyjaźniłam. Poznałam go w latach osiemdziesiątych. Pasjonowały go wszystkie sporty związane z górami. Był znanym pisarzem, autorem wielu książek, wszystkich o górach. Jego *Les alpinistes* odniosła ogromny sukces nie tylko we Francji, ale również na

świecie. To trochę historii alpinizmu ze znanymi nazwiskami wspinaczy działających w Alpach i Himalajach, ale przede wszystkim to książka o ludzkich uczuciach.

Ballu był częstym gościem na różnych festiwalach filmów górskich, na wielu jurorem. Bardzo angażował się w propagowanie paralotniarstwa. Z Darkiem wpadliśmy na pomysł, żeby go zaprosić do Polski i zorganizować pierwszy kurs tego jeszcze wtedy nieznanego u nas sportu. Pierwsze kilkumetrowe loty połączone z nauką o paralotniach wykonaliśmy ze stoków Gubałówki. Potem wielokrotnie lataliśmy z nieco mniejszych wzniesień, między innymi w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej.

Jurek Kukuczka rozmawia ze wspinaczami w obozach II i III. Podczas wyprawy łączność odbywała się za pośrednictwem radia przenośnego pracującego w dwumetrowym paśmie UKF.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

Zrealizowałam też kilka programów *Góry* właśnie o paralotniach. Widzowie Śląska i Zagłębia w programie regionalnym Telewizji Katowice

mogli jako jedyni w kraju dowiedzieć się, czym jest paralotniarstwo. Wszystko dzięki temu, że od kolegów z Francji dostałam filmy o tym pięknym, acz niebezpiecznym sporcie, z prawem do jednokrotnej emisji. We Francji i Szwajcarii paralotniarstwo było już znane i stawało się coraz bardziej popularne.

Po propozycji Kukuczki, żebym jechała na Lhotse, zadzwoniłam do Yves'a. Zapytałam, czy nie chce wziąć udziału w ekspedycji. Chciał. Przed wylotem do Nepalu poprosiłam go, żeby przywiózł na wyprawę paralotnie, może przy dobrych warunkach pogodowych udałoby się polatać w Himalajach. „To by było coś" – myślałam. Ku mojej radości zgodził się. Do wyprawy dołączył po około miesiącu od jej rozpoczęcia. Oprócz swojego ekwipunku wyprawowego przydźwigał dwie paralotnie. Dzięki nim mogliśmy popatrzeć na Himalaje z całkiem innej perspektywy.

Makaki przy stupie Swayambhunath zwanej „Świątynią Małp".

Dariusz Piętak

Elżbieta Piętak

Lhotse

Czwarta góra Ziemi została po raz pierwszy zdobyta 18 maja 1956. Na wierzchołku stanęli członkowie wyprawy szwajcarskiej: Ernst Reiss i Fritz Luchsinger. Kolejne wejścia odbyły się dopiero w latach siedemdziesiątych, a pierwszego zimowego wejścia dokonał Krzysztof Wielicki 31 grudnia 1988.

Trasa pierwszych zdobywców danego szczytu nosi nazwę drogi normalnej. To zwykle droga o możliwie najmniejszych trudnościach technicznych. Dla Lhotse to droga szwajcarska z 1956 roku prowadząca ścianą zachodnią od strony Kotła Zachodniego, a zatem wspólna z drogą normalną na Mount Everest (do wysokości około 7300–7400 metrów obie drogi mają wspólny przebieg).

Polskie wejścia na Lhotse drogą normalną

4 października 1979 – Andrzej Czok, Zygmunt Andrzej Heinrich, Jerzy Kukuczka, Janusz Skorek – czwarte wejście

9 października 1979 – Janusz Baranek, Adam Bilczewski, Stanisław Cholewa, Robert Niklas – piąte wejście

14 maja 1986 – Aleksander Lwow, Tadeusz Karolczak

31 grudnia 1988 – Krzysztof Wielicki – pierwsze wejście zimowe, pierwsze wejście solo

11 października 1994 – Ryszard Pawłowski

15 maja 2000 – Piotr Pustelnik

10 maja 2001 – Anna Czerwińska, Dariusz Załuski

24 maja 2012 – Anna Lichota

25 maja 2012 – Kinga Baranowska

20 maja 2017 – Rafał Fronia

20 maja 2017 – Jakub Bojan, Michał Zajączkowski

20 maja 2017 – Waldemar Kowalewski

maj 2018 – Sylwia Bajek (brak danych co do daty oraz relacji z wejścia)

16 maja 2019 – Monika Witkowska

W latach 1956–2012 odnotowano ogółem 462 wejścia na główny wierzchołek Lhotse, w tym 137 osób nie korzystało ze wspomagania tlenem.

Południowa ściana Lhotse

Przejście południowej ściany Lhotse uznano za największe wyzwanie himalajskie XX i XXI wieku. Jest to jedna

z największych i najtrudniejszych ścian w Himalajach w ogóle. Była wielokrotnie atakowana przez wielkie wyprawy oblężnicze oraz małe w stylu alpejskim, a także solo. Czterokrotnie organizowano wyprawy polskie, które podejmowały próby, kontynuując już rozpoznane linie drogi, zwłaszcza w górnym spiętrzeniu ściany.

Trudności tej ściany to nie tylko wysokość, choć sama Lhotse to tak zwany wysoki ośmiotysięcznik (należą do nich te, które mają wysokość ponad 8500 metrów), lecz przede wszystkim długość ściany, a więc 3000 metrów wspinania w trudnym i wymagającym terenie. Ściana wymaga poręczowania kilkoma kilometrami lin poręczowych, żeby powrót z niej był bezpieczny. Trudności techniczne (IV–V stopnia w barierze skalnej) w przeciwieństwie do innych ośmiotysięczników rosną wraz z wysokością. Ściana jest uznawana przez fachowców za bardzo poważne wyzwanie logistyczne i wspinaczkowe. Określa się ją nie bez kozery problemem XXI wieku. Skład wyprawy musi być silny i doświadczony. Konieczne są dobre warunki pogodowe, i to przez dłuższy czas, zwłaszcza w okresie planowanych ataków szczytowych, tak by nie było konieczności schodzenia do niżej położonych obozów.

Dotychczasowe próby podejmowane przez mocne i kompetentne zespoły złożone ze sław himalaizmu nie rozwiązały problemu ściany. Na przeszkodzie stanęły trudności techniczne, logistyka topografii ściany do tej pory niezdobytej, a więc niepoznanej, oraz występowanie głównych trudności powyżej 8000 metrów. Problem pozostaje i czeka na swoich zdobywców. Szanse określono optymistycznie jako znaczne,

biorąc pod uwagę fakt, że spora część drogi została rozpoznana przez wyprawy polskie.

Za pierwsze całościowe przejście ściany z wyjściem na wierzchołek uznaje się to w wykonaniu zespołu w składzie Siergiej Bierszow (Rosja) i Władimir Karatajew (Ukraina) 16 października 1990. Wspinacze korzystali ze wspomagania tlenem. Solowe przejście Słoweńca Tomo Česena z 24 kwietnia tego samego roku budzi kontrowersje i zasadniczo nie zostało uznane.

Elżbieta Piętak

Najważniejsze wyprawy na południową ścianę Lhotse do 1989 roku

1973 – Wyprawa rekonesansowa japońska.

1975 – Wyprawa włoska, kierownikiem był Ricardo Cassin, w składzie znalazł się Reinhold Messner. Osiągnięto wysokość 7450 metrów.

1981 – Wyprawa jugosłowiańska pod kierownictwem Aleša Kunavera. Wybrano drogę w dole przez tak zwane płucka, w górnej części przez południowo-zachodni fragment kotła podszczytowego i nim w prawo do ostrza centralnego filara spadającego ze szczytu głównego. Franček Knez i Vanja Matijevec doszli na ostrze filara centralnego na wysokości 8250 metrów.

1984 – Wyprawa czechosłowacka, kierownikiem był Ivan Galfy. Wspinano się prawą połacią ściany przy większych trudnościach, ale za to w terenie o wyższym stopniu bezpieczeństwa (mniejsze zagrożenie lawinowe). Wyprawa zakończyła się wejściem na wierzchołek Lhotse Shar. Stanęli na nim 20 maja Zoltan Demjan, a 21 maja Peter Božík, Josef Rakoncaj i Jaromír Stejskal.

1985 – Wyprawa polska pod kierownictwem Janusza Majera. Wspinano się wzdłuż linii drogi czechosłowackiej z własnymi wariantami. Na tak prowadzonej drodze poruszały się wszystkie cztery polskie wyprawy. Do wysokości 8200 metrów na filarze centralnym dotarł zespół: Mirosław Dąsal, Walenty Fiut, Artur Hajzer. Krzysztof Wielicki. Atak zatrzymał się ze względu na duże skalne trudności techniczne. Innym wariantem w kotle prowadził kolejny zespół w składzie: Ryszard Pawłowski, Rafał Chołda, Jerzy Kukuczka, który również musiał zawrócić na biwak do obozu VI. Na wysokości około 8000 metrów odpadł

w nieporęczowanym terenie Rafał Chołda. Spadł do podstawy ściany, ponosząc śmierć.

1987 – Wyprawa polska, kierownikiem był Krzysztof Wielicki. Kontynuowano linię wejścia z 1985 roku. Założono liny poręczowe w kotle podszczytowym na wysokości około 8000 metrów. Akcję poręczowania ponad obozem VI prowadził zespół w składzie: Artur Hajzer i Krzysztof Wielicki. Po dwóch dniach poręczowania zespół zaatakował szczyt. Dość szybko dotarł do krawędzi kotła, a następnie wprost w górę kontynuował wspinanie terenem o sporych jak na 8000 metrów trudnościach skalno-lodowych (IV), których kulminacja wystąpiła na krawędzi filara centralnego na wysokości około 8300 metrów. Ze względu na późną porę zespół zabiwakował w jamie śnieżno-lodowej i wobec znacznego pogorszenia się warunków pogodowych następnego dnia rozpoczął odwrót. Już na początku wyprawy w lawinie zginął Czesław Jakiel – lekarz wyprawy.

Oficjalna pocztówka polskiej wyprawy na południową ścianę Lhotse 1987.

Pocztówki wyprawowe:

1. Wiosenna wyprawa zjednoczonej Europy z 1989.

Marcin Klaban

2. Wyprawa Lhotse ’89 teamu Jerzego Kukuczki.

Marcin Klaban

3. Rewers pocztówki Lhotse ’89 przesłanej do autora z podpisami uczestników i kasownikiem poczty Nepalu.

Marcin Klaban

1989 – Wiosenna wyprawa zjednoczonej Europy pod kierownictwem Reinholda Messnera. Wyprawa działała na innej drodze niż dotychczasowe próby Polaków w prawej części ściany (od przełęczy Imja Tse z planowanym trawersem do kotła w górnej części ściany). Wielicki i Hajzer weszli w ścianę w stylu alpejskim, kontynuując wspinaczkę drogą polskich wypraw. Kilka dni biwakowali na wysokości 7200 metrów i, nie doczekawszy się poprawy pogody, zeszli. Kolejny zespół, francusko-hiszpański w składzie: Christophe Profit i Enric Lucas, wspinał się po linach poręczowych właśnie ową prawą częścią ściany. Próba również załamała się na 7200 metrach. Christophe Profit wracał jeszcze kilkakrotnie pod południową ścianę Lhotse w następnych latach, ale bez powodzenia.

Faksymile grafiki z topografią dróg południowej ściany Lhotse z oryginalnym dopiskiem dotyczącym autora opracowania: „Czy ten Jasio Kiełkowski nie jest fenomenalny?”.

Marcin Klaban

1989 – Lhotse ’89 – Pomonsunowa, jesienna wyprawa pod kierownictwem organizacyjnym Ryszarda Wareckiego, lider Jerzy Kukuczka. Wyprawa w małym składzie zespołu wspinaczkowego. Planowano kontynuację wspinaczki w linii poprzednich polskich wypraw z wyjściem na ostrze filara, a po pokonaniu bariery skalnej wejście na szczyt. Zakładano około dwóch miesięcy działalności górskiej na rozwiązanie problemu południowej ściany.

Dyrektor na tle filara centralnego Lhotse, którym wytyczono drogę rosyjską (na wysokości głowy). Na prawo Lhotse Middle i Lhotse Shar.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

Kiedy ja umrę –
pod drzewem pomarańczy,
wśród mięty zapachu.

Kiedy ja umrę,
możecie mnie pochować
w chorągiewce na dachu.

Kiedy ja umrę!

Federico García Lorca, Bez tytułu

CZĘŚĆ III

Zapiski z Lhotse ’89

15 sierpnia

Po co pan tam leci

Do Warszawy przyjechałam wczoraj, 14 sierpnia 1989, czyli dzień przed odlotem. Miałam jeszcze kilka spraw do załatwienia w telewizji. Pojechałam rano na Woronicza, by spotkać się z kilkoma osobami. Omawialiśmy między innymi sposób przesyłania materiałów filmowych oraz ustalaliśmy daty ewentualnych ostatnich kontaktów telefonicznych, gdyby zaszła taka potrzeba. Jeden kontakt z Delhi i jeden z Katmandu. Ze stolicy Indii pewnie nie będzie problemu, nie wiem, jak z Nepalu. Mam nadzieje, że się uda dodzwonić do Polski.

Na lotnisku miałam być 15 sierpnia, odlot samolotu zaplanowany był na godzinę 21.15.

Oczywiście umówiliśmy się z chłopakami z wyprawy dużo wcześniej. I jak to bywa w takiej sytuacji, oprócz rutynowych działań na lotnisku pojawiły się ekipy telewizyjne. Oczywiście nie chcieli rozmawiać z nami, tylko z Kukuczką. Nie wiedzieli biedacy (źle sprawdzili), że on akurat teraz, czyli dzisiaj, nie leci. Będą zatem musieli przyjechać jeszcze raz.

Z tego, co słyszałam, nie obyło się bez pytań: „Po co pan tam leci, skoro wszedł pan już na wszystkie ośmiotysięczniki?”, „Po co pan leci na tę samą górę po raz drugi? Przecież był pan już na Lhotse”.

Ale zawsze najbardziej bawiło mnie pytanie, zwłaszcza ludzi, którzy nie mieli pojęcia o wspinaniu, a koniecznie chcieli zrobić wywiad z Kukuczką, brzmiące w różnych kombinacjach mniej więcej: „Co pan czuł tam na szczycie?”, „Jakie uczucia towarzyszą podczas wejścia na ośmiotysięcznik?”. No ludzie, jakie uczucia mogą towarzyszyć „złojonemu” wspinaczowi, który ledwo tam wszedł, jest zmęczony jak cholera, a tu jeszcze dobrze by było zrobić zdjęcia jako dowód i artefakt obecności na szczycie. Ot choćby dla siebie, bo od Kukuczki nikt nie wymagał dowodów. Żeby jeszcze tego było mało, trzeba jakoś, najlepiej bezpiecznie, z tego szczytu zejść. I to jak najszybciej, bo pogoda się zepsuje, bo zrobi się ciemno, bo sił może nie starczyć.

Poranny rytuał barwienia kopuły stupy zwanej przez trekkersów „Wszechwidzącymi Oczami Buddy”.

Dariusz Piętak

Byłam świadkiem wiele razy, i to nie tylko w wykonaniu Jurka, jak próbują odpowiedzieć na te pytania. Jedni opowiadali jakieś brednie typu

„na szczycie czułem się wspaniale”, inni, chcąc wybrnąć, próbowali mówić prawdę. Ta prawda nie zawsze się podobała, bo nie pasowała do opowieści, jakim szczęściem jest znaleźć się na dachu świata. No, ale tak to jest. Dziennikarz pyta, nie zawsze mądrze, a wspinający się odpowiada, też nie zawsze mądrze. Była wśród dziennikarzy, na szczęście, spora grupa takich, którzy nie tylko mieli zawodowe podejście do tematu, dobrze zrobioną dokumentację, nawet jeśli niespecjalnie wiedzieli, z czym się je to całe wspinanie.

Wiedziałam, że w naszej grupie (jestem w drugiej grupie, a Kukuczka w trzeciej, ostatniej) leci osoba, która będzie odpowiadała za łączność radiową. Wiedziałam również, że Leszek (tak miał na imię) pierwszy raz bierze udział w wyprawie w Himalaje, za to jest profesjonalistą w swoim fachu. Jurek poprosił, żebym zaopiekowała się Leszkiem, gdyby była taka potrzeba. Na nizinach jej nie było, w górach czasem tak. Tak naprawdę, gdy trzeba, każdy pomaga każdemu. Zresztą sama nie wiedziałam, czy to ja nie będę potrzebowała pomocy.

Nasz cały dobytek wyprawowy poleciał wcześniej, łącznie z naszym osobistym sprzętem do wspinania. Każdy miał swoją przydziałową beczkę. Tak więc dzisiaj każdy wylatuje „na lekko”, czyli z rzeczami osobistymi w plecaku.

16 sierpnia

Zapach orientu

O godzinie 9.45 przylecieliśmy do Delhi.

Wysiadając z samolotu, doświadczyłam (już nie pierwszy raz) fajnego zjawiska. Nagle takie buch, gorące powietrze przenika całe ciało. Nie wiem, jak to działa na innych, ale ja kocham to uczucie. Może to niezbyt zdrowe, bo z klimatyzacji wstępujesz w upał, ale tylko w taki sposób wiesz już na pewno, że jesteś w innej rzeczywistości.

Uwielbiam jeszcze jedną rzecz: zapach. W powietrzu tak w Indiach, jak i w Nepalu unosi się fantastyczny zapach kadzideł, przypraw, zmieszany jakby z palonymi liśćmi. Cudo. Właśnie przede wszystkim po tym zapachu wiesz, że jesteś w innym, egzotycznym, niezwykłym miejscu.

Jak jestem w Polsce i czasem czuję zapach palonych liści, zwłaszcza jesienią, to aż się wzruszam, bo przypomina mi się ten fantastyczny zapach Azji.

Sadhu. Hinduski wędrowny asceta dążący swoim życiem do wyzwolenia. Sadhu w sanskrycie to „dobry człowiek”.

Dariusz Piętak

Część osób pojechała na Tourist Camp, słynne miejsce, przede wszystkim tanie, gdzie w tamtych czasach zatrzymywały się niemal wszystkie wyprawy. Wygląda mało ciekawie, na spalonej słońcem ziemi

ustawione dziwne domki z czerwonej cegły, w środku z czymś na kształt łóżko-pryczy. Oczywiście bez pościeli. Okna bez szyb, więc w nocy masakryczna ilość komarów. Wszyscy wiedzieli, że koczując w tym miejscu, trzeba zabrać środki przeciwko owadom. Niestety nie zawsze pomagały. Najgorsze jest to, że komary przenoszą malarię, a tej choroby boi się każdy. Ponoć można ją tylko zaleczyć, a nie wyleczyć.

Zanim jednak dotarłam do Tourist Camp, siedziałam z chłopakami na lotnisku prawie pięć godzin, bo liczyliśmy na to, że może uda się wyciągnąć nasze cargo, które przyleciało wcześniej. Czekanie w tym potwornym upale dzięki spotkaniu z Wojtkiem Kurtyką upływało całkiem miło. Wojtek też czekał na cargo, przyleciał na swoją wyprawę. Siedzieliśmy na typowej rampie na zewnątrz lotniska, w miejscu, gdzie nie przebywają zwykli turyści. Siedzieliśmy, gadaliśmy, a ja napawałam się opowieściami Wojtka, jego piękną polszczyzną i łagodnym głosem. Jakich interesujących ludzi można spotkać, i to w tak dziwnym miejscu.

Niestety tego dnia nie udało nam się wyciągnąć bagaży wyprawowych, pojechaliśmy więc na Camp. Tu okazało się, że ekipa, która przyleciała w pierwszym rzucie, jest niekompletna, bo kilka osób pojechało zwiedzać Agrę – cud świata. Ponoć przynajmniej raz w życiu trzeba to miasto zobaczyć.

Z Darkiem byliśmy tam trzy lata wcześniej. Pamiętam stamtąd piękne mauzoleum Tadź Mahal i Czerwony Fort, wyjątkowo przyjaźnie nastawionych mieszkańców i straszliwy upał. Leżałam na marmurowych schodach i polewałam się wodą. Nic nie pomagało.

Ciekawe, jakie wrażenie zrobi dzisiaj to miejsce na moich kolegach z wyprawy. Czekam na nich z niecierpliwością nie tylko głodna ich opowieści, ale przede wszystkim dlatego, że nie planuję jutro kolejny raz

podejmować próby wyciągnięcia naszych wyprawowych rzeczy. Niech teraz oni się męczą.

18 sierpnia

Bus do Katmandu

Jeszcze wczoraj kolejne osoby pojechały po cargo na lotnisko. Na szczęście nie ja. A było przecież tych bagaży okropnie dużo. Nie tylko ładunki (beczki) ze sprzętem, odzieżą wyprawową, jedzeniem, ale także nasze osobiste rzeczy, a właściwie rzeczy potrzebne do przeżycia na drugim końcu świata przez prawie trzy miesiące.

Czekamy również na samochód, którym mamy się wkrótce przemieszczać do stolicy Nepalu – Katmandu. Przyjechał. Niestety okazał się za mały, więc czekamy na większy.

Czekanie jest wpisane w każdy dzień wyprawy.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

Dziś z powodzeniem cargo dotarło na miejsce, przyjechał również właściwy autobus, odpowiednich rozmiarów, i zaczęliśmy pakowanie naszych gratów. Trwało to ponad cztery godziny, przy zaangażowaniu całej obecnej ekipy.

Z Witkiem robimy pierwszy materiał filmowy dla telewizji. Co tam mamy? Jak my to mówimy, widoczki z miasta (zdjęcia wyszły fantastyczne, bo to kraj przepięknych kolorów i niesamowitych budowli), miejsce, gdzie się zatrzymaliśmy, i oczywiście przepakowywanie beczek ze sprzętem i pakowanie do naszego pojazdu. Poza sprzętem wspinaczkowym i jedzeniem musieliśmy się w autobusie zmieścić także my.

Świątynia na Durbar Square, głównym placu miasta Patan.

Dariusz Piętak

Jedzenia zabraliśmy z Polski sporo. Głównie liofilizaty. To dania pozbawione wody, a także smaku. Wyglądają jak normalne jedzenie, gdy doleje się wody, a smakują jak trawa, nawet przyprawy nie pomagają. Na szczęście wzięliśmy sporo jedzenia normalnego. Zdobywane, bo przecież

w sklepach nic nie było, w zaprzyjaźnionych miejscach i u zaprzyjaźnionych życzliwych ludzi, którzy zawsze kibicowali alpinistom.

A są w naszych beczkach cuda. Całe mnóstwo puszek. A w nich szynka, pasztety, no i przede wszystkim ulubione danie lidera – golonka. Nie dociekałam, jak oni to zrobili, ale golonka znajdowała się w puszkach pod nazwą szynka. Taki mały kamuflażyk.

Z tą golonką to było coś dziwnego. Rzeczywiście Jurek bardzo ją lubił, ale bez przesady, specjalnie nie był wybredny. W niemal wszystkich publikacjach, ciekawostkach na temat jego osoby czytałam, że golonka to jego ulubione danie. Ale przecież nie samą golonką człowiek żyje. Wierzcie mi, jadł wszystko i nie był zbytnio wymagający.

W beczkach z jedzeniem mamy również mnóstwo zup w torebkach, dużo za dużo jak na mój gust, ale oni wiedzą lepiej. Może tyle zjemy. W końcu chłopy jadą do ciężkiej roboty. Ale największym rarytasem są kabanosy. Niedostępne na rynku, sprawdzają się doskonale, bo suche, nie psują się w tak długiej podróży. Zresztą podróż to jeszcze nic w porównaniu z temperaturami, jakie panują w tym czasie w Indiach i Nepalu. Są puszki z ananasami, wyobrażacie sobie? To nasz wyprawowy rarytas.

Rzeka Bagmati płynie u stóp hinduistycznej świątyni Paśupatinath w Katmandu. Wstęp do niej mają tylko hinduiści.

Dariusz Piętak

Pierwszy nakręcony i opisany materiał wysłany z Delhi zawiera siedem rolek filmu. Oprócz oczywistych widoczków miasta zawiera nasze spotkania z innymi wspinaczami, którzy też podążali w Himalaje, oraz ciekawe rozmowy w agencjach transportowych.

Spakowani, całym obecnym zespołem ruszamy więc do Katmandu (no prawie całym, bo Jurek przylatuje później i mamy się spotkać już w Nepalu).

Około 9 procent mieszkańców Nepalu to buddyści.

Dariusz Piętak

Po drodze w nocy poczułam się strasznie głodna. Poprosiłam więc chłopaków o zatrzymanie autobusu, żeby zjeść choćby dhal. Dhal, czyli tutejsza soczewica z przyprawami, smakowała zawsze znakomicie. Lubię ją do dzisiaj.

Tak więc zatrzymaliśmy się w ciemnościach przed jakąś budą i zamówiliśmy jedzenie. Ja oczywiście dhal z wkładką. Smakowałby doskonale, gdyby nie żarty moich kolegów, którzy jeden po drugim licytowali, czym jest ta wkładka. Psem, szczurem, a może jeszcze czymś innym. Byłam jednak tak głodna, że prawdę mówiąc, nie miało to dla mnie znaczenia. Aromat niesamowitych przypraw absolutnie wykluczał rozpoznanie, co się jadło.

Droga nie była łatwa, spaliśmy w autobusie, aż w końcu dojechaliśmy do Katmandu.

22 sierpnia

Tron Kukuczki

W końcu jesteśmy. Zatrzymaliśmy się w Tukuche Peak, zaprzyjaźnionym hotelu na Thamelu. Jurka znają tu doskonale, zawsze się tutaj zatrzymuje, to jego „tron”. Jest lubiany i przede wszystkim rozpoznawany w Katmandu. W Nepalu cieszy się ogromną estymą, zwłaszcza wśród himalajskiej społeczności i zwykłych ludzi. Gdy miejscowi go widzą, mówią: „Kukucka, Boniek, papa”.

W hotelu pokoje są skromne, ale z łazienkami. Znam to miejsce dobrze, bo podczas poprzedniego wyjazdu do Nepalu też tam z Darkiem spaliśmy. Mili właściciele, pomocni w każdej sytuacji. Kiedyś przyjechałam do nich taksówką po bardzo męczącym locie. Kiedy przyszło do płacenia, okazało się, że przecież nie mam rupii, tylko dolary, a nie chciałam ich wydawać. Pobiegłam do hotelu i zapytałam, czy mogą mi do następnego dnia pożyczyć parę setek na zapłacenie taksówki. Uśmiechnięta recepcjonista najpierw ucałowała mnie serdecznie na powitanie, a potem dała kwotę wielokrotnie przekraczającą opłatę taksówkową i powiedziała: „Masz, jak wymienisz jutro, pojutrze, to oddasz”. Świat jednak jest piękny, a ludzie wspaniali.

Jeszcze tego samego dnia przepakowujemy beczki, przygotowując je do drogi, tak by wynajętym tragarzom dobrze się je niosło.

Ja z Witkiem zwiedzamy miasto zawodowo. Filmujemy zabytki, a każda ulica to coś pięknego. Rozmawiamy z mieszkańcami. Niemalże na każdym kroku oglądamy miejsca kultu religijnego. Jakież to miasto jest wspaniałe. Większość drogi pokonujemy rikszą, najpopularniejszym

pojazdem w tym mieście. Snujemy plany, co jeszcze nakręcić. Jak nie teraz, to na pewno po powrocie z gór.

Wszechwidzące Oczy Buddy symbolizują jedność wszystkich rzeczy.

Dariusz Piętak

24 sierpnia

U ojca Morana

Dziś jedziemy taksówką (takowe też tu są, ale trochę drogie) do ojca Morana. Na ten pomysł wpadł Leszek – nasz radiotelegrafista. Wiedział, że u ojca Morana jest świetna radiostacja pracująca pod znakiem krótkofalarskim 9N1MM. Dzięki niej, jak tylko jest propagacja (sprzyjające warunki), można porozumiewać się niemal z całym światem. Powiedział, że musi ją zobaczyć, bo ponoć jest słynna i niesamowita.

Ojciec Moran jest jezuitą, który wraz z innymi księżmi prowadzi szkołę dla chłopców, raczej z majętnych rodzin. Pomaga również mieszkańcom Nepalu. Ma 83 lata i wygląda świetnie. Przyjechał tu 37 lat wcześniej i został. Jak sam mi powiedział, tu jest prawdziwy świat, tu wie, że żyje.

Jest bardzo szanowaną osobą, nie tylko przez swój stan duchowny, ale przede wszystkim z powodu zaangażowania w edukację nepalskiej młodzieży. Szkoła liczy około czterystu sześćdziesięciu uczniów. Oprócz normalnych lekcji prowadzone są zajęcia praktyczne. Chłopcy uczestniczą w specjalnych warsztatach. Nazywają je tu pracami ręcznymi. Uczą się robić stoły, krzesła, ale też zabawki; oglądaliśmy na przykład pięknie wyrzeźbione koniki.

I tu zaskoczenie. Przedstawiono nam nauczyciela, który prowadził te zajęcia. Rozmawialiśmy oczywiście po angielsku, aż w pewnym momencie ktoś rzucił coś po polsku. A ksiądz odpowiedział nam również po polsku. Okazało się, że jest to brat Karpiński. Polak z pochodzenia, ale ma obywatelstwo amerykańskie. Pokazał nam fantastyczną kolekcję motyli. Gromadził je przez wiele lat. Była imponująca.

Ojciec Moran chyba nas polubił, bo zaprosił nas do obejrzenia jeszcze jednej niezwykłej rzeczy.

Godawari. Szkoła ojca Morana, od lewej: autorka, W. Oklek, brat Karpiński, ojciec Moran, M. Kulej.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

W pięknej, acz skromnej kaplicy umieszczony był czarny kamień. Miał cztery miliony lat i został wmurowany w biały marmur. To unikat na skalę światową.

Szkoła mieści się w miejscowości Godavari niedaleko Katmandu. Została otwarta 1 lipca 1950, po wieloletnich staraniach jezuitów. Niezwykle szybko zdobyła bardzo dobra opinię, nie dziwi więc, że z roku na rok przybywało uczniów. Gdy zaczynała swoją działalność, było ich sześćdziesięciu pięciu.

Na zakończenie naszej wizyty wysłuchaliśmy pełnej ekspresji recytacji uczniów, przygotowanej specjalnie dla nas. Oczywiście nic nie rozumieliśmy, ale liczy się intencja.

Zostaliśmy poczęstowani pysznym posiłkiem składającym się głównie ze świeżych warzyw, po czym zachwyceni, uduchowieni wróciliśmy do

hotelu.

25 sierpnia

Więcej niż historia

Dziś kolejne zaplanowane wcześniej spotkanie z niezwykłą osobą, którą znali wszyscy ludzie przyjeżdżający się wspinać w Himalaje. Spotkanie z wielką damą, która o ludziach gór wie wszystko.

Miss Elizabeth Hawley[*] jest zapraszana przez uczestników wypraw na herbatę, obiad, kolację. Takie spotkanie zawsze musi się odbyć, niezależnie od wszystkiego.

My zaprosiliśmy ją na kolację. Zawsze przychodzi ze swoją słynną torebką i małym notatnikiem.

Interesowała się wszystkimi i wszystkim. Kto jest uczestnikiem wyprawy (tworzy specjalne kartoteki), kto liderem, ile razy byliśmy w Himalajach, a w jakich innych górach. Ale przede wszystkim interesowała ją aktualna wyprawa. Jaka góra, który szczyt, jaką drogą.

Spotkanie-wywiad trwa zazwyczaj parę godzin. Po powrocie z wyprawy rytuał się powtarza. Każdy uczestnik wypełnia swoją ankietę u „Holejki”, bo bez tego ani rusz. Nie istniejesz.

Znała wspinaczy, kochała ich i szanowała za to, co robią. Była na tyle skrupulatna, że gdy przyjechałam później, w 1991 roku, z wyprawą, która miała zamiar zdobywać Annapurnę, Miss Hawley zapytała mnie, czy dalej mieszkam w Dąbrowie Górniczej, z której pochodzę, i czy dalej mam tylko jedno dziecko, a może coś się zmieniło? Byłam w szoku. Nie czytała przy mnie tego z kartek. Przyszła na spotkanie przygotowana. Uwielbiałam tę kobietę. I muszę szczerze przyznać, że trochę jej zazdrościłam. Nie dość, że

mieszkała w moim ukochanym Nepalu, była świetną dziennikarką o międzynarodowej sławie, to jeszcze szanowali ją najwięksi wspinacze na świecie. Dziennikarką to mało powiedziane, ona była genialną archiwistką. Stworzyła przepotężną bibliotekę wiedzy o Himalajach połączoną z historią światowego himalaizmu. Miss Hawley zajmowała się faktografią dotyczącą gór leżących w Himalajach (ale już tych w Karakorum – nie).

Autor i miss Elizabeth Hawley w czasie spotkania w hotelu Tukuche Peak w Katmandu.

Elżbieta Piętak

Na początku naszej znajomości myślałam, że jest Brytyjką. To pewnie przez tę torebkę wyglądała jak brytyjska królowa Elżbieta. Otóż była amerykańską dziennikarką, urodzoną w Chicago. Od 1960 roku mieszkała w Nepalu. Stworzyła ogromne archiwum opisujące ponad dziewięć tysięcy wypraw w Himalaje, a baza osobowa zawiera około siedemdziesięciu tysięcy nazwisk. Co ważne, była korespondentką agencji prasowej Reuters, jednej z najlepszych na świecie. W 1963 roku relacjonowała pierwszą amerykańską wyprawę na Mount Everest, która zakończyła się sukcesem.

26 sierpnia

W góry

Ten dzień był wyjątkowy. Po raz pierwszy wysyłamy nakręcony film z Nepalu. Jest to nasza druga wysyłka paczki z filmem do Warszawy.

Mamy bardzo dużo nagrań. Po pierwsze obrazki z Katmandu, po drugie dobre zdjęcia z wizyty u ojca Morana, a po trzecie wywiad z Elizabeth Hawley. Załączyłam jak zwykle instrukcje, jak montować ten materiał. To nie wszystko, bo musiałam napisać do każdej sekwencji odpowiedni komentarz, żeby montujący wiedział, co robić.

Był to ostatni dzień w stolicy Nepalu, następnego dnia wyruszamy w góry. Najpierw krótki odcinek autobusem, najdalej jak się da, a potem już tylko pieszo, bo droga dla samochodów po prostu się kończy.

27 sierpnia

Gąbeczka raz!

Rano wyruszamy. Wszyscy się cieszą i są jacyś podekscytowani. Wyjazd z Katmandu przybliża nas do miejsca przeznaczenia, pewnie dlatego. Nie ujechaliśmy jednak daleko, bo autobus się zepsuł i musieliśmy nocować. Tam, gdzie się zatrzymaliśmy, tam biwakujemy. Stwierdziliśmy, że nie ma najmniejszego sensu wynajmować jakichś pokoi. Postanowiliśmy spać w naszym autobusie. Każdy dostał wielki materac z gąbki, który ledwo mieścił się między siedzeniami, ale jakoś dało radę. Te materace to nasze łóżka podczas wyprawy. Bardzo wygodne.

Riksha rules na ulicach Katmandu.

Dariusz Piętak

Uliczny ołtarz z figurą boga Ganeśi.

Dariusz Piętak

Są dwie szkoły. Niektórzy koledzy twierdzą, że najpierw kładzie się karimatę, a potem gąbeczkę, a inni uważają, że odwrotnie. Ja preferuję wariant pierwszy, bo jakby co karimatka nie złapie wody, a gąbeczka tak.

28 sierpnia

Dżuga znaczy pijawka

Dojeżdżamy do miejscowości Jiri – tu jest koniec drogi. Wypakowujemy nasze graty z autobusu. Dalszą drogę aż do bazy pod Lhotse musimy przmierzyć pieszo. Nasz ekwipunek będą dalej nieść tragarze. My tylko nasz osprzęt, który wcale nie jest taki lekki.

Przed wyjazdem czytałam książki o wyprawach w Himalaje, a konkretnie o rejonie, w którym mieliśmy działać. Wiedziałam, że droga, zwłaszcza podczas deszczu, wcale nie jest łatwa. Nie chodzi tylko o samo podejście, wysokość, ale o stworzonka, które mogą dać nam się we znaki.

Na naszym szlaku pojawiły się pijawki. Po nepalsku: *dżuga*.

Do tej pory znałam tylko te z apteki. Jak byłam mała, widziałam zwierzątka umieszczone w ogromnym słoju i wyglądające jak czarne wstążki. Były paskudne.

Te nepalskie są inne. Cienkie jak niteczki, niewidoczne, dopiero jak się napompują, czyli nachlają naszej krwi, stają się grube. I wtedy można je zobaczyć. Są takie sprytne, że nie wiadomo kiedy, a już ma się je w bucie (chociaż buty trekkingowe są twarde i grube, zawsze znajdą sobie wejście). Zresztą jak zatrzymasz się choćby na chwilę, też mogą cię obleźć.

W pewnym momencie naszej wędrówki usiadłam na kamieniu. Ze zdziwieniem zobaczyłam, że jedna skarpetka jest czerwona. Zdjęłam but i moim oczom ukazały się dwie pijawki przyczepione do stopy. Okropność.

Oczywiście nic nie bolało. Te małe żyjątka mają niezwykłą zdolność robienia człowieka, zresztą nie tylko człowieka, w konia. Wstrzykują ofierze substancję zwaną hirudyną, która znieczula osobnika. Nic nie czujesz, gdy nacinają twoją skórę, a potem wsuwają twoją krew. Ich

odczepienie też nie jest łatwe. Jak szarpniesz, może zostać kawałek pijawki, a wtedy nie dość, że nie wiadomo, co zrobić, to jeszcze grozi zakażeniem. Czytałam kiedyś o takiej właśnie sytuacji. Mężczyzna podchodzący do bazy i oczywiście zamierzający się wspinać oderwał kawałek pijawki. Ponieważ część została w nodze, a konkretnie w kolanie, zrobiła się rana. Kolano spuchło i ze wspinaczki nici. Nie pomogły nawet antybiotyki, człowiek wrócił do Katmandu i dopiero w szpitalu otrzymał skuteczną pomoc.

Ale jest na nie prosty sposób. Polska sól. Oczywiście może być nepalska, ale ja, spryciula, wzięłam z domu woreczek z rodzimą jej słonością. Zabraliśmy jej sporo, ale nasza sól wyprawowa gnieździła się gdzieś w beczkach. A ja mój cenny woreczek miałam przy sobie.

Rozrabia się sól z wodą (jak nie ma w pobliżu wody, to ze śliną) i polewa paskudę. Ta zwija się w kłębek i odpada. Tak też zrobiłam. Na wszelki wypadek trzeba jeszcze zdezynfekować ranę. Jak nie ma czym, to resztą wody z solą. Szczypie jak diabli, ale i krew przestaje lecieć.

Moi drodzy koledzy (niektórzy) również chętnie skorzystali z moich zapasów.

30 sierpnia

Karawany smak

Wczoraj szliśmy w ulewnym deszczu. Dotarliśmy do urokliwej miejscowości Kenja (1634 m n.p.m.). Hotelik był czyściutki i bardzo przytulny. Tak zapisałam w kalendarzu, choć prawdę mówiąc, tego nie pamiętam. Zapisałam również, że Ryszard Pawłowski opiekował się nami wytrwale i uważnie. Jest tu bowiem kilka osób, które nigdy nie były na

takiej wyprawie. Opowiadał nam o swoich wyjazdach do Afganistanu, do Australii, a przygody miał fantastyczne. Jak to Rysiek. Krążyło o nim wiele opowieści. Zarówno tych dobrych, jak i negatywnych. To chyba dobrze, bo któż z nas jest doskonały?

Obrazek z Katmandu – bogato zdobione drewniane okna i ościeżnice oraz flaga Nepalu.

Dariusz Piętak

W tym miejscu warto wspomnieć, że Ryszard jest doskonałym szachistą. Nikt nie był w stanie z nim wygrać. Tak też było wieczorem tego dnia.

Niestety znów znalazłam, tym razem na krótkich spodenkach, dwie dorodne pijawki. Widać, już się nażarły mojej krwi, bo były dość duże. Posypałam gadziny solą i odpadły.

Dziś z Kenji idziemy do Junbesi na 2675 m n.p.m.

Podejście jest o tyle dziwne, że idziemy to w górę, to w dół. W najwyższym miejscu byliśmy na wysokości około 3400 metrów, a potem znów schodziliśmy. Miejscami poruszaliśmy się w takiej mgle, że na pięć

metrów nie było nic widać. A krajobraz przedziwny. Nagle z tej mgły wyłoniły się drzewa – trochę łyse, bez liści, z konarami oplecionymi zwisającym mchem. Po chwili ukazało się kilka szarych jeziorek. Potęgowały niesamowity krajobraz tego miejsca. Pomyślałam, że można tu bez specjalnej scenografii nakręcić horror. W tej samej chwili odezwał się do mnie Witek (przypominam, mój wspaniały operator) i powiedział prawie szeptem: „W takim miejscu to byłby dobry plener na jakąś niesamowitą bajkę”.

Fajnie, mieliśmy te same skojarzenia.

Szliśmy, zastanawiając się, czy zatrzymać się po drodze i zostać na noc, czy iść dalej. Na mapie widzieliśmy miejscowość Tragdobuk (2860 m n.p.m.); w pewnym momencie doszliśmy do miejscowości o nazwie Taktor i okazało się, że to ta sama, co na mapie. Czasem się tak zdarzało, bo przygotowujący mapy byli angielskojęzyczni, a Nepalczycy mieli swoje nazwy. Trzeba przyznać, że w niektórych miejscach wszystko było dobrze oznakowane, a w innych nie. I choć są to szlaki często uczęszczane, bo to droga na Everest, to czasami można się pogubić. Postanowiliśmy jednak nie zostawać w tej miejscowości, tylko iść do wyznaczonego celu. Naszemu serdarowi, czyli kierującemu karawaną (portersami), zostawiliśmy wiadomość, że idziemy dalej. Serdar ma wyższą rangę niż najka, który ma pod opieką nasze bagaże i ludzi. Tragarze (portersi) są pod okiem najki – zwykle to ktoś w rodzaju sołtysa z ich wioski, który mówi ich językiem i niekoniecznie jest to narzecze serdara.

Niestety niedługo po naszym wyjściu zrobiło się ciemno, a jakby tego było mało, mgła pokryła całą dolinę. No i oczywiście pomyliliśmy drogę. Szliśmy i szliśmy, aż tu nagle wyrosła przed nami furtka. Zwykła, drewniana. Byliśmy już tak zmęczeni, że postanowiliśmy zaryzykować i zatrzymać się w tym miejscu. Jakież było nasze zdziwienie, gdy niecałe

pół godziny później pojawili się nasi tragarze. Okazało się, że oni po prostu doskonale znali drogę, a to miejsce często wybierali na nocleg. Radość była tak wielka, że wypiliśmy po piwie i poszliśmy niesamowicie zmęczeni spać.

Następnego dnia droga na szczęście nie była tak męcząca. Około siedemnastej dotarliśmy do dość podłego hoteliku w miejscowości Manidingma.

1 września

Namcze Bazar. Kukuś już tam jest

Dzisiaj Witka urodziny.

Doszliśmy na wysokość 2835 m n.p.m. Droga była fatalna. Na dodatek cały czas lało. Okropnie zmęczeni postanowiliśmy uczcić ten ważny dzień naszego kolegi. Niestety okazało się, że nie ma naszych beczek, a właściwie nie ma tej najważniejszej beczki, czyli beczki Witka. W tej bowiem beczce, na ten właśnie dzień Wituś przygotował swoim kolegom specjalną flaszeczkę. Niestety do wieczora flaszeczka nie dotarła i musieliśmy iść spać o suchych pyskach.

Wiedzieliśmy, co nas czeka następnego dnia. Ciężka droga do Namcze Bazar.

Miejscowość leży w Parku Narodowym Sagarmatha na wysokości 3440 m n.p.m., nieopodal lodowca Khumbu. Jest bardzo znana, bo to z niej wychodzą wszystkie trekkingi do bazy pod Mount Everestem.

Jaki transportują towary i bagaże uczestników wypraw przez dolinę Khumbu.

Elżbieta Piętak

Mieszkańcami są Szerpowie. Prawie wszyscy mężczyźni pracują w roli tragarzy, wielu z nich jest znakomitymi przewodnikami wypraw himalajskich. To świetni wspinacze. Uratowali życie niejednemu wspinającemu się. Najbardziej znanym Szerpą był Tenzing Norgay, który wraz z Edmundem Hillarym w 1953 roku zdobył Mount Everest. Warto wspomnieć jeszcze dwa nazwiska: Lhakpa Tenzing i Phurba Teshi – weszli na Everest ponad dwadzieścia razy!

Uliczny tybetański młynek modlitewny mani. Na obrotowym wałku wypisane są mantry. Obracanie młynka daje efekt modlitwy.

Dariusz Piętak

Szerpowie w Namcze zajmują się również hodowlą jaków. Te zwierzęta wyglądają jak małe mamuty, całe owłosione. Bywają groźne i są nieskore do zaprzyjaźniania się. Jako zwierzęta udomowione (bo występują też

w stanie dzikim) są używane głównie do transportu ciężkich towarów. Dźwigały także nasze beczki ze sprzętem wspinaczkowym, żywnością i innymi rzeczami potrzebnymi na wyprawie.

Hoduje się je także dla wełny i mleka. W Nepalu popularna jest herbata gotowana z mlekiem jaka i masłem. Kiedyś ugoszczono mnie nią w nepalskim domu. Nie byłam w stanie jej przełknąć, miałam odruch wymiotny, ale musiałam wypić, bo nie wypadało odmówić. Taka herbata jest ponoć bardzo zdrowa i daje dużo siły.

W Namcze Bazar spędziliśmy spokojne dwa dni. Dołączyli do nas pozostali członkowie wyprawy z Kukuczką na czele. Byliśmy w komplecie. A właściwie to my dołączyliśmy, bo Kukuczka już tam był. W Namcze jest sporo hoteli, hotelików. My spaliśmy w dość podłym. Jak zwykle pryczo-łóżka z własnym śpiworem. Ale za to pamiętam pyszne śniadanie. Chleb pieczony przez gospodarzy i dżemik domowej roboty. Do tego pyszne mleko. Nie pytałam, od jakiego zwierzaka.

Tu zrobiliśmy kolejny materiał filmowy. Wywiady z chłopakami i oczywiście z Jurkiem. Kukuś (tak go nazywali zaprzyjaźnieni z nim ludzie), gdy tylko dowiedział się, ile czasu szliśmy, powiedział, że jest z nas bardzo dumny. Ponoć szliśmy szybko i spodziewał się nas dopiero za parę dni.

Niestety Namcze to także ostatni prysznic. W dodatku trochę dziwny, na zewnątrz budynku, trochę z boku, a nad głową coś na kształt lejka i jakimś cudem ciepła woda.

4 września

Z Namcze do Namcze

Wczesnym rankiem wyruszyliśmy z Namcze Bazar. Reszta chłopaków wyszła jeszcze wcześniej i na nas nie poczekali. Część z nich była już w Namcze i doskonale wiedziała, którędy iść. Jak się okazało – my nie. My, to znaczy Witek, doktor i ja, pomyliliśmy drogę i wędrowaliśmy cztery godziny w kółko. Wróciliśmy do Namcze Bazar. W końcu dobrze się stało, bo dowiedzieliśmy się przynajmniej, jak dojść do kolejnej miejscowości. Niestety tego dnia nie daliśmy rady dogonić naszych kolegów. Nikt z naszej trójki nigdy tu nie był, więc trudno się przyczepić do tego, że się nam drogi pomyliły.

Robiło się ciemno. Szliśmy jeszcze dwie godziny, aż postanowiliśmy zanocować. Wieczorem, jak to o tej porze roku bywa w Nepalu, zaczął padać deszcz, za to jaki – po prostu ulewa. Do miejsca, gdzie zamierzaliśmy spać, dotarliśmy zupełnie przemoczeni. Na szczęście gdy weszliśmy do dość okazałej chałupy, okazało się, że na środku izby płonie ogień i daje niesamowite ciepełko. Na wysuszenie ubrań nie było jednak szans. Było zbyt wilgotno. Niczego na zmianę nie mieliśmy, wszystko poszło do góry razem z tragarzami. Jakoś trzeba było sobie poradzić. Siedzieliśmy przy ciepłym palenisku i przekonywaliśmy się nawzajem, jacy to jesteśmy dzielni, że błądziliśmy w ciemnościach i sakramenckiej ulewie, a jednak nie musimy spać w krzakach, pod gołym niebem, tylko znaleźliśmy taką świetną miejscówkę. Tak prawdę mówiąc, trafiliśmy tu przez zupełny przypadek.

Wypiliśmy po herbacie i poszliśmy spać.

5 września

Chukhung, ostatnia wioska, 4800 m n.p.m.

Rano dołączyliśmy do chłopaków w miejscowości Tangboche. Stał w niej kiedyś piękny klasztor, miejsce kultu. Niestety spalił się. I teraz na tych zgliszczach modlą się mnisi. Oglądamy pozostałości po pożarze, wsłuchujemy się w dziwne dźwięki, które niosą się z oddali. Można wierzyć lub nie, ale całe to przedziwne miejsce napawa mnie uczuciem niesamowitego spokoju. Odpoczywamy godzinę i dalej w drogę, do Chukhung na wysokości 4800 m n.p.m. To ostatnia miejscowość na naszej drodze do bazy pod Lhotse.

Buddyjskie rytualne dordże reprezentuje natchnienie, męską siłę. Jest symbolem niezniszczalności stanu buddy. Lama trzyma je w prawej dłoni podczas ceremonii.

Dariusz Piętak

Gdy podchodziliśmy do Chukhung, przydarzyło mi się coś zabawnego. W pewnym momencie marszu, a szłam dość szybko, zrównałam się z Kukuczką. Zaczęliśmy rozmawiać. Wydawało mi się, że idzie dosyć wolno. Miarowym krokiem i, jak to niektórzy mówią, swoim tempem, ale dość wolno. Postanowiłam go wyprzedzić, bo co będę tak się wlokła.

Niestety wysokość zaczęła dawać mi się we znaki. Jakież było moje zdziwienie, gdy nagle nieśpiesznie minął mnie Jurek.

On doskonale wiedział, że nie należy tak pędzić, miał doświadczenie, a ja nie.

Buddyjski dzwon rytualny.

Do Chukhung, które wydało mi się końcem świata, dotarliśmy wieczorem. I to był koniec świata. Pamiętam niesamowity zapach powietrza, tak czystego, że zapierał dech w piersiach, przezroczystego, dosłownie i w przenośni. Dopiero w takim miejscu uświadomiłam sobie, że dalej już tylko my i góry, że to ostatnia miejscowość, w której mieszkają ludzie. Na tej wysokości trzeba odpocząć, przejść aklimatyzację, nie ma mocnych. Trzeba pogodzić się z faktem, że jako ludzie jesteśmy niedoskonali.

Zamówiliśmy ziemniaki z solą, które po takiej wędrówce smakowały jak delicje. Piliśmy pyszną nepalską herbatę i rozkoszowaliśmy się niesamowitą ciszą. Jurek, Witek i ja śpimy w jednej chałupie (oczywiście razem z gospodarzami), a pozostali w drugiej. Następnego dnia mamy wyjść do bazy.

6 września

Cofka, czyli taktyczny wycof

Dziś spędzamy ostatni dzień (tak nam się przynajmniej wydaje) w ostatniej miejscowości przed bazą – Chukhung. To kilka domów, a właściwie bardziej chat, w których oprócz pomieszczeń dla właścicieli są także duże, kilkuosobowe sale dla turystów. Na drewnianych konstrukcjach niby-łóżka. Przy wejściu stoi piec, który bardziej przypomina palenisko niż urządzenie do przygotowywania potraw. Można jednak zamówić prosty posiłek. Czeka się długo, ale zawsze dostanie się coś na ciepło. Najpopularniejsze są ziemniaki gotowane w soli himalajskiej, oczywiście w mundurkach. Smakują znakomicie. Można zamówić rarę, popularną tu zupkę typu rosołek. Też pycha. Jest także warzywo. W miejscowym języku nazywa się

sabdżi. To zielsko o dużych podłużnych liściach, smakuje trochę jak szpinak, a trochę jak sałata, gotowana. Bo to warzywo podaje się na ciepło. Jest jeszcze jedna dobra wiadomość. Aż do tej ostatniej miejscowości wszędzie po drodze można kupić piwo. Nepalskie piwo. Też pyszne.

Wstaliśmy z Witkiem wcześnie rano i postanowiliśmy nakręcić trochę zdjęć.

Zrobiliśmy karawanę wychodzącą do bazy, jaki obładowane nie tylko naszym wyprawowym sprzętem, ale także benzyną, tak przecież potrzebną w bazie do gotowania.

Postanowiliśmy wyjść jako ostatni, żeby nie tracić dnia tylko na podejście, chcieliśmy też trochę popracować. Witek robił zdjęcia, a ja opisywałam to miejsce i rozmawiałam z jego mieszkańcami. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu kilka osób, mimo że miały już trochę lat, powiedziało, że nigdy nie byli na dole. Na dole, czyli w jakiejś większej miejscowości, nie mówiąc już nawet o Katmandu. Cudne, prawda?

W końcu zaczęliśmy podchodzić – Witek, doktor i ja. Szliśmy jakieś półtorej godziny, a może nawet mniej. Droga była bardzo kamienista. Nie dość, że coraz wyżej, to jeszcze te kamiory. Zaczęła się również zmieniać roślinność. Z zielonej na żółtą, a potem na szarą.

W pewnym momencie zatrzymaliśmy się przy małym rozwidleniu. Myślałam, że chłopaki zastanawiają się, którą drogę wybrać. Okazało się, że Witek poczuł się trochę słabo. Postanowiliśmy zawrócić i, jak to było w zwyczaju, przespać jeszcze jedną noc niżej.

Właściwie to byłam zadowolona. I nam przyda się lepsza aklimatyzacja. Nie było to nic groźnego, na szczęście. Połączyliśmy się przez radio z Jurkiem i powiadomiliśmy go, że zostajemy jeszcze jeden dzień. Powiedział, że jemu też się parę razy to zdarzyło (chyba nas pocieszał, bardzo miło z jego strony) i że bardzo mądrze zrobiliśmy, że zawróciliśmy.

Wybraliśmy miejsce, w którym zamierzaliśmy spać, i poszliśmy na krótki spacer po okolicy. Jakież było moje zdziwienie, gdy w pewnym momencie zobaczyłam w oddali znaną mi sylwetkę. Wydawało mi się, że może przez wysokość mam jakieś omamy. Ale nie. To był Leszek Czech. Też postanowił zawrócić. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że on doszedł już do bazy, a więc trochę schodzenia miał. On także niespecjalnie się czuł. Pomyślałam: „Dobrze, że jest, bo zawsze raźniej w większej grupie”.

Uliczna sprzedawczyni warzyw.

Dariusz Piętak

Jak się później okazało, chłopaki, którzy dotarli do bazy, po bardzo krótkim odpoczynku zaczęli zakładać nasze miejsce do życia mające nam służyć przynajmniej dwa miesiące.

I tak ten dzień postanowiłam oznaczyć w swoim kalendarzu: jako dzień założenia bazy.

7 września

Baza coraz dalej

Gdy wszystko idzie źle.

I nie masz dokąd pójść,

przyjaciół tłum rozproszył się...

Wydaje ci się, że

Tak pozostanie już,

lecz okazuje się – że nie, bo oto:

Budzi się z nocy nowy dzień.

Nieskalanie czyste niebo

Co było wczoraj odeszło w cień

Niepamięci, niech się święci

Cud niepamięci

Stanisław Sojka, *Cud niepamięci*, 1990

Rano, około dziesiątej, niespiesznie – wychodzimy. Niestety po około dwudziestu minutach tym razem ja poczułam się fatalnie. Nie bolała mnie głowa, tylko nie mogłam oddychać. Uczucie niesamowite, otwiera się usta, nabiera powietrza i jakby ono w ogóle nie dochodziło do płuc. Oddech miałam płytki, łapałam powietrze jak ryba. Moi partnerzy podejściowi chyba musieli to widzieć, bo z troską w głosie parę razy pytali, czy wszystko w porządku. Nie było w porządku. Myślałam, że mnie to nie sieknie. A jednak.

Zdecydowałam się zawrócić. Reszta oczywiście solidarnie zadeklarowała, że wraca ze mną.

Ponieważ Witek i doktor czuli się dobrze, grzecznie podziękowałam, bo wiedziałam, że jak najszybciej chcieli znaleźć się w bazie. Zaproponowałam, żeby poszli sami. Przystali na to ochoczo. W bazie potrzebne były ręce do pracy.

W drodze do bazy pod południową ścianą Lhotse.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

Ku mojej radości Leszek zaproponował, że ze mną zostanie. „Przecież nie zostawię baby samej” – to jego słowa. Na szlaku było trochę zagranicznych „wędrowców z nizin”, więc pewnie z kimś bym się zakolegowała, ale swój to zawsze swój. Byłam mu wdzięczna. Wróciliśmy

razem do Chukhung. Zakotwiczyliśmy w ostatniej chałupie. Okazało się, że przyszło trochę ludzi, bo powoli zaczynał się sezon trekkingów zmierzających głównie do bazy pod Mount Everestem, więc robili tu ostatni przystanek.

O dwunastej mieliśmy łączność z bazą. Leszek powiadomił ich, że zostajemy jeszcze jeden dzień.

Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu zamiast być lepiej, było gorzej. Zaczęło mnie boleć gardło, też dość typowy objaw doskwierającej wysokości. Na dodatek leciała mi krew z nosa. To pewnie ciśnienie dało się we znaki. A myślałam, że nic mi nie będzie.

Po południu znowu połączyliśmy się z bazą. Tym razem rozmawiałam z Jurkiem. A on jak troskliwy tata prosił, żebym się nie forsowała, a brzmiało to dokładnie tak: „Nie łaź nigdzie, głupia, tylko siedź na miejscu, a najlepiej idź spać”. Posłuchałam i o dziwo pomogło. Jak zwykle miał rację. W końcu jest się tym liderem wyprawy.

Mam nadzieję, że jutro wszystko będzie w porządku i będziemy mogli wreszcie dotrzeć do bazy, a właściwie ja dotrę do bazy, bo Leszek już przecież tam był. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy wyruszyć około ósmej. Mam nadzieję, że będę się dobrze czuła, bo jeśli nie, to Kukuczka kazał mi zostać jeszcze jeden dzień.

Miałam ze sobą trochę książek, ale żadna nie dotyczyła choroby wysokościowej. Przypominałam więc sobie, czego się naczytałam przed wyjazdem w fachowych podręcznikach. Opisywano w nich historie wielu wypraw, na których ludzie chorowali, i przypadki, gdy niektórzy tak źle się czuli, mimo wcześniejszej, wydawać by się mogło, dobrej aklimatyzacji, że trzeba było ich sprowadzać z bazy. To mnie trochę pocieszało. I nie było to usprawiedliwianie się przed samą sobą, tylko już naprawdę bardzo

chciałam być w bazie. Prawdę mówiąc, może dobrze, że całą robotę odwalą chłopcy.

Aklimatyzacja

Góry, mimo że piękne, potrafią być bardzo niebezpieczne. Truizm, o tym wszyscy wiedzą. Od tych, którzy chodzą po Beskidach, po wspinających się w Alpach czy Himalajach. Wszystko jedno, po jakich górach wędrujesz, zawsze trzeba się do tego przygotować. Góry mają swój mistycyzm, są nieogarnięte, wzniosłe i niedostępne. Uczą pokory. Nie wystarczy być na wielu wyprawach, mieć ogromne doświadczenie w chodzeniu po górach, trzeba jeszcze zadbać o własne bezpieczeństwo i być czujnym, bo wszystko może się zdarzyć. Nie należy stroić bohatera, tylko przestrzegać zasad, które w górach są po prostu konieczne.

Przy podejściach, nawet trekkingowych, nie należy się spieszyć. Powinno się iść własnym tempem, a nawet trochę wolniej. Dzięki temu nie forsujemy zbytnio organizmu. I tak cierpi, bo im wyżej, tym ma mniej tlenu, a ciśnienie jest coraz niższe.

Podstawą jest nawadnianie organizmu. Należy pić dużo wody, więcej niż na nizinach. Trzy litry to minimum, a niektórzy twierdzą, że pięć.

Jeśli na danej wysokości zaczynasz się dziwnie (czytaj: źle) czuć i odczuwasz bóle czy zawroty głowy, czasem mdłości, to nie pchaj się dalej. Zostań na tej wysokości, a najlepiej zejdź niżej. Sprawdziłam to na sobie. Zaraz poczujesz się o wiele lepiej.

Dobrym sposobem jest także dawkowanie wzniesień. Co mam na myśli? Po prostu idziemy góra–dół. W ten sposób powoli przyzwyczajamy organizm do wysokości i oszczędzamy mu szoku.

Zawsze trzeba pamiętać o odpoczynku. To dla naszego wnętrza ukojenie, dojście do równowagi całego ciała. Serce i płuca muszą przyzwyczaić się do wysokości.

W powietrzu jest mało tlenu, a obniżenie poziomu tlenu we krwi oznacza wzmożoną filtrację nerek. Co to powoduje? Częste sikanie. Niby to nie problem, ale trzeba pamiętać o uzupełnianiu płynów, bo możemy mieć kłopoty.

Na mniejszych wysokościach lepiej śpimy i lepiej się regenerujemy. Ideał: wchodzimy tysiąc metrów, a do spania nieco schodzimy.

Baza pod południową ścianą Lhotse.

Elżbieta Piętak

Oczywiście jak zawsze wszystko zależy od organizmu. Jedni czują się źle na wysokości 1500 metrów i za nic nie pójdą dalej, a innym wysokość zaczyna dokuczać dopiero na 4000 metrów.

Ponoć nasz organizm jest bardzo pamiętliwy. Jeśli raz zachorujesz w górach, to całkiem możliwe, że następnym razem to się powtórzy. Na szczęście nasze ciało pamięta również dobre rzeczy.

Jeśli jesteś dobrze zaaklimatyzowany, to zostanie ci to zapamiętane i na pewno będziesz się czuł dobrze. I jeszcze jedna istotna rzecz. Nie pchamy się na dużą wysokość, gdy boli nas gardło, zęby albo mamy choćby lekką gorączkę. Wyżej będziemy się czuć jeszcze gorzej.

Podczas naszej wyprawy na Lhotse odmroziłam sobie dłonie. Najpierw zaczęły puchnąć. Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo dłonie mogą spuchnąć. Palce robią się grube jak parówki i za nic nie chcą się zginać. Spróbujcie złapać kubek! Niewykonalne. Trzeba chwytać całą spuchniętą ręką, a ponieważ palce się nie zginają, należy pomóc sobie drugą, inaczej się nie da. Po „parówkach” pojawiły się dziwne zaczerwienienia, które dość szybko zamieniły się w twarde strupy. Na szczęście zdarzyło się to pod koniec wyprawy. Im niżej schodziłam, tym szybciej objawy ustępowały. Gdy zeszłam na niziny, na dłoniach pozostały tylko niewielkie zaczerwienienia. Niestety wracają każdej zimy. Takie tam stygmaty zlekceważenia Lhotse, jak powiada mój osobisty, domowy, naczelny filozof.

Sprawdziła się metoda, że im niżej, tym lepiej. Przynajmniej w przypadku dolegliwości chorobowych związanych z moimi dłońmi.

W 1991 roku pojechałam na wyprawę na Annapurnę, dziewiąty co do wysokości szczyt Ziemi (8091 m n.p.m.). Przez pierwszy miesiąc mój organizm działał prawidłowo. Aż tu nagle – zonk. Przypomniał sobie. Spuchły mi dłonie, a palce znowu stały się nienaturalnie napompowane. Pomyślicie, że przecież mogłam się jakoś przygotować. Jasne, przygotowałam się. Po powrocie z Lhotse poszłam do lekarza, który

wielokrotnie uczestniczył w wyprawach wysokogórskich. Opowiedziałam, co mi się przytrafiło, i poprosiłam o zalecenia w przypadku kolejnej wyprawy.

– Schodzić niżej – powiedział – skoro to ci pomogło.

Na kolejny wyjazd zabrałam też jakieś dziwne maści przepisane przez lekarza, który znał się na odmrożeniach. Piłam dużo wody, a nawet, gdy mi ręce już spuchły, brałam Diamox, żeby nie spuchła mi twarz. Bo wtedy mogłoby skończyć się źle. Mogłabym zwyczajnie się udusić.

8 września

Baza 5250 m n.p.m.

Rano pada, by to cholera. Za to czuję się dobrze. Wychodzimy parę minut po dziewiątej. Za wcześnie wychodzimy, pomyślałam, może zostać tu dłużej? Bo szło mi się fatalnie.

W końcu po trzech godzinach, czyli około dwunastej, doszliśmy do bazy. I jak ręką odjął. Czuję się fantastycznie. Bazę mamy na wysokości 5250 m n.p.m. Wygląda świetnie. Moi koledzy wykonali kawał ciężkiej roboty, żeby tak wyglądała.

Żółte i czerwone namioty dla uczestników wyprawy i nasza „stołówka” podzielona na trzy części. W jednej miejsce do jedzenia, czytania, grania w szachy czy karty, w drugiej kuchnia i miejsce do spania naszych kucharzy, w trzeciej magazyn. Moje królestwo. Został wybudowany z kamieni i przykryty nieprzemakalnym brezentem, który, jak się później okazało, jednak przeciekał.

Wyjścia naszych namiotów są skierowane na południowe stoki Lhotse. Gdy tylko wyglądam z mego namiotu, widzę tę ogromną ścianę.

Nasza baza mieści się przy morenie lodowca, który potęguje wrażenie niesamowitości. Wszędzie niezliczone ilości kamieni, które przesuwając się, sprawiają wrażenie, jakby żyły. Te kamienie wydają niesamowity, głuchy dźwięk, kiedy się ruszają. Brzmi to dość przerażająco. Nie lubię tego lodowca. No ale nie jesteśmy tu, by się lubić, tylko by lhotsować.

Witold Oklek. Operator filmowy wyprawy. W tle paralotnie rozłożone przez ekipę.

Elżbieta Piętak

Kukuczka, czyli Dyrektor, bo tak na niego mówimy (zresztą doskonale to do niego pasuje, wszystkiego pilnuje, o wszystkim decyduje), wydał dyspozycje, kto czym się będzie zajmował. Wspinacze do wspinania, lekarz do leczenia, łącznościowiec – wiadomo, a ekipa telewizyjna do filmowania. Choć nie tylko. Ja dostałam superważne zadanie. Mam w bazie odpowiadać za magazyn żywnościowy. Pilnować, żeby niczego nie zabrakło, czasem

decydować, co na obiad, podpowiadać naszym kucharzom, jak coś ugotować, żeby było po polsku.

Tomasz Kopyś z kolejną swoją fascynacją. A jakby tak to uruchomić?

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

W bazie pełnoprawnymi uczestnikami wyprawy są również Nepalczycy, którzy zajmują się kuchnią. Zresztą fajne chłopaki, cały czas się uśmiechają, a co najważniejsze, każdego ranka przynoszą nam do namiotów pyszną kawę. To fantastyczny zwyczaj. Budzisz się, a tu kawa. Nepalczycy mówią do mnie *Di-di*, czyli starsza siostro. Wygląda to mniej więcej tak. Rano, czyli około 7.30 krzyczeli przed wejściem do namiotu: „*O Di-di, o Di-di*”. Wyciągam wtedy rękę przez lekko uchylone poły namiotu, żeby wziąć kubek z parującą kawą.

Każdy z uczestników wyprawy odbywa dyżur w kuchni. Nie gotuje, podaje kucharzowi menu i osobiście pilnuje, by dania przypominały choć trochę swym smakiem żurek, kopytka, kluski śląskie, bigos. Śniadania mamy jeść o godzinie ósmej, obiady między trzynastą a czternastą, a kolacje między osiemnastą a dziewiętnastą.

Kucharz codziennie woła nas również na główny posiłek. Nie pamiętam już dokładnie, kto nauczył ich po polsku słowa „koryto”. I tak właśnie kucharz wołał: „O koryto! O koryto!”. Cała nasza zgraja niespiesznie udawała się wtedy na jedzonko. Któregoś dnia Witek nakręcił ten rytuał. Mamy więc nasze koryto na filmie.

Oprócz kucharzy siedział z nami prawie cały czas oficer nepalski. To specjalny wysłannik ministerstwa turystyki Nepalu, który pilnuje, co się dzieje na wyprawie i czy czasem nie wchodzimy na jakiś szczyt bez zezwolenia, a przede wszystkim bez opłaty. Opłaty za papier, który daje zgodę na wspinanie na daną górę, są bardzo wysokie. Zresztą bardzo mu się nudziło i często schodził z bazy na kilka dni.

Tego dnia postanowiliśmy z Witkiem popracować. Zrobiliśmy wywiad z Tomkiem i naszym oficerem. Oficer był bardzo zadowolony. Powiedział, że pierwszy raz będzie występował w telewizji, i to zagranicznej. Poświęciliśmy również sporo taśmy na obrazki z bazy. Żeby pokazać plan ogólny, jak baza wygląda, Witek musiał oczywiście wejść wyżej. Kilka namiotów i stołówka zajmują trochę przestrzeni, a chciałam ogarnąć to miejsce z góry, bo na pewno przyda się do filmu.

Rysio Pawłowski i Przemek Piasecki wyszli nocować wyżej, na wysokość 6100 metrów. Pomoże im to w lepszej i szybszej aklimatyzacji.

9 września

Bigos numer dwa

W nocy było potwornie zimno. Śpię na dwóch materacach piankowych i na to mam karimatę, drugą, bo pierwszą ułożyłam pod piankami. Do puchowego grubego śpiwora pakuję się w kurtce puchowej i dwóch parach skarpetek. Zakładam w końcu butki puchowe, specjalnie uszyte dla mnie na ten wyjazd. I jest trochę lepiej, choć i tak zimno.

Najbardziej boję się lawin. Ryszard Warecki pokazał mi dwa miejsca, z których mogą zejść. Jeśli coś źle pójdzie, zahaczą o nasze namioty. Uważałam, że miejsce bazy jest bezpieczne, moi koledzy mają ogromne doświadczenie górskie i nic nie powinno się stać, a jednak. Wyobraźnia pracuje.

Przeczytałam kiedyś o lawinie, która zeszła podczas którejś wyprawy w nocy, gdy wszyscy spali, i dwóch wspinaczy się udusiło. Spadająca lawina po zejściu natychmiast się zaciska, dlatego tak ważna jest błyskawiczna pomoc, żeby ofiara się nie udusiła.

Wyrobiłam w sobie odruch strząsania śniegu z namiotu. Jeśli padał, to w nocy, nawet przez sen, podnosiłam ręce do góry i uderzałam w namiot. Dzięki temu świeżo spadły śnieg chociaż trochę się osuwał.

Tak się do tego przyzwyczaiłam, że po powrocie do Polski pewnej nocy obudziłam się z wyciągniętymi rękami. Zsypywałam śnieg. Po kilku dniach Darek ni z tego, ni z owego zapytał któregoś ranka: „Co, dziś w nocy znowu była lawina? Normalka”.

Lawina w dolnym spiętrzeniu ściany.

Elżbieta Piętak

Rano piękna pogoda. Postanowiłam zrobić pranie. Łatwo powiedzieć. Pranie w lodowatej wodzie naszego strumyka nie było proste. Zapomniałam nadmienić, że większość baz rozbija się tam, gdzie jest woda. Niestety ma ona ujemną temperaturę. Myjemy się w niej. Jest

przezroczysta, bo leci z najwyższych partii gór, nigdzie nie ma tak czystej wody.

No więc zrobiłam wielkie pranie. A potem przez dwie godziny rozgrzewałam ręce.

Postanowiłam przygotować chłopakom bigos. Nie było to proste, bo w bazie mamy tylko słodką kapustę. Pozostałe produkty też dziwaczne. Sucha kiełbasa, kabanosy, a ponieważ nie ma mięsa, poprosiłam kucharza, by otworzył jedną puszkę z golonką. Za nic nie chciał, przekonywałam go ze dwadzieścia minut, a on cały czas swoje:

– Jak się Dyrektor dowie, będzie zły.

– To powiesz, że ja ci kazałam – odrzekłam.

– Ale i tak to na mnie będzie zły – odpowiedział. W końcu się zgodził.

Tomek Kopyś z Maćkiem Pawlikowskim rano wyszli pod ścianę Lhotse na rekonesans.

W tym czasie Jurek zdecydował, że razem z doktorem idą zmienić Przemka i Ryśka na Island Peak (poszli się tam aklimatyzować). Przed wyjściem przyszedł Dyrektor i powiedział: „Zostaw mi trochę tego bigosu i pilnuj, bo jak nie, to wszystko zeżrą”.

Zanim wyszli, Dyrektor chciał się połączyć z Przemkiem i zdarzyła się przezabawna sytuacja.

Włączył mu się Tomek (jest cudny, bo zawsze żartuje) i pyta po angielsku: „Kto mówi?”.

Jurek odpowiada: „Kukuczka”.

A Tomek na to: „A kto to jest Kukuczka?”.

Kukuś odpowiada: „Polska ekspedycja”.

Na co Tomek: „Z komunistycznego kraju? Niemożliwe”.

Wreszcie Kukuś się kapnął. Ponieważ wszyscy to słyszeli, zabawa była przednia.

Ryszard Warecki i Witek postanowili iść polatać na paralotni, ponoć raz się udało.

Wieczorem było trochę nerwów, bo nie mogliśmy połączyć się z Dyrektorem. Wiedzieliśmy, że na pewno nic się nie stało, ale tu ważne było hasło. A na dzisiaj ustalone zostało jako „wódeczka”.

Wieczorem jedliśmy bigos. Był pyszny. To moje danie autorskie, na nizinach też mi wychodzi. Chłopakom również smakował.

Około dwudziestej pierwszej przypomniało mi się, że miałam sprawdzić, ile zostało dla Dyrektora. Nic. Wielkie nic. Nie mogłam dojść, kto go zjadł. Zresztą i tak by to nic nie dało, bo bigosu nie było.

Zapowiedziałam kucharzom, że rano gotują niestety jeszcze raz. I pilnują. Jak tylko ktoś się zbliży do tego bigosu, mają mnie wołać. Bo teraz to jest pewne, że Dyrektor nas zabije, a mnie na pewno.

Jurek zjadł bigos numer dwa i bardzo mu smakował. „Musisz to powtórzyć” – powiedział.

10 września

Paraglajding first step

Dziś postanowiliśmy z Ryszardami Wareckim i Pawłowskim, Przemkiem i Tomkiem zejść poniżej bazy, na w miarę płaski teren, i potrenować trochę biegi z paralotnią. Zeszliśmy, płasko było, ale wszędzie masa kamieni. Razem z Wareckim objaśnialiśmy zasady działania tego latającego skrzydła. Jak należy biegać, żeby powietrze napełniło czaszę, gdzie patrzeć

i co robić ze zwisającymi sznurkami. Rysio Pawłowski, Przemek i Tomek trenowali więc stawianie paralotni i sporo się nabiegali. Było klawo. Chłopcy są zadowoleni i ja też.

Witek w trakcie nauki rozkładania paralotni.

Elżbieta Piętak

Wróciliśmy około 12.30, postanowiłam więc napisać artykuł do gazety.

Ryszard Warecki. Kierownik organizacyjny wyprawy.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

Przed wyjazdem razem z Jurkiem zobowiązaliśmy się, że będziemy pisać artykuły, relacje z wyprawy do „Walki Młodych”. Pisałam streszczenia tego, co robimy, a w redakcji opracowywali ten materiał i słali do druku. Zresztą wychodziły z tego bardzo fajne reportaże.

11 września

Paczka do Warszawy

Rano zrobiliśmy z Jurkiem wywiad, a właściwie jego wypowiedź na temat południowej ściany Lhotse – o próbach wejścia, przejściach dróg i naszych planach zdobycia tej góry. Wyszło bardzo dobrze. Okazało się, że Jurek potrafi świetnie opowiadać. Sprawdziła się zasada, że materiał trzeba przygotowywać tak, „żeby ludzie zrozumieli, a alpiniści się nie śmiali". Po wielu latach kontaktów z mediami Jurek wiedział, co mówić. Opowiadał o sobie. Mówił, że jest to jego siedemnasta czy może osiemnasta wyprawa w Himalaje, a pod tą górą jest po raz trzeci. Pierwszy raz był tu dokładnie dziesięć lat wcześniej i to właśnie Lhotse była pierwszym ośmiotysięcznikiem, który zdobył. W 1985 roku pojawił się tu po raz drugi. Niestety, jak sam powiedział, to była porażka. Nie wszedł na szczyt. I teraz po latach znów chce się zmierzyć z tą górą.

Pada deszcz ze śniegiem, postanowiłam więc czymś się zająć i całe popołudnie robiłam porządek w naszej aptece. Koszmar.

Na obiad była oczywiście golonka, bo dziś dyżur w kuchni miał Dyrektor.

Wieczorem okazało się, że Rysia Pawłowskiego boli noga. Źle skoczył, a właściwie biegał na paralotni i coś mu się stało. Mam nadzieję, że to nic groźnego. Musi go jednak nieźle boleć, bo to twardy facet, a minę ma nietęgą. Mało mówi, a skoro powiedział o tej nodze, to musi coś z nią być.

Na kolację były placki ziemniaczane. Ja placków nie lubię, ale nie ma co wybrzydzać. Trzeba zjeść.

Dziś też postanowiliśmy zrobić wysyłkę nakręconego materiału. Był tam wywiad z Pawłowskim, Wareckim, Kopysiem i oczywiście

z Kukuczką.

Nie było to jednak proste. Specjalnie zapakowane pudło oddaliśmy w ręce naszego kuchcika (pomocnika kucharza), który musiał zejść w dolinę, poczekać na osobę zajmującą się przesyłkami z okolicy i wytłumaczyć, gdzie trzeba przesyłkę dostarczyć. A dostarczyć trzeba do Katmandu, tak żeby pocztą lotniczą dotarła do Polski. W Warszawie na lotnisku ktoś z obsługi zawiadamiał odpowiednie osoby z telewizji i jedna z nich tę przesyłkę odbierała. Zanim dotarła do telewizji, mijało zazwyczaj kilkanaście dni, a jeszcze trzeba było wszystko opracować, korzystając z moich notatek, i oczywiście zmontować.

12 września

W stronę jedynki

Dziś dobrze mi się spało, bo nie zmarzłam.

Rano, oprócz rytualnej kawy, na śniadanie była pyszna jajecznica.

Poprosiłam w kuchni o zagrzanie mi wody. Chciałam się wykąpać. No, może bez przesady, raczej porządnie wymyć, bo do dyspozycji zamiast wanny miałam miednicę. Jak Warecki to usłyszał, powiedział, że zobaczę, zabraknie kerozyny (czyli naszego paliwa benzynopodobnego). Jedna mała butelka kosztuje sześćdziesiąt rupii, a tu pewnie i więcej, może ze sto. Rozbawił mnie tym bardzo i powiedziałam, że jeśli od kubka gorącej wody załamie się ekspedycja, to dziwaczna to ekspedycja.

Usłyszał to Kukuś i powiedział, że to jakieś bzdury i że każdy może sobie raz w tygodniu zagrzać wody. Porządnie się więc wymyłam i jeszcze wystarczyło mi tej wody, żeby zrobić pranie.

Wreszcie nie w zimnej wodzie.

Po południu okazało się, że z nogą Pawłowskiego nie jest dobrze. Podczas biegania z parapentem coś mu strzeliło w kolanie i teraz nie może chodzić. Doktor jakoś ją nastawił, po czym przywiązał do niej kamień i kazał Ryśkowi usiąść na beczce. Noga zwisała luźno i dzięki obciążeniu miało coś wskoczyć na miejsce, a w każdym razie pomóc. Aż zrobiłam z całej tej operacji rysunek. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Mam nadzieję, że doktor wie, co robi, w przeciwnym razie Kukuczka mnie zabije za to, że zabrałam ich na ćwiczenia z paralotnią i jeszcze kazałam biegać po kamieniach. Zresztą jak tylko wróciliśmy i dowiedział się, że Ryśka boli noga, od razu mnie opieprzył i powiedział, że koniec z programem rozrywkowym, bo zaczynany się wspinać. Dobra, koniec to koniec, Dyrektor ma zawsze rację.

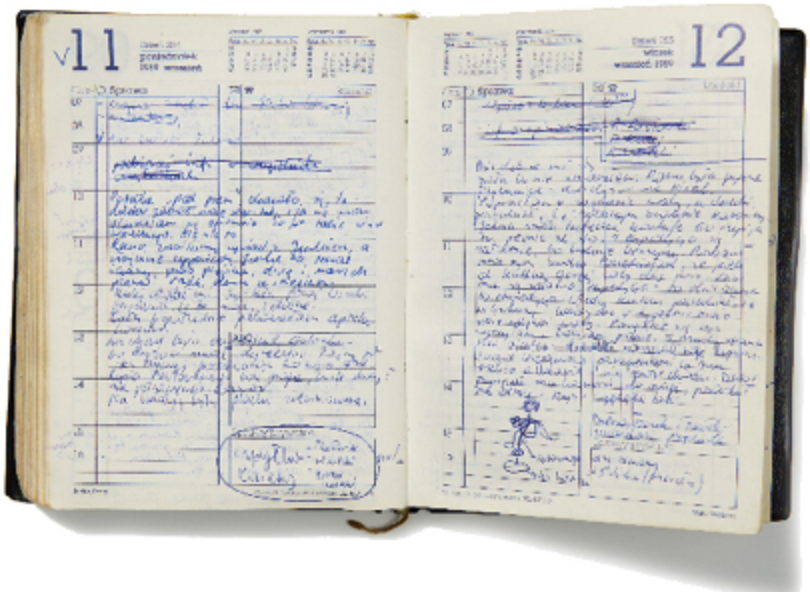

Oryginał dziennika pisanego na gorąco w trakcie wyprawy. Na rysunku Rysiek Pawłowski z nogą obciążoną kamieniem lodowcowym.

Marcin Klaban

A na ścianie Tomek Kopyś, Maciek Pawlikowski i Przemek Piasecki założyli poręczówki na drodze do obozu pierwszego. Niestety warunki były

ciężkie. Chłopcy wybrali tak zwaną polską drogę i na niej założyli liny poręczowe.

13 września

Jest jedynka! 5800 m n.p.m.

Ważny dzień. O szóstej rano wyruszamy pod ścianę. Niestety żeby tam dotrzeć, musimy przejść przez lodowiec. Do oznaczania drogi zabraliśmy patyki z żółtymi chorągiewkami na końcu. Chodzi o to, żeby wiedzieć, którędy wracać do bazy spod ściany. Chorągiewki wskazują bezpieczne przejścia. A bezpiecznie jest tam, gdzie nie ma szczelin. Wszyscy uczestnicy wypraw górskich doskonale wiedzą, jak niebezpieczny potrafi być lodowiec. Trzeba bardzo uważać, żeby nie wpaść w szczelinę, bo wtedy może być koniec.

Za każdym wyjściem pod ścianę chłopaki zabierali chorągiewki. To nie jest tak, że jak raz się je wbije, to będą w tym miejscu tkwić na zawsze. Nie, bo lodowiec je połyka. Lodowa masa cały czas się rusza i te ruchy są odczuwalne, gdy się po nim idzie. Doskonale je też słychać. Ocierające się bryły lodu i kamieni wydają paskudny dźwięk.

Bardzo to wyjście przeżywałam. W nocy miałam jakieś koszmary. Na szczęście nad ranem śniła mi się babcia Maleńka, więc wiedziałam, że nie może się stać nic złego. Z jednej strony się bałam, a z drugiej bardzo chciałam już wyjść, by znaleźć się pod tą ścianą. Pod naszą górą.

Na początku było bardzo ciężko. Dotarcie z moreny prosto na lodowiec zajęło około godziny. Szłam razem z Kukuczką, Ryśkiem Pawłowskim, Witkiem i doktorem. Jakąś godzinę przed nami wyruszyło dwóch

uczestników naszej ekspedycji – Szwajcar Fulvio (Mariani) i Włoch Florek (Castelnuovo).

W końcu doszliśmy do pierwszych śniegów. Witek oczywiście zabrał kamerę, więc postanowiliśmy zrobić trochę ujęć z tego miejsca. Później Witek poszedł wyżej, żeby filmować także ze ściany. Ja zostałam jakieś 200 metrów od nich.

W pewnym momencie usłyszałam potworny huk, jakby ziemia się rozstępowała. Ten dźwięk przeszywał człowieka na wskroś. Schodziła lawina. Na szczęście daleko od nas. Była jednak dość dobrze widoczna, a to potęgowało jeszcze ogrom tego zjawiska. Stojąc pod ścianą i patrząc na chłopaków, którzy wyglądali przy niej jak krasnoludki, pomyślałam, że człowiek to jednak marność nad marnościami. To tu uświadamiasz sobie potęgę natury.

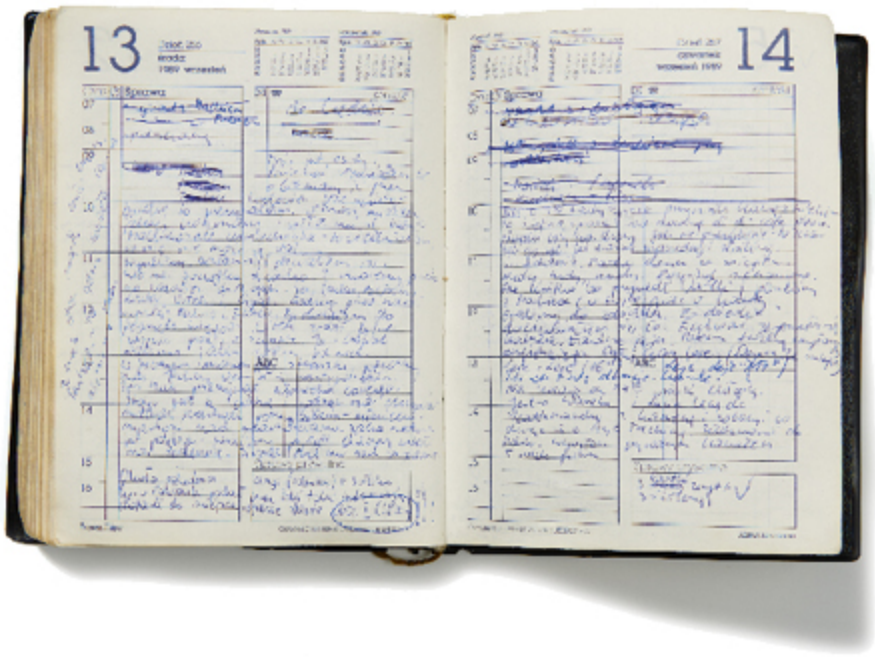

Zapiski z Lhotse. Autorka regularnie robiła notatki.

Do bazy wróciliśmy z częścią ekipy około dziesiątej. Ci, co w niej zostali, witali nas tak serdecznie, jakby nie było nas tydzień. Dostaliśmy pyszne śniadanie. Reszta naszego zespołu poszła zakładać obóz pierwszy. Mam nadzieję, że wrócą szczęśliwie.

Około południa Rysio Pawłowski podał przez walkie-talkie informację, że dotarli do miejsca, gdzie stanie obóz pierwszy. Byli na wysokości 5800 m n.p.m.

15 września

Kontakt ze światem

Ranek zapowiadał się całkiem nieźle. Niestety po śniadaniu zaczął padać śnieg z deszczem. Okazało się, że Ryszard Warecki wychodzi do Katmandu razem z Lucią, dziewczyną, która towarzyszy grupie szwajcarsko-włoskiej, bo ekipie szwajcarskiej zepsuła się kamera. Spróbują ją naprawić w stolicy, a jak się nie da, będą zmuszeni wysłać ją do Szwajcarii.

Nagraliśmy rozmowę z Jurkiem. Znowu fajnie opowiadał. Tym razem o założeniu obozu pierwszego, niewielkich trudnościach po drodze i o tym, że czasem wszystko na wyprawie idzie zgodnie z planem, zakładasz obozy jeden po drugim i nagle trach. Pogoda się zepsuje i nic na to nie możesz poradzić. Tylko czekasz. A czekanie dobija, rozleniwia i często odbiera nadzieję i ochotę na wspinanie. W głowie zaczynają krążyć głupie myśli. Zważywszy na miejsce, w którym jesteś, zaczynasz się zastanawiać, czy to może jakiś znak.

Właściwie cały dzień poświęciliśmy zakładaniu (czytaj: stawianiu) naszej wielkiej anteny do łączności ze światem. Leszek był zachwycony. Pomagali wszyscy, którzy byli w bazie, a było nas, jak nigdy przez ostatnie

dni, jakieś dwanaście osób razem z naszymi nepalskimi braćmi. Był Kukuczka, Wituś, Doktor, Rysio Pawłowski, Leszek, nasz Tomeczek kochany (trochę chory), Fulvio, Florek, nasi kucharze i oficer. W związku z założeniem obozu pierwszego Dyrektor do kolacji postawił flaszeczkę. Oczywiście jedną na te wszystkie gęby.

Wieczorem miałam radiowy kontakt z Yves'em Ballu. Dziś jest w Katmandu. Powinien dotrzeć do bazy dziewiętnastego lub dwudziestego września. Powiedziałam kolegom, że Yves jest tuż-tuż, i wszyscy bardzo się ucieszyli.

Korzystając z wyjścia Ryszarda Wareckiego, podałam mu pięć rolek filmu do wysyłki do Polski.

I choć wiedziałam, że ma tam inne, ważniejsze dla wyprawy rzeczy do roboty, zgodził się bez wahania. Ponoć boli go trochę ząb i może w związku z tym skorzysta z pomocy miejscowego dentysty. Będą jaja.

16 września

Mamy dwójkę na 6200 m n.p.m.

Dziś ważny, radosny dzień. Przemek Piasecki i Maciek Pawlikowski założyli obóz drugi na wysokości 6200 metrów.

W nocy była pełnia księżyca. Pomyślałam, że super, iż świeci im tam w górze. W tych ciemnościach można przecież oszaleć.

Oprócz tego, że boli mnie ząb, nic ciekawego się nie zdarzyło.

Z tymi zębami to jest zresztą niezły problem. Teoretycznie, żeby wyeliminować wszystkie ogniska chorobowe, powinniśmy jechać na

wyprawę zdrowi. Zęby też muszą być wyleczone. Przy wyjazdach do Indii i Nepalu obowiązują szczepienia przeciw różnym chorobom.

Na tego typu wyjazdy zawsze się szczepiłam. Ponoć nie ma oficjalnego nakazu, zaleca się mimo wszystko wykonanie kilku zapobiegawczych szczepień. To wersja książkowa.

Przy każdym szczepieniu przed wyjazdem do Indii czy Nepalu po wykonanych zastrzykach otrzymuje się wpisy do tak zwanej żółtej książeczki. I raz rzeczywiście mi się zdarzyło, że sprawdzali ją przy wjeździe do tych krajów.

A jakie szczepienia tak naprawdę powinno się wykonać, by czuć się bezpiecznie? Przeciwko wirusowemu zapaleniu wątroby typu A i B, durowi brzusznemu (zwanemu również tyfusem) oraz błonicy i tężcowi.

Zostaje jeszcze malaria. To dziadostwo może cię dopaść w wielu miejscach. Niestety nie ma na nią szczepionki. Wszyscy proponują leki ochronne, czyli tabletki – Pirymetaminę lub Dawercin. Ten drugi jest najbardziej popularny, kupuje się go w Czechosłowacji, a wcześniej trzeba po niego oczywiście pojechać. Zaczynamy brać tabletki na dwa tygodnie przed wyjazdem, a potem jedną na tydzień. Walą po wątrobie jak nie wiem co. Dzięki nim jednak nawet jeśli to świństwo się złapie, przebieg choroby jest złagodzony, a czasem nawet zabijają zarodźce malarii.

Nocne wyjście. Tu w planie jest dotarcie do obozu III i poręczowanie powyżej.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

Kilka lat przed wyprawą na Lhotse wybraliśmy się z Darkiem i kilkoma znajomymi na trekking wokół Annapurny. Było cudnie, nie licząc drobnego incydentu z dziewczyną, którą poznałam tuż przed wyjazdem. Fajna, sympatyczna osoba i bardzo zapobiegawcza. Jak to bywa na takich wyjazdach, wychodzi się bardzo wcześnie rano. Około szóstej wszyscy byliśmy gotowi do wyjścia w góry oprócz naszej koleżanki. Czekaliśmy tylko na nią. Tak bardzo przestrzegała wszystkich zasad bezpieczeństwa w przypadku jedzenia, że potrafiła parzyć wrzątkiem pomidor, zanim go zjadła. Ale największy cyrk był rano. Co robiła? Czekała, aż woda się zagotuje (wiadomo, że im wyżej, tym niższa temperatura wrzenia wody), ale to jeszcze nic. Czekała, aż ta woda ostygnie, żeby na przykład wymyć zęby. I co? Nic to nie dało. Po przyjeździe do Delhi (z tego miasta wracaliśmy do kraju), na parę dni przed wylotem postanowiliśmy wszyscy zbadać się na obecność „obcych” w naszych organizmach. Zostałam wydelegowana do odbioru wyników. Jakież było moje zdziwienie, gdy

lekarz, który je wydawał, odciągnął mnie na bok i zapytał, czy mogę przekazać koleżance, iż proponuje wizytę u tutejszego lekarza, złapała bowiem amebę.

Wiadomo było, że u tutejszego, bo tu można było kupić właściwe lekarstwa. W Polsce w tym czasie nie było nic oprócz octu i soli, a tym bardziej lekarstw, zwłaszcza na amebę. Już widzę minę pani z apteki, gdy wchodzę i proszę o lek na tego pasożyta. W ostateczności w Polsce koleżanka musiała się udać do Instytutu Chorób Tropikalnych. Wszystko skończyło jednak się dobrze. Pozbyła się tego paskudztwa.

Tak więc z zapobiegawczymi metodami różnie bywa. Znam osoby, które nigdy przed wyprawą się nie szczepiły i wracały zdrowe jak ryby. Mam również takich kolegów, którzy poważnie podchodzili do sprawy. Zamiast wcześniej leczyć zęby, szli w ostatniej chwili do dentysty i prosili go, żeby po prostu je wyrwał.

Dlaczego zdrowie na wyprawie jest tak ważne? Bo nie wiemy, jak nasz organizm zachowa się na dużej wysokości. Również dlatego, że nawet najmniejszy ból głowy, przeziębienie, kaszel czy właśnie ból zęba mogą bardzo szybko przekształcić się w poważną chorobę, a czasem stają się zagrożeniem naszego życia.

17 września

Psalmy dobre na wszystko

Rano (około czwartej) byliśmy z Witkiem na nogach. W góry wychodzili bowiem Jurek i Rysio Pawłowski. Chcieliśmy zrobić zdjęcia z ich wyjścia. Było okropnie zimno. Moje buty wspinaczkowe, tak zwane skorupy, które usiłowałam założyć, odmówiły współpracy. Wiedząc, że jest z ich

zakładaniem taki problem, starałam się spać z nimi w śpiworze przed tak wczesnymi wyjściami, ale wczoraj zapomniałam. Wyszłam więc w lekkich butach, a tu jakieś minus osiemnaście–dwadzieścia stopni. Ale udało się. Zrobiliśmy zdjęcia nocne, jak je nazwaliśmy, i wróciłam do śpiworka.

Dziś był mój dyżur w kuchni. Zrobiłam frytki z opiekanym mięskiem i groszkiem oraz zupę jarzynową.

Po południu czytanie. Każdy z nas zabrał ze sobą jakieś książki. Ja również. Fajne jest to, że każdy ma coś innego i możemy się wymieniać. Ale jednej z moich książek nikt nie chciał, dziwolągi. Trochę za namową i rekomendacją Darka zabrałam *Księgę Psalmów* w fantastycznym tłumaczeniu Czesława Miłosza. Kocham je czytać. Najdziwniejsze jest to, że jak zaczynam, to nie mogę przerwać, a jak kończę, to czuję niedosyt.

Psalm 90. 1–9,14.

Modlitwa Mojżesza, męża Bożego. Panie, ostoją nam byłeś z pokolenia w pokolenie.

Przedtem nim narodziły się góry, nim począłeś ziemię i świat, od wieczności na wieczność, Ty jesteś Bóg.

Obracasz człowieka w proch i mówisz: Wracajcie synowie ludzcy.

Bo tysiąc lat w Twoich oczach jest jak dzień wczorajszy, który minął i jak nocne czuwanie.

Porywasz ich i są jak sen poranny, mijają niby trawa.

Rano kwitnie i pieni się, wieczorem skoszona usycha.

Bo giniemy od Twojego gniewu, zapalczywość Twoja nas przeraża.

Postawiłeś winy nasze przed sobą, przed światłem Twego oblicza grzechy nasze ukryte.

Wszystkie dni nasze mijają pod grozą Twego gniewu, i lata nasze nikną jak westchnienie.

Nasyć nas o poranku łaskawością Twoją, abyśmy weselić się i radować mogli po wszystkie dni nasze.

(*Księga Psalmów*, tłum. z hebrajskiego Czesław Miłosz, Éditions du dialogue, Paris 1981)

Wieczorem około dwudziestej, bo tak się umawialiśmy, połączyłam się z Jurkiem. Śpią w jedynce. Wszystko w porządku. Powiedzieli, że gorsze było przejście przez lodowiec do ściany niż dojście do obozu pierwszego. Ten lodowiec to jednak straszna paskuda.

18 września

Zapasy do wiosny

Rano wreszcie prawdziwie i pięknie świeci słońce. Malkontenci mówią w takich chwilach: „Zobaczymy, jak długo”. Choć nie jestem malkontentem, też tak pomyślałam. Ponieważ w nocy bolały mnie zęby, brałam tabletki. Niestety nie pomagały. Słońce świeciło tylko do dziesiątej, a potem było jak zwykle.

Postanowiliśmy nagrać Przemka i Maćka. Bardzo ładnie mówili. Będzie dobra wypowiedź do filmu. Zrobiłam pranie między jedną wypowiedzią

a drugą. Pranie w zimnej wodzie to jednak męska przygoda, ale ważne, by przynajmniej trochę te ciuchy odświeżyć.

Z obozu drugiego około 12.30 wrócili Szwajcarzy. Mniej więcej o tej porze dotarli do obozu drugiego Jurek i Rysio. Właśnie tam postanowili przenocować. Rozmawiałam z Jurkiem. Prosił, bym zrobiła remanent w magazynie żywności, żeby sprawdzić, czy przez przypadek czegoś nie brakuje. A ja właśnie dziś robiłam tam porządki i liczyłam produkty. Przekazałam tę informację Dyrektorowi i zameldowałam, że żarcia wystarczy do wiosny. Bardzo się śmiał.

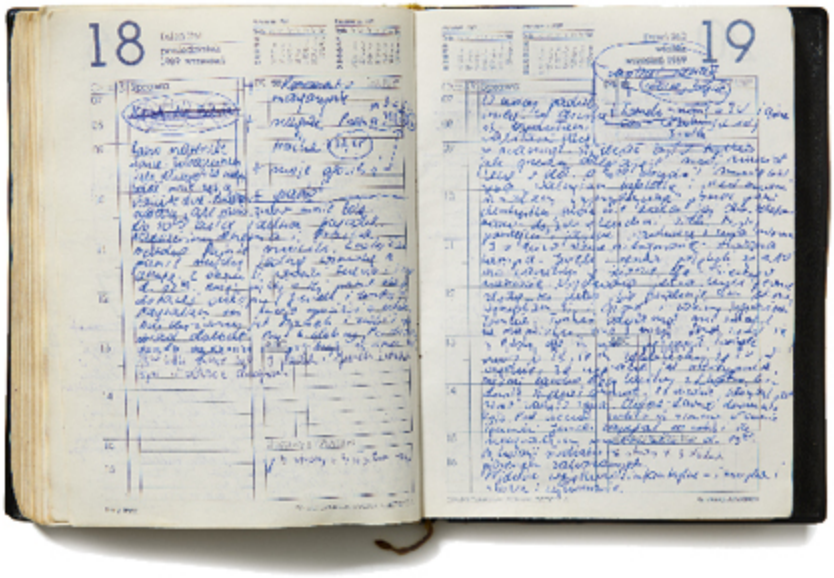

Niektóre dni obfitowały w wydarzenia i było co zapisywać w dzienniku.

Marcin Klaban

W nocy padał śnieg. Co chwila budziłam się i wykonywałam ekwilibrystyczne ruchy w kierunku ścian namiotu. Waliłam rękami i słyszałam, jak spadają płaty oblepiające mój domek. O godzinie 4.10 (spojrzałam na zegarek) obudził mnie ból zęba. Zastanawialiście się

czasem, dlaczego ta cholera najbardziej boli w nocy? Zapewne jest jakieś medyczne wytłumaczenie.

19 września

Telewizja jest wszędzie

Rano świeci słońce, i to jaka lampa.

Jurek połączył się o dziesiątej i zeznał, że warunki w ścianie są bardzo złe. Siedzą cały czas w namiocie. Wychodzą jutro i schodzą, bo brakuje im jedzenia.

W bazie namówiliśmy Tomka na wywiad. Nie bardzo chciał, aż w końcu się zgodził.

Jak to w zwyczaju Tomaszka było, zaczął żartować, że to nietypowa wyprawa, bo są tu aż dwie telewizje, i musiał się przyzwyczaić, że telewizja jest wszędzie. Ale jakoś się dogadujemy. Na szczęście jutro idzie w góry, a ponoć nie idzie żadna telewizja, to nie trzeba będzie grać i będzie spokój.

To był taki fajny, trochę przekorny żart. Bo do tej telewizji wszyscy się już dawno przyzwyczaili, a nawet jak któregoś dnia nic nie filmowaliśmy, to Tomeczek zapytał: „Co, dziś telewizja na urlopie?”.

Dzisiaj bardzo lecą lawiny, bez przerwy słychać grzmoty, a po nich następuje bum. Na szczęście omijają naszą bazę.

O dziewiętnastej połączył się Jurek i był bardzo zainteresowany, co dzisiaj robiliśmy i ile materiału nagraliśmy. Powiedziałam, zresztą zgodnie z prawdą, że mamy ponad pięć godzin i końca nie widać. Przypomniałam mu, że mamy zrobić około półgodzinny film dla telewizyjnej Dwójki. Resztę wykorzystam w kolejnych odcinkach magazynu *Góry*.

20 września

Szampańskie żarty

Gdy Bóg stworzył człowieka, diabeł stał się niepotrzebny. Kto się lęka, już przegrał.
(Karol Bunsch)

Kiedy pogoda w bazie dopisywała, odbywało się wielkie pranie.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

Wstałam około 7.15 i zobaczyłam pełnię zimy. Śnieg bardzo sypie.

Po śniadaniu postanowiliśmy z Tomkiem iść na spacer w stronę Chukhung. Po około godzinie marszu ku mojej ogromnej radości

spotkaliśmy podążającego w naszym kierunku ostatniego członka naszej wyprawy – Yves’a Ballu.

Trzeba wiedzieć, że uwielbia on robić różne żarty. Uwielbia także sprawiać ludziom przyjemności. Jakieś piętnaście minut po naszym powrocie do bazy dotarł Jurek – tak jakbyśmy się wszyscy umówili. Na powitanie dostał od Yves’a ogromną butelkę szampana. Niestety żarcik. Była to bowiem wysoka na jakieś osiemdziesiąt centymetrów plastikowa reklamówka w kształcie butelki. Pusta. Ale szklane butelki Yves również przyniósł i wręczył Dyrektorowi prawdziwy szampan Moët & Chandon. Jurek powiedział, że otworzymy go, jak wejdziemy na szczyt.

W związku z przyjazdem Yves’a zaprosił wszystkich na małą wódeczkę (każdy po kielichu) i wspólnie omawialiśmy dalsze plany wyprawy.

Ballu zauroczył chłopaków, był bardzo towarzyski, ale przede wszystkim chętnie pomagał we wszystkich pracach bazowych. Ku mojemu zdziwieniu zakomunikował mi, że chce również zrobić film. Miałaby to być „mała” fabuła, jak to określił, a jej scenariusz, który sam napisał, będzie bazował nie tylko na wspinaniu, ale może przede wszystkim na lotach na paralotni w Himalajach.

Warto tu wspomnieć, że rodzące się paralotniarstwo, wraz ze wzrastającą z roku na rok popularnością, wymagało w tym czasie także testowania skrzydeł w różnych zakątkach świata.

W tym lataniu najfajniejsze jest to, że udając ptaka, widząc świat z góry, ma się uczucie, jakby próbowało się niemożliwego, które staje się realne i możliwe. Dedal i Ikar pewnie wiedzieli o tym już wcześniej. Ja od niedawna.

Wieczorem omawialiśmy scenariusz Yves’a, głównie pod względem technicznym. Zastanawialiśmy się również, z którego miejsca wokół bazy będzie można latać, a przede wszystkim gdzie ustawić kamerę, żeby wyszły

dobre zdjęcia. Wyznaczyliśmy kilka miejsc i poprosiliśmy Witka, jako zawodowca w tej dziedzinie, żeby wyraził swoje zdanie. Był bardzo pomocny. Rajcował go również pomysł nakręcenia w tak trudnych warunkach filmu, i to fabuły. Bo to właśnie film fabularny zamarzył się mojemu przyjacielowi.

Yves Ballu w obozie pierwszym. Im wyżej, tym niższa temperatura wrzenia wody.

Witek Oklek

Yves zaproponował oglądanie slajdów, które przywiózł z Japonii. Piękne krajobrazy tego kraju, pełno zieleni, wprawiły chłopaków w dobry nastrój. Głównie jednak interesowało ich, co tam jedliśmy i czy surowe ryby są rzeczywiście takie dobre. Dobre może niekoniecznie, ale na pewno zdrowe. Mowa oczywiście o sushi.

Żeby zachęcić chłopaków i zainteresować lataniem na paralotniach, oglądaliśmy również zdjęcia, które Yves sam zrobił. Jakoś Kukuś nie

wspominał przy nim, że zabronił bawić się paralotniami, choć Yves również ma zamiar się wspinać.

22 września

Drugie danie z ananasem

Wczoraj poprawialiśmy nasze „domy” w bazie. Gęsty śnieg zrobił swoje. Część namiotów „siadła”, a najbardziej ucierpiała nasza mesa. Bardzo się przy tej robocie spieszyliśmy, zanosiło się bowiem na kolejne opady. I rzeczywiście tak było. Ledwo zdążyliśmy. Sypało niesamowicie. W pewnym momencie zaczęłam łapać padające płatki śniegu jak małe dziecko. Boże, jakie te płatki są cudne. Wielkie, o różnych przedziwnych kształtach, takich nigdy nie widziałam. Zjawiskowe. Ale jakie one mają być? Przecież tu nic a nic tego powietrza nie zanieczyszcza.

Dziś dyżur w kuchni ma Yves. Zgłosił się na ochotnika. Tak naprawdę trochę nie miał wyjścia. Każdy miał już po kilka dyżurów i wszyscy zdążyli poznać nasze pomysły kulinarne. Przyda się więc ktoś z nową wyobraźnią smakową.

Niestety przygotował na obiad zapiekankę z kiełbasą i ananasami. Ohyda. Chciał zrobić coś oryginalnego, wykwintnego, a wyszło, jak wyszło. Wszyscy jedli kiełbasę, a na końcu ananasy. Mieliśmy zatem jakby drugie danie z deserem ananasowym.

Pogoda bez zmian.

Od przyjazdu Yves’a nasza praca filmowców zmieniła się diametralnie. Oczywiście na plus. Do tej pory pracowaliśmy bowiem na kamerze filmowej. Był to stary wysłużony Bell & Howell. Ballu przywiózł Super VHS, kamerę elektroniczną, bardzo sprawną w obsłudze, niestety takiej

sobie jakości. Miała tę zaletę, że pracowała na kasety, a na nich mogliśmy nagrywać zdecydowanie więcej niż na taśmie filmowej.

Postanowiliśmy nakręcić ze dwie godziny filmu, tak by w poniedziałek wysłać do Warszawy świeżutki materiał. Ustaliłam z operatorem, że będziemy nagrywać tak zwane sylwetki chłopaków, życie w bazie, moje opowiadanie, co robimy i na jakiej wysokości działa teraz wyprawa.

Wszyscy będziemy pracować na kamerze Yves'a, zobaczymy, co z tego wyjdzie. Jak wiadomo, kamera Szwajcarów dalej jest w naprawie, a nasza filmowa sprawia tylko kłopot. Niestety nie mamy żadnych wiadomości od Wareckiego i Lucii, którzy są w Katmandu.

Na kolację jest kaszanka z cebulką i ziemniaki. Palce lizać. Tak pyszna, że zastanawiamy się, czy jutro nie jeść tego samego. Pochodzę z regionu Polski, gdzie kaszanka, a właściwie po naszemu krupnioki, to fantastyczne jedzonko. Jak byłam mała, ale później także, odwiedzaliśmy z moim tatą różne imprezy plenerowe, głównie odpusty, na których zawsze można było kupić ciepłe i świeże krupnioki z bułeczką. Pycha.

Wrócili Fulvio i Florek. Byli w bazie pod Everestem. Żeby tam dotrzeć, trzeba zejść do ostatniej miejscowości, gdzie jest rozwidlenie. W lewo pod Everest, w prawo pod Lhotse.

Wieczorem po kolacji było łączenie z Polską. To znaczy Leszek, nasz radiooperator, się połączył. Dowiedzieliśmy się, że ponoć w niedzielę w pewnych odstępach czasu będą emitowane cztery programy o naszej wyprawie. Machina telewizyjna działa zatem całkiem dobrze.

Kamera Bell & Howell

Konstruktorami tej kamery byli Donald Joseph Bell i Albert Summers Howell. W 1907 roku zarejestrowali firmę w Stanach Zjednoczonych (stamtąd pochodzili), która dość szybko stała się dostawcą cennych

technologii, dziś powiedzielibyśmy, że filmowych i medialnych. Oprócz profesjonalnych kamer filmowych wypuszczała na rynek także projektory, sprzęt drukarski, aparaty fotograficzne.

Jakiś czas temu sprawdziłam, czy można jeszcze gdzieś taką kamerę kupić. Można. Cena 99 złotych, sprzedawana jako antyk.

Mesa bazy, czyli ogólne pomieszczenie kuchenno-rozrywkowe z kamiennym stołem. Tu odbywały się odprawy i narady strategiczne. Z kamerą i w słuchawkach – Jurek Kukuczka. W tenisówkach wyczynowych – Tomeczek. Opowiada i gestykuluje Maciek Pawlikowski.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

Pierwszą na świecie kamerę opatentował w 1888 roku Francuz Louis Le Prince, ale ręczną kamerę, tak zwaną reporterską, skonstruował Polak. W 1908 roku Kazimierz Prószyński nazwał swój wynalazek aeroskopem. W następnym roku prezentował go we Francji, filmując ulice Paryża. Był on używany przez reporterów od mniej więcej 1911 roku. Uczę o tym studentów, zawsze powtarzam, że cudze chwalicie, swego nie znacie. Ta kamera o prostej konstrukcji i wyglądzie pudełka miała napęd automatyczny i była bardzo prosta w obsłudze. Prószyński nakręcił nią koronację króla Jerzego w Londynie w 1911 roku.

Istnieje świetne zdjęcie pokazujące angielskiego przyrodnika Cherry’ego Keartona, gdy ten wisi na linie i filmuje aeroskopem ptaki, które uwiły gniazda w skalnej ścianie. Natrafiłam na tę fotografię, gdy szukałam informacji o historii filmowania. Najpierw uznałam, że postać na fotografii to wspinacz, ale okazało się, że to podróżnik i naukowiec. Keartona uważa się za pierwszego twórcę filmów przyrodniczych.

23 września

Nagra do nagrań

Rano pogoda bardzo fajna. W wysokich górach słońce operuje bardzo mocno, trzeba naprawdę uważać, bo o oparzenia nietrudno. Niestety słońce zachodzi bardzo szybko i robi się wyjątkowo mroźno. Około szesnastej pogoda się psuje, a potem błyskawicznie zapadają ciemności.

W górę wyszli Tomek, Przemek i doktor.

Ballu postanowił polatać trochę na paralotni, a my z Witkiem towarzyszyliśmy mu w tym przedsięwzięciu. Witek oczywiście filmował. Wyszło bardzo dobrze. Trzeba przyznać, że obawiałam się ciuteńkę o ten lot, bo zawsze istnieje niebezpieczeństwo zmiany kierunku wiatru, a wtedy robi się niewesoło. Yves był zapalonym lataczem, robił to świetnie, a co najważniejsze – bezpiecznie. Umiał określać kierunek wiatru bez specjalnych przyrządów. Choć i takie miał przy sobie.

Po zdjęciach plenerowych postanowiłam pójść za ciosem i nagrać wywiad z Yves’em. A było go o co pytać. Wywiad szybko przekształcił się w rozmowę o jego książkach o wspinaniu w Alpach, o znanych alpinistach, z którymi zresztą się przyjaźnił, oraz o jego zainteresowaniu górami wysokimi. Pytałam go, po co przyleciał w Himalaje, i to akurat na naszą wyprawę. Jak zwykle odpowiedział kurtuazyjnie, że takiego towarzystwa

nie ma na żadnej z wypraw. W Himalajach był pierwszy raz. Widziałam, że cieszył go fakt, że może być członkiem wyprawy wielkiego Jerzego Kukuczki. Tego Kukuczki!

Pogoda jest bardzo ładna, przynajmniej w bazie. Nagraliśmy bardzo dużo materiału, w tym wypowiedzi Maćka i Leszka. Maciek bardzo interesująco opowiadał o swoich wcześniejszych dokonaniach. Jest bardzo skromny, a to przecież wybitny wspinacz. Pochodzi z Zakopanego. Leszek mówił o swoim zainteresowaniu krótkofalarstwem.

Połączyliśmy się z Katmandu. Nareszcie mogliśmy się porozumieć z Ryszardem Wareckim.

Nagrałam tę łączność na magnetofon, który zabrałam z Polski, bo pomyślałam, że może czasem się przydać. Będzie większa różnorodność. Czasem szybciej i łatwiej przecież włączyć magnetofon niż kamerę.

Ten magnetofon był niezastąpiony. Zaczęłam nagrywać wszystkie łączności ze „ścianą”.

Starałam się rejestrować zupełnie inne rzeczy od tych, które robiliśmy kamerą. Nie do końca się to udawało, czasem ja włączałam magnetofon, a Witek kamerę. W ostateczności wyszło mi to na dobre, bo do filmu można będzie wykorzystać część nagrań z taśmy magnetofonowej.

Magnetofon Nagra

Taką nazwę nosi seria magnetofonów szpulowych produkowanych w firmie Stefana Kudelskiego. To szwajcarski wynalazca polskiego pochodzenia, nazwa serii pochodzi zaś od czasownika „nagrać”.

Pierwsze modele Kudelski opracował w 1951 roku. Po kilku latach powstała Nagra III i stała się magnetofonem na tyle popularnym, że gremialnie zaczęli jej używać reporterzy radiowi i telewizyjni. Nagra była prawie niezawodnym, przenośnym i bardzo trwałym magnetofonem o zasilaniu akumulatorowym. Szybko zyskała popularność na świecie

również dzięki precyzji wykonania i jakości nagrywania. W 1962 roku wypuszczono na rynek Nagrę III NP przeznaczoną do nagrywania dźwięku na planie filmowym. Do Nagry pasowała ćwierćcalowa taśma magnetofonowa.

Na zamówienie administracji J.F. Kennedy'ego na potrzeby służb specjalnych wyprodukowano zminiaturyzowaną wersję tego magnetofonu, oznaczoną znakiem SN – Serie Noire, czyli Seria Czarna. Zakładano do niej taśmę dwukrotnie węższą (1/8 cala).

Stefan Kudelski otrzymał wiele nagród amerykańskiej Akademii Filmowej. Założona przez niego firma istnieje do dziś.

24 września

Kłótnia

Dzięki łączności z Polską dowiedzieliśmy się, że dzisiaj w telewizji na antenie ogólnopolskiej zostaną wyemitowane programy o naszej wyprawie na południową ścianę Lhotse. W studio będą opowiadać Janusz Majer i Artur Hajzer. Uważałam, że to dobrze, że właśnie oni. Po pierwsze to profesjonaliści, a po drugie są z Katowic.

Stało się już normą, że o 16.30 zaczyna padać śnieg.

Niestety pokłóciłam się z Kukuczką. Zaczęliśmy rozmawiać o filmie, a on ni z tego, ni z owego wypalił, że przydałoby się więcej zdjęć, więcej wywiadów i że jak my nie będziemy tego robić, to powie ekipie szwajcarskiej, a oni na pewno się zgodzą. Bardzo się zdenerwowałam. Powiedziałam, że proszę bardzo, choć ciekawe, czym będą kręcić te wywiady, skoro ich kamera jest właśnie najprawdopodobniej w Szwajcarii i nie wiadomo, kiedy wróci i czy w ogóle wróci. Ponadto mamy już w tej chwili tyle materiału filmowego, że wystarczy na kilka filmów. Zgodnie

z umową i ze scenariuszem ma to być film dla widzów, a nie instruktaż, co robi na wyprawie jej kierownik.

Czas na omówienie planów filmowych.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

Teraz on się wkurzył i zaczął marudzić, że zamiast kręcić na nasze potrzeby, pomagamy Yves'owi. No to odpowiedziałam, już w strasznych nerwach, że gdyby nie kamera, którą przytaszczył aż do bazy, to gówno byśmy nakręcili.

Na koniec wykrzyczałam, że niech każdy robi swoje. Ja ci się nie wtrącam do twojego wspinania, to ty się nie wtrącaj do mojego filmu.

Rozstaliśmy się w strasznym gniewie.

Nie spałam z nerwów prawie całą noc. Co nas napadło? Przecież się lubimy. A fakt, nie jesteśmy tu, żeby się lubić, tylko żeby pracować.

25 września

Artykuł na zgodę

Rano nie poszłam na śniadanie. Jeszcze mi nie przeszło.

W pewnym momencie ktoś zaczął mnie wołać, stojąc nieopodal mojego namiotu. Był to Kukuś. Powiedział, że mnie przeprasza i że tak go dobija ta pogoda, że chyba go poniosło. Ja też go przeprosiłam, że się na niego tak darłam. Ponieważ dzisiaj miałam napisać artykuł do gazety o tym, co słychać na wyprawie, zaproponował, byśmy go napisali razem. Zgodziłam się z ochotą, bo co dwie głowy, to nie jedna. I tak wspólne pisanie nas pogodziło. Artykuł zakończyliśmy na obozie drugim. Potem wysłałam tekst z jedną całą kasetą z nagranym materiałem do Polski.

Dzisiaj dyżur w kuchni ma Ryszard Pawłowski.

Jutro chcą wyjść: Jurek, Ryszard, Maciek, Yves, Witek i dwaj członkowie ekipy szwajcarskiej.

Są jakieś kłopoty z łącznością. Yves dał mi swoje raki, fajnie.

Szykujemy się na Island Peak.

Potem jak zawsze zabijanie nudy. Gramy trochę w karty, Leszek, Witek i ja.

Po południu łączność ze ścianą jednak doszła do skutku i odezwali się Przemek i Tomek. Dociągnęli poręczówki najwyżej, jak się dało, ale pogoda zmusiła ich niestety do powrotu do obozu drugiego. Mają nadzieję, że założenie obozu trzeciego nastąpi jutro. Oby dali radę.

O szesnastej było łączenie z Katmandu. Lucia niestety przekazała smutną wiadomość, że zmarł ojciec Fulvia. Fulvio dziś o siedemnastej zaczął schodzić do stolicy Nepalu.

26 września

Czyżby yeti?

W nocy ponoć coś chodziło po bazie. I nie był to nikt z nas.

A było to tak. Rano przyszedł do mnie Leszek i powiedział, że dziś w nocy coś wielkiego chodziło po bazie. Czy coś słyszałam? Nie. Zaczął więc opowiadać.

Jego mały namiot do spania stał w środku dużego namiotu, z którego prowadził łączności. W dużym namiocie miał prowizoryczny stolik, a na nim radia i wszystkie inne potrzebne mu sprzęty. Ponieważ było tam sporo miejsca, często u Leszka przesiadywaliśmy, a on opowiadał nam ciekawe historie o kontaktach przez radio z mnóstwem osób na całym świecie. Było tam bardzo przytulnie i moim zdaniem ciepło. Zdecydowanie cieplej niż w naszych pojedynczych namiocikach.

Tej nocy Leszek czytał w swojej sypialence przy świetle latarki. Nagle coś wielkiego otarło się o namiot. Zaczął nawoływać, bo myślał, że to któryś z chłopaków stroi sobie żarty, ale nie dostał odpowiedzi. Zgasił latarkę i zaczął nasłuchiwać. W pewnym momencie to coś jakby łapami walnęło w górną część jego namiotu. Potem nastała cisza.

Trudno się wstaje o czwartej rano. Brrr… jak zimno. Dyrektor w pełnym rynsztunku gotowy do wyjścia.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

Leszek twierdził, że to niemożliwe, że nic nie słyszeliśmy i że pewnie ktoś mu zrobił głupi kawał. Uznaliśmy z chłopakami, że jak się ktoś nasłuchał opowieści o yeti, to potem uważa, że ten stwór go w nocy

odwiedza. Ktoś wymyślił, że to mogła być śnieżna pantera, ale Leszek zaprzeczał i tłumaczył, że to coś było znacznie większe. Był na nas trochę zły, że nie za bardzo chcemy mu wierzyć.

Rano chłopcy niestety nie wyszli. Pogoda była zła. Nie chcieli ryzykować niepotrzebnego wychłodzenia organizmu i utraty sił.

Dowiedziałam się, że program emitowany w telewizji w niedzielę był bardzo fajny. Cieszę się. Ponoć był materiał o ojcu Morano i o Kukuczce.

Około jedenastej wyszli do obozu pierwszego Witek razem z Yves'em. Będą tam nocowali.

Przemo, Tomek i Michał wracają dziś. Wyszli jakieś 180 metrów nad obóz drugi. Brnęli w bardzo głębokim śniegu. Torowali drogę, ale było ciężko.

Przed obiadem razem z Leszkiem robiliśmy remanent w magazynie, na pewno wszystkiego wystarczy.

Witek z Yves'em dotarli do obozu pierwszego dopiero o osiemnastej.

Wrócili chłopcy. Opowiedziałam im, że ktoś lub coś chodziło po bazie w nocy. Najpierw się śmiali, a potem wymyślili, że mogła to być jednak pantera.

27 września

Weseli sanitariusze

Rano przyszedł do mesy Leszek, trzymając się za głowę i policzek. Powiedział, że w nocy okropnie bolał go ząb i nadal go boli, tak bardzo, że chyba nie wytrzyma i ,,żeby mu doktor go wyrwał". Niech wyrywa, to go sfilmujemy.

O siódmej łączenie z Witkiem i Yves’em, schodzą niżej, bo w takiej pogodzie nic nie widać.

Rano wyszedł Dyrektor z Maćkiem i Ryszardem.

Skorzystaliśmy z nieobecności Dyrektora i postanowiliśmy wyjść z bazy na paralotnie. O 9.15 wyszliśmy: Przemek, Tomek, doktor i ja. Niestety nie lataliśmy, bo wiatr był fatalny, ale za to do dwunastej trochę potrenowaliśmy.

Jakieś pół godziny po naszym powrocie do bazy wrócili Yves z Witkiem.

Witek Oklek podchodzi na linach poręczowych w stronę obozu II.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

Leszka bardzo boli ten ząb. Doktor robi, co może, ale chyba jednak będzie rwanie. Po obiedzie dał Leszkowi trochę spirytusu na smarowanie, zobaczymy, czy mu przejdzie. Potem jakieś tabletki.

Niestety nie przeszło. I w tej sytuacji trzeba rwać.

Najpierw doktor dał mu jakiś zastrzyk. Po pewnym czasie pyta Leszka, czy ten coś czuje. Wszystko, a ząb dalej boli, więc doktor dał mu drugi zastrzyk. Może to wysokość robi swoje, bo Leszek dalej twierdził, że go boli i że dłużej nie wytrzyma.

Rwaliśmy ten ząb od godziny piętnastej do 16.30. Oczywiście usiłował rwać doktor, a my asystowaliśmy. Weseli sanitariusze, czyli Przemek i ja, a Wituś oczywiście wszystko filmował.

Dlaczego weseli sanitariusze? Żeby wytrzymać to napięcie, ten stres, czy uda się operacja, czy nie, łyknęliśmy sobie tego spirytusu, który został Leszkowi. Doktorowi parę razy rozpadały się kleszcze (dobrze, że je w ogóle miał), ale w końcu ząb został wyrwany w całości.

Leszek był szczęśliwy. Ząb trafiony. Całkiem przypadkiem został wyrwany akurat ten, który go bolał.

28 września

Mamy trójkę – 6670 m n.p.m.

Dziś urodziny Leszka. Wszyscy składaliśmy mu takie same życzenia, jakbyśmy się wcześniej umówili (zresztą Leszek tak myślał). Chłopie, najlepszego i ciesz się tą chwilą, bo więcej pewnie urodzin na wysokości ponad 5200 metrów to już nie będziesz miał. I zęba tak wysoko też nie będziesz musiał wyrywać. Tego ci życzymy.

Potem były nawet tańce. A Witek jak zwykle wszystko nagrywał. Powiedział, że robi to, bo Dyrektor kazał filmować jak najwięcej, więc filmuje. Wszyscy się śmiali.

Ale najważniejsza informacja przyszła po południu. Chłopaki założyli obóz trzeci, na wysokości 6670 metrów. Radość była wielka, a niektórzy

żartowali, że to prezent urodzinowy specjalnie wypracowany dla Leszka.

Jak się siedzi w bazie prawie dwa miesiące, a czasem dłużej, po prostu trzeba ze sobą rozmawiać, nie tylko o wspinaniu.

Na początku z dużą nieśmiałością, bo nie wszyscy się znają, a potem coraz śmielej i szczerzej. Na początku rozmowy dotyczą głównie wspinania. Większość opowiada o swoich przeżyciach z różnych wypraw, jaka droga była najtrudniejsza, o swoich wyborach, co należało zmienić, żeby wejść na szczyt. Mówią o trudnościach bez owijania w bawełnę, kto na co chorował, czego nie zabrał, a co wziął zupełnie niepotrzebnie. Czasem o tych, którzy zginęli.

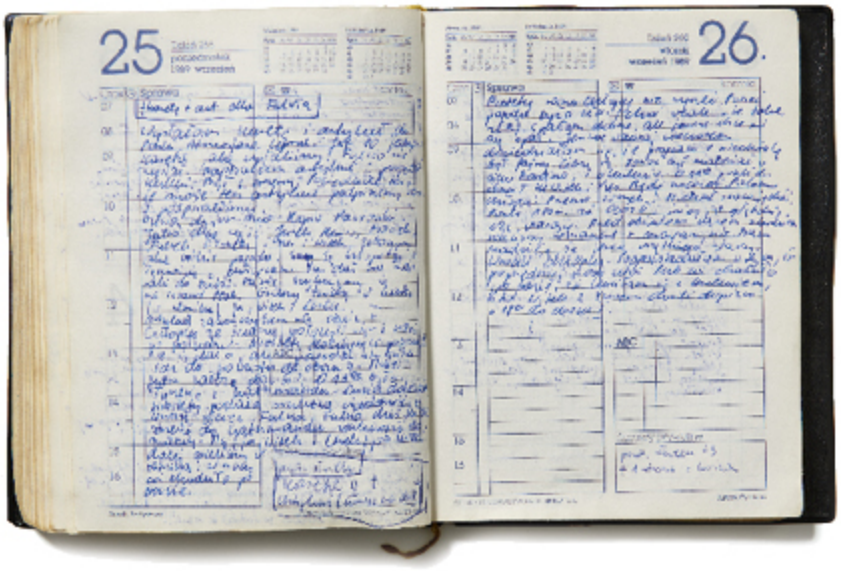

„Nagle coś wielkiego otarło się o namiot” – zapiski.

Marcin Klaban

Potem przychodzi czas na opowieści o zainteresowaniach, a bywają one dziwaczne. Bo czy ktoś może pomyśleć, że chłop jak dąb, który rewelacyjnie się wspina, świetnie robi na drutach? I twierdzi, że to go

relaksuje. Inny razem z synem założył akwarium i teraz się martwi, czy malec da sobie radę z dopiero co rozpoczętą wspólnie hodowlą rybek.

Czasem opowiadają o swoich wyborach, rzadko, dlaczego się wspinają.

Wreszcie przychodzi czas, że zaczynają opowiadać o rodzinie. I jak to w życiu bywa, jednym się ułożyło, a innym nie. Ale wszyscy tęsknią. I ta tęsknota jest najtrudniejsza.

Czasem czytam, jak to biedna żona zostaje z dziećmi w domu i wszystko jest na jej głowie, a on tylko wyjeżdża i się wspina. Tak, ale takiego go sobie wybrałyście, drogie panie. Przypomnijcie sobie: za co go podziwiałyście? Za to, że jest fajny, opiekuńczy, dobry? Nie, za to właśnie, że się wspina.

Mówię tu także o sobie. W którymś momencie zrezygnowałam z periodyczności materiałów o górach robionych dla telewizji, a skupiłam się na macierzyńskiej kontemplacji obrazów naszej dorastającej córki Darii. Starałam się zagłuszyć tysiące godzin niepokoju w oczekiwaniu na powrót Darka z jego kolejnych czterdziestu wypraw, śledząc zdawkowe informacje od faceta, który na pytanie: „Jak było?”, odpowiadał zawsze: „Fajnie”.

Resztę czytałam w prasie codziennej, branżowym jeszcze wówczas „Taterniku”, lub wyciągałam mimochodem od znajomych. Ot choćby tę. Pewnego razu któryś z kolegów w pracy zapytał mnie:

– Wiesz, gdzie jest teraz twój mąż?

– No pewnie. Na wyprawie! – odparłam.

– Nie, u papieża.

– Skąd wiesz? – zdziwiłam się.

– Podali informację o audiencji w Radio Wolna Europa.

O cholera, pomyślałam, to się dyżurni esbecy u mnie w robocie ucieszą.

Któregoś popołudnia dotarła do naszej bazy poczta. Zdarzyło się to może ze trzy razy podczas całego pobytu pod Lhotse. Przynosił ją kuchcik, który biegał do Chukhung po jakieś drobiazgi.

Jeden z kolegów dostał list od żony. Przeczytał i... nie wychodził z namiotu ze dwa dni. Nie pytaliśmy go, co się stało, ale wiedzieliśmy, że pewnie nic dobrego. Zapewne nikt nie umarł, bo o tym by nam powiedział, tak samo o chorobie w rodzinie. Wszystko wskazywało na to, że list był w stylu: ty się tam świetnie bawisz, a ja tu z dziećmi i tak dalej.

Tak, jestem podła. Po prostu nie wyobrażam sobie, by powiedzieć, a jeszcze gorzej napisać komuś, kto już jest w górach, żeby wracał jak najszybciej, bo…

W ten sposób zabijamy jego marzenia. Wpychając człowieka w rodzące się wyrzuty sumienia, zabijamy go. Tu, wysoko w górach ma myśleć o wspinaniu i o tym, żeby się nie zabić. A złe myśli mogą to zrobić.

Postanowiliśmy pomóc naszemu koledze. Ktoś wpadł na pomysł, że trzeba otworzyć flaszkę, bo bez niej ani rusz. Tu przypomniałam sobie, że i owszem, Dyrektor zrobił mnie odpowiedzialną za magazyn, ale nie za beczkę, w której były przechowywane butelki z alkoholem. Na początku beczka stała w magazynie, ale jakoś dziwnie zaczęło z niej ubywać flaszek. Wtedy Dyrektor schował ją u siebie w namiocie, a do namiotu Dyrektora pod jego nieobecność nikt nie ośmielał się wchodzić. Nie bał się tylko Warecki, ale on był akurat w Katmandu.

Wcześniej, gdy tylko dowiedziałam się o niecnych planach Dyrektora, że chce tę beczkę zakamuflować u siebie, postanowiłam uszczuplić naszą piękną niebieską beczusię o dwie buteleczki. Zakopałam obie w głębokim śniegu, a więc sprawiedliwie, bo na całkiem neutralnym terenie. Nie było mowy, że zamarzną, a szkło pęknie, bo to był czyściutki spirytus.

W obecnej sytuacji kryzysowej któryś z kolegów kazał mi jedną flaszkę natychmiast przynieść. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Pamiętałam, że jedną zakopałam gdzieś w okolicach namiotu Napała (tak mówiliśmy czasem na Ryszarda Pawłowskiego, bo to jego ksywka wspinaczkowa określająca nastawienie do aktywności górskiej). Mimo kopania niestety nie znalazłam. Poprosiłam więc o pomoc kolegów. Kopali dość długo i też nic. Wprawdzie nie podejrzewałam, że Napał sam ją wypił, bo po pierwsze prawie nie pił, a po drugie na pewno chciałby podzielić się z kolegami. Niestety koledzy byli innego zdania. Twierdzili, że nawet jeśli nie wypił, to na pewno gdzieś schował.

Po prawie godzinie szukania i przekopaniu niemal połowy bazy znalazła się. Była bliżej namiotu Jurka. Zdecydowanie za blisko. Ważne, że się znalazła. Mogliśmy teraz ratować kolegę. Na szczęście daliśmy radę i następnego dnia napisał list do żony (głównie jak bardzo ją kocha, co zresztą było szczerą prawdą), po czym poszedł się wspinać.

Tak więc nie zabijajmy marzeń. I tak was kochamy najbardziej na świecie, drodzy małżonkowie, kochankowie, dziewczyny, chłopaki i tak dalej. I najważniejsze – dzieci oczywiście też.

Papieroski od kucharza

Wiele osób pyta, czy ludzie wyjeżdżający na wyprawy, wszystko jedno jakie – wysokogórskie, speleologiczne, w skałki – palą papierosy.

W tamtych czasach bardzo dużo osób paliło. Prawdę mówiąc, tylko nieliczni nie palili. Wynikało to z braku świadomości o wyjątkowej szkodliwości palenia papierosów, a może dlatego, że taka była dziwna moda. W jakimś filmie jedna z bohaterek indagowana na temat szkodliwości

palenia odpowiada, że za jej młodości papierosy nie były szkodliwe, tylko stylowe. Szkodliwość wymyślono znacznie później.

Wśród świadomych sportowców prawie nikt nie palił, ale wśród wspinaczy owszem. Z tego, co sobie przypominam, Kukuczka tak naprawdę skończył z papierosami dopiero przed wyprawą na Lhotse. Wcześniej różnie bywało. Czasem przed wyprawą rzucał, a potem wracał do nałogu.

Niektórzy palili na dole, a w górach nie. Pewnie dobrze, ale nie wiem do końca, jaki skutek miała taka akcyjność. Na naszej wyprawie prawie nikt nie palił. Ja tak.

Jeszcze w Katmandu któryś z kolegów poradził mi, żebym rzuciła to świństwo, bo przecież i tak nie przywiozłam z Polski tylu papierosów, żeby do końca wyprawy mi wystarczyło.

To prawda, nie przywiozłam.

Postanowiłam, idąc za dobrą radą, chociaż ograniczyć palenie. Policzyłam i wyszło mi, że przy małym spalaniu z trudem, ale powinno mi wystarczyć. Ja nie dam rady? Niemożliwe. Wiedziałam wprawdzie, że mam słabą silną wolę, ale wierzyłam mocno, że się uda. Ten sam kolega, widząc moją strapioną minę przy liczeniu, powiedział w końcu: „Lepiej kup sobie parę paczek nepalskich, bo ci zabraknie i będziesz musiała prosić kucharza”. Absolutnie nie brałam tego pod uwagę. Ani że mi zabraknie, ani że będę kogokolwiek prosić.

Zabrakło.

Tradycja sadhu, wędrownych ascetów, wywodzi się z Indii.

Dariusz Piętak

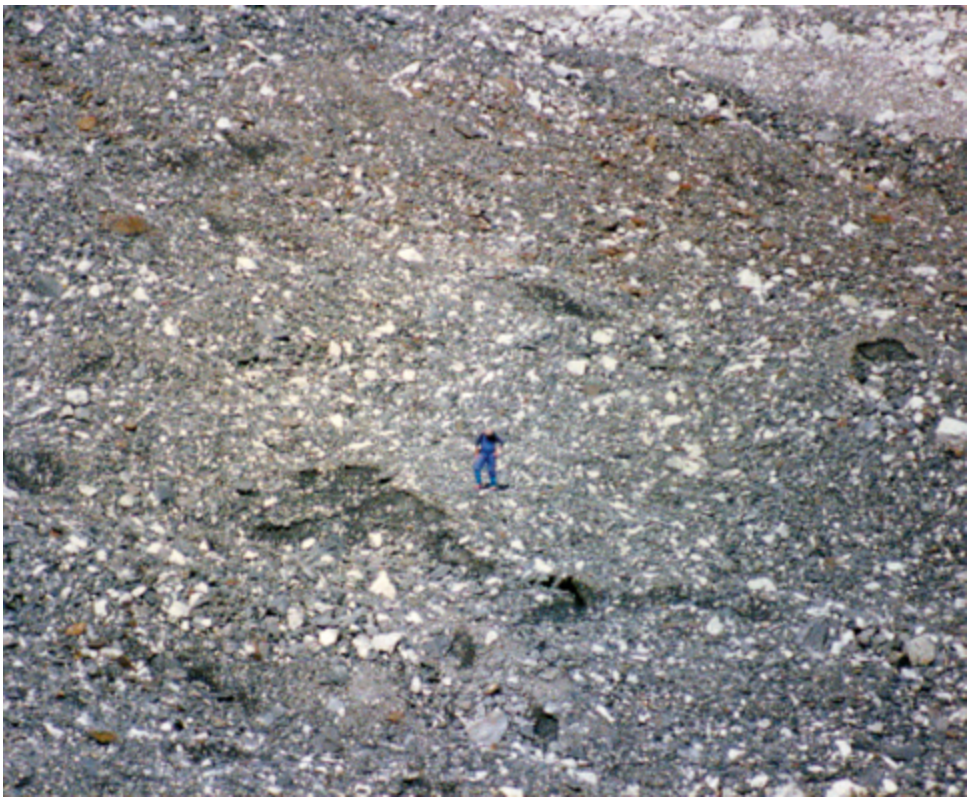

Droga z bazy do podstawy ściany zawsze wiodła przez zasypany kamieniami lodowiec Lhotse. Był to niezwykle uciążliwy etap podejścia pod ścianę.

Elżbieta Piętak

Któregoś wieczora mniej więcej po miesiącu wyprawy udałam się cichutko, tak żeby żaden z moich kolegów nie widział, do naszej kuchni i z błagalnym wzrokiem poprosiłam kucharza o kilka papierosów. Trochę się śmiał, ale dał. Byłam uratowana. Oczywiście poprosiłam go także o kupienie kilku paczek, gdy ktoś z pomocników będzie szedł na dół. Nic mi po tych papierosach nie było. Po kilku tygodniach spędzonych na wysokości ponad 5200 metrów chyba i moje płuca się przyzwyczaiły. Papierosy nepalskie to była najgorsza rzecz do palenia pod słońcem, ale za to najtańsza. Nazywały się Bidi, były to zwinięte liście z tytoniem w środku. Ale się paliły i nawet można było się zaciągnąć. Na bezrybiu i rak ryba.

Faktu, że żebrałam u kucharza o papierosy, jednak nie dało się ukryć. Śmiali się wszyscy. Ja też.

29 września

W stronę czwórki

Pogoda koszmarna, cały czas leje, a momentami dołącza śnieg.

Mamy monitor do oglądania tego, co nakręciliśmy, i dzięki temu mogę robić notatki dla następnej wysyłki taśm do Polski. Oglądamy materiał z wczoraj, z urodzin Leszka, i z dnia poprzedniego, z rwaniem zęba. Przyda się do filmu. Najlepsze zdjęcia zrobił jednak Witek z latania na paralotni. Nie zauważyłam nawet, że były zmieniane plany. Wyglądało w efekcie tak, jakbyśmy mieli dwie kamery ustawione w różnych, oddalonych od siebie miejscach.

Dziś Dyrektor z Florkiem wracają do bazy. Ryszard i Maciek też, jeśli dadzą radę, a jeżeli nie, to będą nocowali w jedynce. Tak przynajmniej zameldowali jakiś czas temu przez radio. Ale jednak wrócili.

Wieczorem Yves, Tomek, Przemo i Rysio zdecydowali, że jutro idą na paralotnie. Ponoć ma być piękna pogoda. Z tą pięknotą to bym nie przesadzała – może ładna, ale piękna?

Dyrektor zgłosił się na ochotnika, że jutro on może mieć dyżur w kuchni. Pewnie zatęsknił za golonką.

Policzyłam, ile już nagraliśmy materiału. Wyszły dwadzieścia cztery rolki taśmy filmowej, ale na niej już chyba nie będziemy kręcić, i pięć kaset VHS. Mamy też jedną Betę, zdobyczną.

W bazie były dwie lornetki do obserwowania ściany.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

1 października

Gwiazda filmowa

Wyszłam rano z namiotu i nie wierzę oczom. Cudo, lampa. Rzeczywiście piękna pogoda. Co zatem robimy wszyscy w bazie? Odpowiedź jest oczywista. Nie, nie wspinanie. Pranie.

Wszyscy robią pranie, bo przy takim słońcu za jakąś godzinę wszystko wyschnie. Ja dodatkowo umyłam głowę w zimnej wodzie ze strumyka, bo nie chciało mi się jej grzać. Niektórzy nawet sprzątają swoje budki. Patrzcie państwo, wystarczy trochę jasności i ciepełka i już się rodzi dobry duch w narodzie.

Skoro jest tak pięknie, to my, ekipa filmowa, musimy skorzystać z okazji i nagrać wszystkich, którzy są w bazie. A więc zaczynamy oczywiście od Dyrektora. Wydawać by się mogło czasem, że to taki poważny facet, a tu proszę, wystarczy włączyć kamerę i natychmiast wychodzi z niego gwiazda filmowa. Tym razem mówił dużo i poważne rzeczy. Przede wszystkim o planach. Kto z kim się będzie wspinał, jaką ma strategię działania.

Przede wszystkim zapadła decyzja, że Jurek będzie się wspinał w parze z Ryszardem Pawłowskim. Oni wychodzą jako pierwsi. Po nich zespół wspomagający. W zależności od rozwoju sytuacji za jeden, dwa dni wychodzi pozostała trójka: Tomek, Maciek i Przemek. Jak się uda wejść na szczyt zespołowi pierwszemu, następnego dnia wchodzi zespół drugi.

Potem nagraliśmy też Tomka i Przemka.

Tomek Kopyś z humorem, swadą i kierunkowym sarkazmem powiedział: „Wspinam się od piętnastu lat i jest to moja czwarta wyprawa w Himalaje, a druga na wysokie szczyty. Natomiast jest to wyprawa bardzo dziwna, bo wszędzie kręci się tu telewizja. Zupełnie nie wiem, jak się zachować nie tylko w czasie wywiadów, ale i w trakcie chodzenia do góry. Na dodatek wyprawa ta jest bardzo niebezpieczna, gdyż telewizja stwierdziła, że chodzenie w góry jest za mało dramatyczne i w związku

z tym nasza polska telewizja każe nam skakać na parapentach. Po pierwszej lekcji rany do tej pory mi się nie zagoiły, ale już mnie prawie nic nie boli i byłem nawet na kilku następnych lekcjach. Jak do tej pory jestem stosunkowo mało pokrzywdzony, bo moi koledzy bardziej to odczuli. Ciekaw jestem, co jeszcze telewizja wymyśli. Dlatego nie chciałbym mówić o sobie, bo cały czas jestem w strachu.

Chciałem jeszcze powiedzieć, że jutro na szczęście idę do góry i z tego, co wiem, najprawdopodobniej nie pójdzie z nami telewizja. Będzie to wielkie wydarzenie dla nas. Pierwszy raz będziemy mogli wreszcie się trochę powspinać i odetchnąć".

Natomiast Przemek uderzył w poważne tony. „Po raz czwarty uczestniczę w wyprawie na ośmiotysięcznik. Byłem między innymi zimą na Kanczendzondze. Niestety nie udało mi się wejść, była to bardzo trudna wyprawa, jak to zimą. Wszedł za to Jurek z Wielickim. W 1986 roku zaś byłem na K2. Niestety nie była to szczęśliwa dla mnie wyprawa, bo zginął mój przyjaciel Wojciech Wróż. Teraz jestem pod Lhotse i myślę, że ta ściana to chyba największy problem w Himalajach".

Komuś się przypomniało, że przecież nie mamy wspólnego zdjęcia. Ustawialiśmy się z pół godziny. I tak musieliśmy zrobić zdjęcia w dwóch grupach, bo zebrać całe towarzystwo razem było bardzo trudno. Tak więc wyszły dwa zdjęcia.

Teraz czekamy na obiad. Postanowiliśmy wykorzystać dobre światło również na nieco inne plenery. Filmowaliśmy karłowatą roślinność i kwiaty. Tak, rosną tu piękne liliowe kwiatki przypominające nasze krokusy. One też są pod ochroną.

Witek zaproponował, by sfilmować także ten paskudny lodowiec, bo przecież ludzie, którzy tu nigdy nie byli i w większości pewnie nie będą,

niech również sobie popatrzą na tę stertę szarych głazów połączonych z lodem. Tak zrobiliśmy.

Obiad był pyszny, choć Dyrektor powiedział, że za dużo warzyw. No przecież nie można pożerać tylko samej golonki.

O szesnastej była łączność z Katmandu. Ryszard Warecki wraca w środę lub czwartek. Super, nie wiem jak reszta, ale ja się cieszę. Dzisiaj mamy niedzielę. We wtorek wraca Lucia z Fulviem. Lecą helikopterem (burżuje) do Tengboche. Ryszard wysiada w Namcze Bazar i przynosi rzeczy z depozytu.

Jurek zdecydował, że jutro wychodzą Maciek, Przemek i Tomek. W planach założenie obozu czwartego.

Dziś również dużo rozmawialiśmy o powrocie, bo trzeba zrobić rezerwację na samolot z Lukli do Katmandu. Tak postanowiliśmy. Schodzimy do Lukli, tam lecimy od razu, jeśli się uda, a jeżeli nie, to przeczekujemy jeden dzień i lecimy do Katmandu.

Przyjemnie jest myśleć o powrocie do domu. Już bardzo tęsknię za domem, za moją córeczką, jeszcze na dodatek nie mam żadnych wiadomości.

Lukla

To mała miejscowość położona na wysokości 2860 m n.p.m., około 130 kilometrów w linii prostej od Katmandu. Jest znana z dwóch powodów. Po pierwsze tu zazwyczaj rozpoczyna się trekking w rejon Everestu. Po drugie tutaj znajduje się najbardziej ekstremalne lotnisko na świecie. Leniwym turystom próżno tłumaczyć, że lepiej iść pieszo, bo wtedy organizm stopniowo się przyzwyczai do wysokości – i tak wolą lecieć. Słyszałam nawet stwierdzenie, że jeśli uda się bezpiecznie wylądować w Lukli, to Everest to pikuś. W sezonie, czyli wiosną i jesienią, lotnisko oraz sama

miejscowość przeżywają istne oblężenie. Port lotniczy obsługuje dziennie około pięciuset pasażerów.

Największym problemem tego lotniska wcale nie jest jego położenie na dużej wysokości. Chodzi o to, że ma tylko jeden pas startowy długości 460 i szerokości 20 metrów. Nie ma mowy, żeby dało się samolot obrócić albo zawrócić. Ponadto pas startowy kończy się 600-metrową przepaścią. Krótko mówiąc, samolot startuje, a potem ma się wrażenie, jakby spadał w przepaść.

Trzeba również dodać, że panujący tu klimat z częstymi mgłami i silnym wiatrem nie ułatwia zadania pilotom. Lądują tu tylko małe maszyny. Taki samolocik zabiera od piętnastu do osiemnastu osób, pod warunkiem że nie ma dużo bagażu.

Loty odbywają się tylko rano. Jeśli ktoś nie załapie się na lot z powodu kiepskiej pogody, może koczować nawet parę dni. Optymiści pewnie by powiedzieli, że loty z takiego lotniska to wielka przygoda.

2 października

Łączność z Katmandu

Wysłaliśmy materiał filmowy do Polski. Kilka rolek filmu i kasety VHS. Mam nadzieję, że w Warszawie zmontują dobry materiał. Przygotowałam dokładną listę montażową, czyli rozpisane ujęcia razem z czasami. Napisałam również lektorowi bardzo dokładny komentarz. Mam nadzieję, że dla widzów wszystko będzie jasne.

Wcześniej umówiłam się z Fulviem, że dam mu trochę ujęć, których i tak mamy pod dostatkiem, ponieważ jego kamera przez wiele dni była uziemiona ze względu na awarię. Podziękował, bo przecież też robił film, i zaproponował, że jeśli będę chciała zdjęcia ze wspinania, to również chętnie się ze mną podzieli. Ale dał niewiele. Wykorzystaliśmy więc własne

ujęcia z podejścia i ze wspinania. Zdawałam sobie sprawę, że może ich być za mało dla alpinistów oczekujących głównie wspinaczki, ale mówi się trudno.

Jurek połączył się z Ryszardem Wareckim dzięki naszej radiostacji. Rozmowa trwała na tyle długo, że aż pomyślałam, że coś się stało. Okazało się, że omawiają sprawę naszego powrotu i ewentualną rezerwację transportu.

Zapytałam potem Jurka, dlaczego tak długo rozmawiali. I że myślałam, że to baby są gadułami, a okazało się, że chłopy też. Powiedział: „A widzisz, ja też się za nim stęskniłem", i zaczęliśmy się śmiać.

Okazało się również, że Dyrektor zamówił lot samolotem z Lukli dla nas wszystkich. Ludzki pan, nie trzeba będzie iść tyle kilometrów trudną drogą w dół.

Dla mnie i Yves'a rezerwacja została zrobiona na 30 października, dla Michała, czyli naszego doktora, wcześniej, bo na 27, a dla reszty na 3 lub 4 listopada. Wszystko jednak może się zmienić, bo nie wiadomo, kiedy będzie atak szczytowy. Powiedziałam Jurkowi, że ja czekam do końca. Nawet się ucieszył. Oczywiście starał się nie dać tego po sobie poznać, ale widziałam po jego minie, że jest zadowolony. Powiedział do mnie: „Wiesz, skoro tak, to może zrobisz jutro ten pyszny bigos, taki ostatni, bo potem będziemy się zwijać i pewnie już nie będzie okazji".

Jasne, że się zgodziłam.

3 października

Po południu nudy

Tak jak życzył dobie Dyrektor, wczoraj trochę przygotowałam, a dzisiaj zrobiłam bigos.

Wszystkim bardzo smakował, a nasi kucharze poprosili, żebym im podyktowała składniki i objaśniła krok po kroku, jak się tę potrawę robi, bo oni, jak wrócą do domu, przygotują ją swoim rodzinom.

Rano piękna pogoda.

Omawialiśmy z Yves'em scenariusz jego drugiego filmu, tylko o paralotniach. Pomyślałam, że nie zdąży pewnie do końca zrobić nawet tego pierwszego, ale nie chciałam go zniechęcać. Pomysł na scenariusz był fajny, bo śmieszny. Kiedyś na festiwalu filmów górskich we Francji widziałam taki właśnie zabawny film o lataniu. Nie było dialogów, tylko same gesty podkreślone muzyczką. Opowiadał o mężczyźnie, który bardzo chciał nauczyć się latać na paralotni. Zatrudnił więc instruktora i… potem śmiałam się bardzo, uczniowi przydarzały się bowiem różne przygody. Raz wylądował na dachu domu, innym razem na słupie. I musiał z niego jakoś zejść.

Ballu chciał zrobić film wesoły, ale nieco inny, raczej o prawdziwych wydarzeniach, które mogą się zdarzyć.

Chłopcy szykują się do wyjścia w góry: Jurek, Ryszard i Michał.

Po południu straszne nudy.

W porozumieniu z Jurkiem postanowiłam zrobić ostatni remanent naszego jedzenia. Było go w magazynie jeszcze sporo. Jurek powiedział, że prawie wszystko rozdamy miejscowej ludności, im się bardzo przyda. Natomiast lekarstwa zaniesiemy do Pheriche, do szpitala. Pheriche to najwyżej (4270 m n.p.m.) położony szpital na świecie. Finansowany, jeśli dobrze pamiętam, przez Światową Organizację Zdrowia. Lekarze pracują tam na dwuletnich kontraktach, z możliwością przedłużenia. Zgłaszali się z całego świata. Pewnie niektórzy traktowali tę pracę trochę jak przygodę,

ale było co robić. Pomagali okolicznym mieszkańcom, ale przede wszystkim trekkingowcom, tym, co wybrali się do bazy pod Everest, i oczywiście wspinaczom. Leczyli różne choroby, od odmrożeń po chorobę wysokościową, czasem ślepotę górską. Tak naprawdę to właśnie turyści dostarczali im najwięcej roboty.

Stupa świątyni Swayambhunath obwieszona chorągiewkami modlitewnymi. Oczy Buddy spoglądają w cztery strony świata na tłum pielgrzymów.

Dariusz Piętak

4 października

Fulviogrynacje

Rano wyszli Kukuś, Ryszard i Michał. Zostaliśmy w bazie w czwórkę: Yves, Witek, Leszek i ja.

Postanowiłam przeżyć kolejny raz męską przygodę i umyłam głowę w lodowatej wodzie. Była tak zimna, że krzyczałam, a moi serdeczni koledzy tylko się śmiali. Ha ha, bardzo śmieszne.

Wrócili Fulvio, Florek i Lucia. Fulvio znowu był niezadowolony. Nie za bardzo lubiłam z nim rozmawiać. Powiedział według mnie coś dziwnego – że Kukuś ma trzy telewizje na wyprawie (pewnie myślał, że Ballu to też telewizja), a nie zapłacił sześciuset dolarów za zezwolenie na filmowanie. Zrobiłam wielkie oczy. Odpowiedziałam, że nic o tym nie wiem i że pierwsze słyszę.

„No to może za was zapłacił” – oznajmił. Na koniec rzucił, że ma już dość tej ekspedycji. Aż mnie zamurowało. Wszyscy traktowali ich jak święte krowy, a tu coś takiego.

Postanowiliśmy oczywiście powiedzieć o wszystkim Jurkowi, gdy tylko wróci. Teraz nie chcieliśmy go denerwować. Niech się w spokoju wspina.

Obiad był dobry, dyżur miał Yves i bardzo się starał.

Po obiedzie ja, Leszek i Witek graliśmy trochę w karty. Potem mała drzemka. Gdy wstałam, usiedliśmy z Witkiem w naszej mesie i pisaliśmy

plan dalszych zdjęć. Co kręcimy jeszcze tutaj, oczywiście wypowiedzi po zejściu wszystkich ze ściany, i co po drodze. Ponieważ wiedzieliśmy już, że będziemy mieć trochę czasu w Katmandu, postanowiliśmy wybrać się do starej stolicy i zrobić trochę obrazków.

Podzieliłam się też z Witkiem pomysłem, że dobrze by było nakręcić film o Szerpach. Wprawdzie widziałam ich kilka, oczywiście filmów, ale jakoś wydawało mi się, że mało mówiły o prawdziwych zasługach wspinaczkowych Szerpów. Pomysł mu się spodobał. Powiedział nawet, że fajnie, bo może będziemy musieli tu wrócić.

W nocy miałam okropne sny. Najpierw źle mi się śniło o chłopakach, którzy wyszli, a potem o bazie.

Wieczorem na kolację Lucia zrobiła risotto. Wyszło fatalne, bo nie dogotowała ryżu i był zupełnie twardy. Pewnie zapomniała, że tu, na takiej wysokości, woda wrze w niższej temperaturze i trzeba gotować trochę dłużej.

Po kolacji Leszek nauczył mnie grać w wista. Najpierw grałam z Leszkiem i przegrałam, a potem z Witkiem i wygrałam.

Kukuś, Michał i Ryszard spali w obozie drugim, a Przemo, Tomek i Maciek w trzecim.

5 października

Stoi czwórka – 7100 m n.p.m.

Postanowiłam napisać dzisiaj kolejny artykuł. Jak przyjdzie Jurek, to go ewentualnie opracujemy jeszcze razem merytorycznie i wyślę go, kolejny już, do Polski.

Wczorajsza rozmowa z Witkiem tak mnie nastroiła pomysłami, że zaczęłam się zastanawiać nad następnym scenariuszem. Wymyśliłam, że trzeba również trochę poprawić ten pierwotny. Głównie chodziło mi o zamieszczenie więcej informacji o samej górze, Lhotse, bo ta była niesamowita i cholernie trudna. Jak nie ma pogody i warunków do wspinania, to w bazie można ześwirować, a góra się śmieje. I jak tu nie myśleć, że rzeczywiście uczy nas pokory.

Dzisiaj rano wyszli Fulvio i Florek.

W nocy było bardzo zimno. Spałam jak zwykle prawie we wszystkich ciepłych ciuchach. Jak to dobrze, że Daruś przed wyprawą kazał mi uszyć puchowe butki – czerwone. Nie dość, że wszystkim się podobały, to jeszcze chłopaki mi zazdrościli. Były bardzo przydatne, a przede wszystkim cieplutkie. Gdyby nie te butki, stopy na pewno by mi zamarzły.

Oglądałam chłopaków przez lornetkę. Są już wysoko, wrażenie niesamowite. Małe czarne punkciki bardzo wolno przesuwające się po ścianie. Trzeba przecież iść w największym skupieniu, a na takiej wysokości mózg się lasuje. I jeszcze muszą uważać na lawiny, ale czy się da na nie uważać? Na dodatek słońce grzeje niesamowicie.

Tak naprawdę potrzebne jest szczęście. Jurek zawsze mówi, że oprócz umiejętności, rozsądku i wiary trzeba mieć właśnie szczęście. Przypomniały mi się różne publikacje, które ukazywały się na temat jego wspinania, wywiady z nim. Wielokrotnie przewijało się słowo „szczęście”.

Patrzyłam pewnie przez godzinę albo i dłużej. Czasami było ich widać wyraźniej, po chwili zaś znikali w chmurach. Ważne, że parli cały czas do góry.

Żeby marzenia się spełniły, to trzeba marzyć. Marzyć o najwyższych górach, a potem walić do przodu. „Oni właśnie spełniają swoje marzenia” – pomyślałam.

Kukuczka marzył o zdobyciu wszystkich czternastu ośmiotysięczników. To marzenie się spełniło. Gdzie więc jeszcze tak gnał? Przyzwyczajenie, radość ze zdobytego szczytu, spokój i ukojenie, jakie daje obcowanie z górami, przyrodą, a może coś więcej, coś jeszcze, czego nie pojmiemy. Tę wiedzę miał tylko on. Mają ją wszyscy, którzy zdobywają „swoją górę".

Do bazy wrócił Ryszard Warecki. Bardzo, ale to bardzo się ucieszyłam. Z nim jest jakoś inaczej, fajniej oczywiście. Uczciliśmy jego powrót maleńką flaszeczką, którą przyniósł ze sobą.

Wieczorem połączyli się z bazą Przemek, Maciek i Tomek. Przekazali informację, że założyli obóz czwarty na wysokości 7100 m n.p.m.

Super.

6 października

Maciejowa

Słońce grzeje jak nigdy. W bazie wszyscy w dobrych humorach. Cieszą się tak, jakby to oni założyli obóz czwarty.

Myślę, że ludzie cieszą się również z tego, że zbliżamy się nieubłaganie do końca ekspedycji. Jest fajnie, ale wszyscy już tęsknią za rodzinami, żonami, dziewczynami, dziećmi, przyjaciółmi.

Najbliżsi wiedzą lub tylko się domyślają, jak niebezpiecznie może być na takiej wyprawie.

Przecież czytają o wypadkach w górach, zwłaszcza wysokich.

Żeby artykuł „zażarł", wielu dodaje, koloryzuje. A co tu koloryzować, tu naprawdę jest niebezpiecznie. Kiedyś na jednym ze spotkań

z publicznością – miłośnikami gór – jakiś wspinacz powiedział, że w Himalajach jest robota jak na grubie. Ślązacy wiedzieli, o co chodzi.

Większość tych, co byli w bazie, zalegli na karimatach, na kamieniach i wystawili twarze do słońca. Ja też, ale po jakichś dwudziestu minutach zrezygnowałam, bo zaczęła mnie boleć głowa.

Poszłam do naszej miniapteki, znalazłam termometr (nie wiem, dlaczego termometr, a nie tabletkę od bólu głowy). Zmierzyłam temperaturę i wyszło 36,2. Chyba trochę mało.

A propos tabletek. Mamy sporo aspiryny, ale chłopaki, którzy idą się wspinać, trochę się boją ją brać. Aspiryna rozrzedza krew, co zmniejsza ryzyko odmrożeń. Niestety są też minusy. Nie można jej zażywać za dużo, bo jak na przykład złamie się nogę, krew wali jak oszalała i można się wykrwawić.

O 13.45 wrócili chłopcy: Przemek, Tomek i Maciek. Maciek to wyjątkowo twardy facet. Na początku wyprawy podczas wspinaczki jakimś cudem zgubił kask – pewnie zdjął, żeby poprawić sobie rak, i kask w cholerę spadł. Wspinał się dalej, ale żeby mu słońce dziury nie wypaliło w głowie, założył chustkę. Wyglądał zabawnie. Oczywiście go sfilmowaliśmy. Wieczorem siedzieliśmy w naszej jadalni, gdy wszedł Maciek. Jeden z kolegów powiedział do niego (ja bym się nie ośmieliła): „Siadajcie, Maciejowo”.

Medytujący sadhu w charakterystycznym, barwnym stroju do udzielania błogosławieństw.

Dariusz Piętak

Trzeba było widzieć ten wzrok. Później przez kilka dni mówiliśmy tak do Maćka. Bardzo tego nie lubił.

Wyszliśmy na lodowiec, żeby sfilmować powrót chłopaków. Potem Tomek długo opowiadał o zakładaniu obozu czwartego, choć widziałam, jak bardzo był zmęczony. Wszyscy wyglądali na wyczerpanych. Tomek powiedział, że wiał bardzo silny wiatr i to on ich tak zmarnował.

Wykorzystaliśmy dziś piękne słońce i chyba po raz pierwszy nagraliśmy nasze wypowiedzi. Witka – o warunkach kręcenia filmu na takiej wysokości, problemach z kamerami, częstych kłopotach z dźwiękiem przy łącznościach ze ścianą. Nie żeby dźwięk był źle nagrywany, tylko czasem bardzo słabo było słychać. Głównie przeszkadzał hulający wiatr. Brzmiał jak pędzący pociąg ekspresowy. Ja opowiadałam o tym, co już zrobiliśmy i co będzie w naszym filmie.

Potem sfilmowaliśmy Ryszarda Wareckiego, jak siedzi w swoim namiocie i planuje nasz dalszy pobyt i powrót. Poprosiłam go, żeby trochę poopowiadał o swoich wyprawach, ale powiedział, żebym szła w cholerę, bo teraz to on jest zajęty. No to poszłam. Policzymy się!

Największą radość sprawił nam nasz kucharz. Na pełnym uśmiechu przez całą, dosłownie całą wypowiedź, gestykulując zamaszyście, opowiedział nam historię swoją i chyba całej swojej rodziny. Było to urocze, zwłaszcza że mówił po nepalsku. Mimo że byłam trochę zdziwiona, nie przerywałam mu.

Gdy Witek wyłączył już kamerę, zapytałam kucharza, dlaczego mówił po nepalsku. „A bo tak” – odpowiedział, sądził, że tak będzie naturalnie i może trochę śmiesznie. I że przecież i tak mi wszystko przetłumaczy.

Był cudny.

Rzeczywiście wszystko tłumaczył później na angielski, ale tak mu marnie szło, że chyba zostaniemy przy nepalskim. Nie żeby źle mówił po angielsku, tylko długo się zastanawiał i robił bardzo długie pauzy.

Do wieczora już nic ciekawego się nie wydarzyło.

Postanowiłam, że jutro napiszę kolejny artykuł. Na świeżo, póki pamiętam szczegóły. Wszystko trudno zanotować. A ślad musi zostać.

7 października

Zamykamy budki

Rano piękna pogoda. Trudno nie wykorzystać słońca, w końcu samo się prosi. Wszyscy biorą kąpiel. Trochę w zimnej wodzie, a trochę w ciepłej.

Potem postanowiłam napisać kolejny artykuł. Tym razem dokładnie opisałam drogę naszych wspinaczy od drugiego do czwartego obozu. Żeby nie napisać bzdur, korzystałam ze zdjęć filmowych zarejestrowanych na naszej kamerze. Po prostu odtwarzałam sobie poszczególne sekwencje. Korzystałam też z wypowiedzi moich kolegów. Materiału miałam dużo, bo przecież nakręciliśmy mnóstwo wywiadów, nie tylko po każdym powrocie chłopaków ze wspinania, ale również zaczerpnęłam co nieco z nagrań opowieści przy kawie w naszej mesie.

Maciek Pawlikowski lubił opowiadać o swoim macierzystym klubie w Zakopanem. Śmiał się, że młodzi mówią na niego „dziadek himalajski”. Jest dziewiąty raz w Himalajach, a wspina się już siedemnaście lat. Pewnie to od noszenia kasku wypadły mu włosy.

Yves Ballu lubi opowiadać o jego najnowszym odkryciu sportowym – lotach na paralotniach. Dużo się dzięki niemu dowiedzieliśmy o roli kierunku i prędkości wiatru, o ułożeniu skrzydła paralotni oraz o trudnych, a jednak ciekawych lotach nad morzem. W Himalajach jeszcze nie latał i to dla niego wielkie wyzwanie. Szczerze powiedział, że przyjaciele z Francji na pewno będą mu zazdrościć.

W bazie są dziś: Yves, Warecki, Witek, Fulvio i Florek. Fulvio źle się czuje, ale nikt z nas nie pyta go, czy to głowa, czy może żołądek. Jak będzie chciał, to sam przecież powie. Mamy pełną aptekę. Doraźna pomoc jest więc w każdej chwili możliwa.

Dziś na obiad mają być gołąbki (wymyślił je Warecki). Oczywiście ja z Wareckim mamy je zrobić. Gotowaliśmy tę cholerną kapustę w niegotującej się wodzie chyba ze trzy godziny. Nic to nie dało, i tak pozostała twarda.

Po południu widzieliśmy wielką lawinę. Na szczęście nie dotarła do bazy. Ktoś powiedział, że mogła zahaczyć o czwórkę, czyli nasz świeżo założony obóz. Oby nie.

Gdy ktoś w bazie zauważył, że schodzi lawina, pierwsze, co robił, to głośno krzyczał: „Zamykamy budki!”. I wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Jak zleci, to wszystko zasypie, do środka namiotów też wpadnie. Nawet jak schodziła gdzieś z boku, to śnieżny pył zawsze trafiał w bazę.

8 października

Obóz piąty, 7400 m n.p.m.

Wczoraj wieczorem ustaliliśmy, że wychodzimy na Island Peak (6189 m n.p.m.). Samotna wyspa, tak też o nim mówią. W 1983 roku zmieniono nazwę tego szczytu na Imja Tse, ale i tak wszyscy, z którymi rozmawiałam, używali starej nazwy Island Peak. Wyprawy, które przyjeżdżają wspinać się na Lhotse czy Everest, wchodzą na ten szczyt w celu aklimatyzacji.

Chłopcy powiedzieli, że na niego wejdę. No to idę.

Niestety w nocy padało i odłożyliśmy wyjście na jutro. W związku z tym nie trzeba było się rano spieszyć, więc spałam do 9.30.

O jedenastej łączy się Dyrektor. U nich wszystko w porządku, a ta lawina, którą widzieliśmy, przeszła bokiem. Przynajmniej nic się nie stało. Ponoć on i Rysiek Pawłowski poszli w górę, a doktor schodzi sam. To kiepsko, bo on się nie czuł dobrze. Widzieliśmy przez lornetkę, jak schodził do trójki. Bardzo powoli. Myśleliśmy, że tam zostanie, a on schodzi do dwójki. Mamy nadzieję, że nic mu się nie stanie, a przede wszystkim, że zdąży zejść przed nocą do tej dwójki.

Ponieważ Maciek i Przemo bardzo się o niego niepokoili, postanowili – dość późno – wyjść po niego do dwójki. Koszmar.

Wieczorem łączność z Kukuczką i Ryśkiem Pawłowskim. Założyli obóz piąty na wysokości 7400 metrów. Zuchy.

9 października

Gdzie są moje raki?

Rano na Island Peak wyszli: Yves, Witek i Ryszard Warecki.

Niestety do wieczora się nie zgłosili.

Za to do bazy wrócili: doktor, Maciek i Przemek. Pojawili się około dwunastej.

Po południu, po godzinie siedemnastej wrócił Dyrektor z Ryśkiem Pawłowskim. Wszyscy bardzo im gratulowali założenia obozu piątego. Przybyli mówili, że nie było łatwo. Nie tylko szalejący wiatr im przeszkadzał, ale również słońce. Bali się, że mogą zejść lawiny. Na szczęście nic się takiego nie stało.

Dowcipny Yves zabrał moje raki. Nie wiem, czy komuś je dał, czy co. Zorientowałam się, bo chciałam wyjść w kierunku drogi, którą mogliby

wracać chłopaki z Island Peak, i wtedy okazało się, że ich nie ma. Nie poszłam więc, bo jak?

W południe znowu była przepychanka z Fulviem, a wieczorem, pewnie na zgodę, postawił wino. Dziwne to wszystko. Za długo w bazie nie można siedzieć, bo dostają odwału w główki.

Wysłałam artykuł do Polski. A w nim sporo informacji o zakładaniu obozu piątego, które oczywiście miałam od Dyrektora.

Dziś jest łączność z Polską. Ciekawe, jakie wiadomości.

Jutro Yves zamierza skoczyć na paralotni. Pytanie, czy będzie odpowiednia pogoda.

10 października

Prognoza na zimę

Dziś od rana pada śnieg i jest zimno, więc Yves nie skoczył. Chłopaki niestety nie łączyli się z nami, właściwie nie wiadomo dlaczego. Zaczynam się martwić, ale nic nie mówię Kukuczce, bo nie chcę, żeby i on się martwił.

Mimo wszystko zebraliśmy się w dwie ekipy telewizyjne i wyszliśmy na morenę lodowca w oczekiwaniu na ewentualny skok Yves'a. Całe przedpołudnie spędziliśmy jak głupi na tej morenie. Zmarzłam potwornie. Około trzynastej zeszły duże chmury i po ptakach.

Około czternastej obiad, nawet dobry. Dziś w kuchni dyżur ma doktor.

Jurek powiedział przy obiedzie, że chciałby wejść na Lhotse nową drogą (wielkim zacięciem). Zaczęła się niezła dyskusja. Przemo z Maćkiem byli przeciwni.

Najprawdopodobniej pojutrze wychodzą w ścianę. Martwią się tylko o pogodę. Zobaczymy, jaka będzie.

Jest godzina dwudziesta, a chłopaki z Island Peaku nie wrócili. Wszyscy mówią, że pewnie będą nocować do jutra. No ale trochę za długo już tam siedzą. Znam Yves'a, jak się na coś uprze, to nie ma mocnych. Pewnie liczy na to, że pogoda się poprawi, będzie dobry wiatr i wreszcie uda mu się skoczyć. Jutro z kamerami znowu będziemy wyczekiwać na tej pieprzonej morenie.

Teraz sypie śnieg. Jak przykryje namiot, powinno być ciepło w nocy.

Ciekawe, jaka jutro będzie pogoda i czy Yves poleci.

Z tą pogodą różnie bywa. Czasem wieczorem jest fatalnie, a w nocy wiatry przewieją zimno i chmury i rano cudnie świeci słońce. Zobaczymy.

Wczoraj ktoś rzucił, że pogoda wygląda tak, jakby wcześniej miała przyjść zima. Tego nie przewidywaliśmy. Poprosiłam Leszka, żeby zapytał przez radio. Może się dowie, co na temat tej pogody wiedzą znawcy na nizinach.

Wiedzieli tyle, co my.

11 października

Gdzie raki zimują

No i co? Dziś od rana świetna pogoda.

Od 8.30 czekamy na lot na paralotni. Ryszard Warecki mówił, że Yves ma trzy procent szansy na wykonanie lotu.

Około 11.20 poleciał. Niestety na drugą stronę góry i wylądował tam, gdzie wcześniej trenowaliśmy. I nici z naszego wyczekiwania, a przede

wszystkim z filmowania. Yves tak się cieszył swoim lotem, że otworzył szampana.

Wreszcie wrócili z tego Island Peaku do bazy.

Wieczorem do 23.15 graliśmy z Leszkiem w karty, jakoś nie chciało nam się spać.

Moje uwagi:

Yves oddał mi raki. Potem natychmiast poszedł do Wareckiego i powiedział, że dał mi raki i chce drugie. I Warecki mu dał. Jak poszli na Island Peak, to dał moje raki Witkowi, bez pytania. Przecież ja też bym mu je pożyczyła, gdyby poprosił. Yves miał dwie pary. Gdy zapytałam, czy zamierza kolekcjonować raki, odpowiedział, że po powrocie chce dać cały sprzęt dzieciom i że należy go zrozumieć. Szkoda, że ja nic z tego nie rozumiałam.

12 października

Dyscyplina

Dziś nie wstałam na śniadanie. Oczywiście Dyrektor zaraz mi rzucił kąśliwą uwagę. Gdy wychodziłam z namiotu, powiedział: „O, już wstałaś”, a było przed dziewiątą. Taki żartowniś.

Potem graliśmy w karty, ja, Lesio i doktor.

Obiad jest planowo zawsze około trzynastej. Czasami, gdy jest nas mało i wszyscy się zgadzają, to robimy o dwunastej. Czemu tak wcześnie? Bo o szesnastej robi się ciemno, a zazwyczaj około dwudziestej, dwudziestej pierwszej idziemy spać.

Dziś dyżur w kuchni miał Napał. Zrobił obiad bez niczyjej wiedzy (o przepraszam, może Dyrektor o tym wiedział) na 11.50. Nie przerywaliśmy gry w karty. Skończyliśmy jakieś dwadzieścia po dwunastej. Gdy przyszliśmy do jadalni, była tylko zupa. Kucharz wniósł nam gotowe dania. Dyrektor go odesłał. „Spóźnili się, to nie będą jedli” – powiedział. Poczułam się, jakbym była na koloniach, gdy zły pedagog, chcąc ukarać dzieci za przewinienie, nie daje im obiadu.

Wychodząc z jadalni, powiedziałam do Napała, który jakoś nie chciał przeciwstawić się Dyrektorowi: „Pyszny obiad, Rysiu”. Głodny doktor jadł samą fasolkę, którą gdzieś znalazł. A potem Wituś przyniósł nam jakieś zakamuflowane żarcie, a na osłodę po piwku.

Dyrektor został sam w jadalni i nie miał z kim rozmawiać.

13 października

Udane loty

Rano piękna pogoda. Słońce świeci jak oszalałe. Wszyscy wyszli z namiotów wysmarowani kremami, żeby pyszczków nie przypalić. Na tej wysokości niestety łatwo o poparzenia, bo wieje dość silny wiatr, a to może zmylić, że słońce tak mocno nie operuje.

Jurek zrobił naradę ze mną i z Witkiem na temat nakręconego materiału filmowego. Chce, żebyśmy więcej kręcili, jak wracają ze ściany. To, co obejrzał, bardzo mu się podobało. Powiedział, że nie spodziewał się, że to tak fajnie wychodzi. „Co on gada?” – pomyślałam. Z tego, co widziałam i wiem na pewno, zdołał obejrzeć jakąś piątą część materiału. Jasne, że mu się podobało. Szkoda tylko, że nie zobaczył więcej, a wtedy dowiedziałby się, że kręciliśmy każdy powrót. Potrzebne nam były te sceny, bo wtedy

byli zmęczeni, a dzięki temu naturalni i opowiadali najświeższe informacje o tym, co robili. Jakie trudności, jaka pogoda. Autentyczna autentyczność, jak to mawiał mój profesor w szkole filmowej.

Potem Yves, doktor i Witek poszli potrenować trochę na paralotniach, oczywiście z kamerą.

Yves'owi udało się polecieć, a my to pięknie nakręciliśmy. Ten lot był wyjątkowo udany. Piękny, majestatyczny, na pewno przyda się do filmu.

Potem wróciliśmy na obiad.

W bazie okazało się, że wyszli Fulvio i Floriano.

Nasi chłopcy: Przemek, Maciek i Tomek, śpią w obozie czwartym.

Po południu nagraliśmy Jurka i Ryśka Pawłowskiego. Znów dużo opowiadali o obozie piątym, fajnie im poszło. Tak dobrze mówili, że jakby się uprzeć, na jednym ujęciu dałoby radę. „Góry najwyższe nie są moją specjalnością – mówił Pawłowski. – Dużo czasu spędziłem w Ameryce Południowej, w Stanach, Australii. W 1984 roku zdobyłem Broad Peak, ma jakieś 8047 metrów, a w 1985 roku byłem na Lhotse i doszedłem do wysokości 8000 metrów.

Pierwszy udany lot pod Lhotse. Mieścił się ciągle w kategorii pionierskich. Francuski alpinista Jean-Marc Boivin wykonał pierwszy na świecie lot paralotnią z Mount Everestu 26 września 1988.

Elżbieta Piętak

Potem bardziej jeździłem w góry, gdzie liczy się wspinanie techniczne, i one bardziej mnie pasjonowały. Moim marzeniem jest przynajmniej

pokonanie mojego rekordu na południowej ścianie Lhotse. I teraz znów jestem tu. Jest nieźle, jak na razie. Jak wszystko pójdzie dobrze, może nam się udać. Choć nie chcę zapeszać”.

Przerwał mu Jurek i powiedział coś, co właściwie do niego nie pasowało.

„Czyż to nie wspaniałe, mamy obóz piąty, jest piękna pogoda, najczystsze powietrze na tej planecie, o widokach nie wspomnę, a wszystkie troski zostawiliśmy gdzieś daleko. Może właśnie dlatego tak ciągniemy w te góry”.

Nie chciałam przerywać, zmieniając plany. Po tym wywiadzie nakręciliśmy sporo obrazków ściany z tego dnia. Może przydadzą się do montażu.

Jurek dużo mówił o tym, co dalej. W trakcie jego wypowiedzi zastanawiałam się, czy ludzie zrozumieją, o czym on gada. Byłam z niego dumna. Mówił świetnie, jakby chciał przekazać człowiekowi, który nigdy nie był w górach, jak tu jest. Takiej wypowiedzi tego pana to ja jeszcze nie słyszałam. Brawo, Jurek.

Później zapytał, jak było. Odpowiedziałam, zgodnie zresztą z prawdą, że super i że jak wrócimy, to wezmę go na prowadzącego program *Góry*. Oczywiście nie byłby sobą, gdyby nie odpowiedział: „Nie stać cię”. Jak zwykle nie odpuściłam i rzuciłam, że jeszcze zatęskni za tymi nagrywanymi rozmowami. I zaczęliśmy się śmiać.

Potem nagrałam fantastyczne opowieści Ryszarda Wareckiego. Ten to umie opowiadać. Nawet my słuchaliśmy tego z rozdziawionymi gębami.

Opowiedział między innymi taką historię.

„Pojechaliśmy z Jurkiem na jego czternasty ośmiotysięcznik – Sziszapangmę (ostatni do kompletu Korony Himalajów i Karakorum). Jurek wymyślił, że tam, gdzie teren na to pozwoli, zjedzie na nartach. Ja

miałem to filmować. Pomyślałem sobie, że fajnie. Skoro tak, to damy radę. W Himalajach na nartach to jest coś.

Co z tego, kiedy ten «narciarz» słabo jeździł na nartach i nie był to jego żywioł. Wniosłem mu te narty kawał drogi i nie było lekko. Zaczęło się zjeżdżanie. Pogoda świetna, światło marzenie. Wybieram miejsce do filmowania. Dobry kadr, perspektywa. Kamera i gramy! Jurek jedzie, jedzie i nagle bach. Leży. No dobrze, powtarzamy, już te parę metrów niżej. Wstaje, znowu jedzie kilka metrów i bach. Leży na boku i pyta z grymasem, ale zarazem i nadzieją:

– Nagrałeś?

– Nie, bo za krótko! Ty weź się skup! – krzyczę do niego. – Potrzebujemy parę metrów bez gleby! Zjedź choć kawałek, żebym miał jakiś obrazek, to musi trochę trwać.

Znowu akcja. Widzę po twarzy aktora, że zrozumiał, o co chodzi. Jedzie parę metrów i ponownie – bach. I żeby to chociaż było parę metrów. Wreszcie jakoś się udało, ale na końcu i tak było bum.

Do filmu dałem więc całość tej sceny”.

Ryszard również wszedł wtedy na Sziszapangmę (8027 m n.p.m.) i stąd te narty, bo przecież ktoś je musiał Jurkowi wnieść.

O szesnastej jest już ciemno i zimno.

Wieczorem dowiedzieliśmy się, że Carlos Carsolio (Meksyk) wszedł na Everest. Razem siedem osób. Wszyscy bardzo mu gratulowaliśmy. Jurek też był szczęśliwy i cieszył się z sukcesu kolegi. Powiedział tylko: „Chłopaki, no to teraz my”.

W nocy łączyliśmy się z Polską i dowiedzieliśmy się, że dziś mają być dwa programy o naszej wyprawie i o chłopakach.

14 października

Może na szczyt

I znów ładna pogoda, przynajmniej w bazie.

Yves i doktor wyszli na parapenty. Ja i Ryszard Warecki graliśmy trochę w karty.

Jest piętnasta i dalej świeci słońce, niesamowite. Wieje jednak zimny wiatr.

Dyrektor chyba jutro wychodzi.

Wieczorem łączył się Przemek, powiedział, że jeśli będzie ładnie, to chcą iść do szczytu.

Postanowiliśmy z Witkiem, że obojętnie, o której Jurek będzie wychodził – o czwartej rano czy później – wstaniemy. Chcę mieć to wyjście, bo to na pewno będzie wyjście szczytowe.

Piszę kolejny artykuł. Pokazałam Dyrektorowi wcześniejsze notatki, powiedział, że super. „Pisz i wysyłaj, niech mają informacje na bieżąco”. Tak też zrobiłam.

Łączność z obozami. Dyrektor w bazie.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

Kukuś wyszedł dziś rano. Może do szczytu.

Yves postanowił polecieć na paralotni z Chukhung Peaku. Poszli więc rano z Wareckim, ale wrócili przed obiadem. Nic z tego, zrezygnowali.

Ponoć było za stromo i trzeba było się wspinać, a oni poszli „na lekko”, czyli bez sprzętu wspinaczkowego, choć z paralotnią niesioną na plecach.

Z tego powodu ja musiałam przygotować obiad, mimo że nie był to mój dzień dyżuru (ale w związku z tym skorzystałam z gotowych dań).

Niestety dziś wcześniej zrobiło się zimno, około piętnastej. No cóż, tu też już jesień.

Przemek, Maciek i Tomek jednak wracają do bazy.

Wieczorem ja, Lucia i Witek rozmawialiśmy do pierwszej w nocy. Fajnie się gadało, bo interesował nas system pracy tak zwanych wolnych strzelców. Jeżeli osoby o specjalnych, ciekawych zainteresowaniach mają pomysł na film czy program i na dodatek własną kamerę, to mogą go zgłosić do telewizji. W tym przypadku szwajcarskiej. I im często takie pomysły akceptowano. Przywozili piękne zdjęcia z miejsc, do których dostęp ze względu na trudności jest ograniczony, i sprzedawali je telewizji. Mimo że nie byli związani z telewizją żadnym etatem, nieźle na tym wychodzili. Istniał jeszcze jeden plus takiej współpracy – byli wolni.

16 października

Słuchamy bez przerwy

Piękna pogoda.

Z bazą łączy się Dyrektor. Na górze strasznie wieje.

Umówiliśmy się z Dyrektorem na konkretne godziny łączności. Teraz w bazie już wszyscy są czujni. Postanowiliśmy zrobić dyżury przy radiotelefonie i bez przerwy słuchać. Mogą przecież połączyć się z jakiegoś

powodu w każdej chwili. Kukuś powiedział, że on i Rysiek Pawłowski czują się dobrze.

Yves i Przemek poszli na paralotnie. Dobrze, że mamy tu ten sprzęt. Po pierwsze chłopaki mają co robić, po drugie nie siedzą i się nie nudzą, tylko są cały czas aktywni. Pogoda i tak daje możliwość odpoczynku i regeneracji organizmu, bo jak jest zła, to nie wychodzą. Zresztą trzeba przyznać, że Kukuczka bardzo dba o cykle odpoczynku. Aż się zdziwiłam. Jego wieloletnie doświadczenie z innych wypraw świetnie przekłada się na naszą ekspedycję. Chłopcy też o tym mówili, śmiejąc się nawet, że „świetnie mu idzie jako lekarzowi wyprawowemu". Myślę, że Dyrektor i tak wszystko konsultuje z doktorem.

Mieliśmy łączność z Polską. Puścili w telewizji wyrywanie zęba. Fajnie.

Wysłałam kolejny artykuł wraz z kasetą. Mają już dużo materiału filmowego, jest z czego wybierać.

Zebrałam też wszystkie opisy razem. Postanowiłam przygotować się do napisania jednego, spójnego sprawozdania z wyprawy – pomyślałam, że Jurkowi się przyda, jak wrócimy. Gdzieś to wykorzysta.

Tak dobrze mi szło, że opisałam dokładnie wszystkie filmy, które do tej pory nakręciliśmy. Pomyślałam, że choć może jeszcze za wcześnie się nad tym zastanawiać, pewnie trzeba będzie trochę zmienić scenariusz. Z opowiadającego na bardziej opisujący sylwetki wspinaczy.

Zajęło mi to wszystko parę godzin, ale byłam zadowolona.

Przy następnej łączności powiem Kukuczce, jakie fajne zdjęcie (ujęcia) znalazłam na naszym filmie. Któregoś razu zastaliśmy go przed namiotem bez koszulki i gdy się zorientował, że go filmujemy – uciekł. Jak go znam, ucieszy się.

17 października

Na górze wieje

Pogoda ładna, ale Dyrektor schodzi. Na górze strasznie wieje.

Nakręciliśmy, tym razem kamerą filmową, jak schodzi. Łatwo nie było.

Korzystaliśmy w bazie z ostatnich promieni słońca. Różnice temperatury ogromne. W dzień na dużym plusie, a w nocy na dużym minusie. Koszmar. Kilkoro z nas robiło pranie, mając nadzieję, że to ostatnie. Nie chodzi o pranie, tylko o to, żeby wyschło w ciągu dnia, gdy świeci słońce, bo jak nie wyschnie, to w nocy zamarznie i tak w kółko.

Yves z Ryszardem poszli na Chukhung Peak. Yves bardzo chciałby polecieć do bazy, ale jest bardzo silny wiatr, nie wiadomo, czy go nie zniesie.

Przemek z doktorem wybrali się na naszą polanę poćwiczyć stawianie paralotni. Przed obiadem wrócili.

Po obiedzie, około piętnastej, Leszek i ja zeszliśmy do Chukhung. Schodziliśmy tylko godzinę. Szybko. Byliśmy z siebie bardzo zadowoleni. Pewnie to oznacza, że mamy już bardzo dobrą aklimatyzację. Chociaż wiadomo, że im niżej się jest, tym lepiej. Może więc to więcej tlenu dało nam takiego pałera. Fakt, że szliśmy bardzo szybkim tempem.

W Chukhung wypiliśmy po pysznym piwie.

Spotkaliśmy bardzo sympatycznego Francuza i dwóch Szwajcarów. Przyjechali w Himalaje, bo to było ich marzenie życia. Jakże to rozumieliśmy.

Postanowiliśmy zostać tam na noc. Wybraliśmy tę samą chatę, co poprzednio. Na szczęście nie zabraliśmy walkie-talkie, więc był spokój, żadnych zbędnych pytań.

18 października

Odwiedziny

Rano, około 9.30, wyszliśmy z Chukhung. Ja, o dziwo, tak jak poprzednio, trochę źle się czułam, bolała mnie głowa i gardło. Nie bardzo się przejmowałam, bo gardło boli mnie także w Polsce, zwłaszcza latem.

Przed 12.30 byłam już w bazie, a tu dotarła wiadomość, że Przemek latał na paralotni, wysoko. Ponoć wyniosło go dziwne powietrze, wszystko skończyło się dobrym lądowaniem. Był z siebie bardzo zadowolony.

Potem doszedł do bazy Leszek.

Jak zwykle około trzynastej był obiad, dziś w kuchni gospodarzył doktor. Po obiedzie dał mi jakieś tabletki na gardło. Pomogło.

Po południu do bazy przyszedł Janusz Kurczab z trójką przyjaciół. To znana postać w świecie wspinaczy. Był kierownikiem wypraw w góry najwyższe, w Himalaje, Karakorum, Hindukusz. Uczył ponoć Jurka się wspinać. Rzeczywiście Jurek czuje wobec niego dużą atencję.

Kiedy skończył swoją karierę wspinaczkową, zaczął pisać książki. *Na szczytach Himalajów*, *Najpiękniejsze szczyty tatrzańskie* czy *Nepal: przewodnik trekkingowy*, to tylko niektóre z nich. Janusz był sympatyczny; odniosłam wrażenie, że jest człowiekiem dość skromnym, zachowywał się tak, jakby nie chciał się nikomu narzucać.

Posiedzą u nas trochę. Fajnie, odmiana się przyda, a i wieści z nizin przynieśli.

Dziś łączyliśmy się z Polską, ale zamiast wiadomości z naszego kraju, usłyszeliśmy o tragedii w Stanach. Ponoć w Kalifornii i San Francisco było trzęsienie ziemi. Zginęły dwieście siedemdziesiąt cztery osoby. Straszne.

Wieczorem, po naszej łączności z Polską Yves powiedział, że chce jechać razem z Fulviem, który wraca wcześniej. Bardzo się zdziwiłam. Powiedział, że już jest bardzo zmęczony psychicznie takim czekaniem, głównie na dobrą pogodę. I chce już wracać do Francji. Pewnie tęsknił za rodziną.

Powiedział, że zaczeka na nas w Katmandu.

19 października

Wyjście do ataku szczytowego

Dyrektor wychodzi w góry. Nie tylko zachęciła go piękna pogoda, ale również, jak to powiedział: „No trzeba w końcu coś zdobyć”. Zamierza dzisiaj dojść do obozu czwartego.

Ponieważ Yves nie zmienił zdania i chce wychodzić, ja i Ryszard Warecki rozmawialiśmy z nim o namiotach, czy je zabierze. A on, uśmiechając się, powiedział, że tak.

No trudno, jakoś sobie poradzimy. Ryszard stwierdził, że i tak powoli musimy zwijać bazę. Jak Kukuś wróci, to zbieramy się do domu. Zadecydował, że mój namiot składamy jako pierwszy i mam się przenieść do namiotu Kukuczki. Mam się nie martwić, bo przecież nie wróci w nocy. Potem będziemy zwijać resztę.

Dobra, przenoszę swoje graty do namiotu Jurka.

Po południu zrobiło się bardzo zimno, jeszcze tak zimno nie było.

Wieczorem porozmawialiśmy jeszcze trochę o filmie, który ma zrobić Yves. Zapytał, czy mu pomogę. Oczywiście, żeby nie powiedzieć, że z przyjemnością.

Trochę robi się smutno, bo część ludzi wyjeżdża. Ale my też, mam nadzieję, niedługo będziemy się zbierać. Wszyscy już chyba tęsknimy za domem.

Jurek jest w obozie czwartym. Podobno czwórka jest zupełnie zniszczona. Razem z Ryśkiem Pawłowskim odkopali, co się dało, i postawili na nowo. Jeżeli jutro będzie ładna pogoda, idą do piątki.

Boże, spraw, by im się udało.

Maciek, Rysiek i Ela w bazie. „Łatanie” kombinezonów. Kto ma, ten łata.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

20 października

Jedni w górę, inni w dół

Czas pożegnań. Od rana wychodzili Szwajcarzy, a potem około dwunastej Yves razem z Lucią. Zrobiło się jakoś pusto. Pomyślałam, że to dziwne –

Jurek poszedł się wspinać, za chwilę atak szczytowy, a oni wychodzą. To jakby zatrzymać się przed metą.

Wielokrotnie słyszałam opowieści od naszych wspinaczy, że siedząc tygodniami w bazie i czekając na pogodę, niektórzy nie wytrzymywali. Może to jest ten przypadek?

Po południu była sympatyczna nuda, a wieczorem kontakt z Polską. Nic ciekawego. Telefonowali ponoć kilka razy do mnie do domu, ale nikt nie odbierał. Łączyliśmy się przez radio. Pomagał nam niezwykle sympatyczny Australijczyk Paul. Łączyliśmy się bowiem przez Australię, bo taka była propagacja. A więc my do Australii, a Australia do Polski. Jak Paulowi powiedziałam, że nie mam żadnych wieści z domu, to też się martwił. Kochany.

Wieczorem trochę graliśmy z Leszkiem w karty. Byłam bardzo zmęczona, bo pół dnia pakowałam kuchnię. To było moje zadanie. Warecki koordynował te prace. Pokazywał, co zostaje, co zabieramy. To znaczy nie zostaje w bazie, tylko co dajemy Nepalczykom, a co do szpitala. Zapytałam Ryszarda, czy my to wszystko będziemy znosili. Na co on się uśmiechnął i powiedział, że gdy już zupełnie będziemy się zwijać, to przyjdą tu ludzie z niższych miejscowości i wszystko zabiorą. A skąd będą wiedzieć, że to już? „Sama zobaczysz, mają jakiś siódmy zmysł” – zażartował.

21 października

Obóz szturmowy

Rano piękna pogoda. Nie wiadomo tylko, jaka na górze.

Dyrektor idzie dalej. Może im się uda. Dziś chcą dojść z Ryśkiem do miejsca, gdzie ma stanąć obóz szósty. Jak to Jurek powiedział – „niby”

szóstka, bo jak się uda, to z tego miejsca chcą wyjść do ataku szczytowego.

Wszyscy w bazie mówią, że teraz albo nigdy. Pogoda sprzyja, żeby tylko „pary” im wystarczyło. Martwię się trochę o Ryszarda Pawłowskiego. Mam nadzieję, że noga mu nie dokucza. Nic nie mówił, ale on taki jest. Mało mówi, dużo robi. Tak mi się wydaje, że jemu bardzo zależy na tym szczycie. Widziałam parę dni temu, jak analizował drogę, a potem długo patrzył na ścianę (jakby było coś widać, chmury co chwilę zasłaniały ją do połowy). Powiedziałam do Witka: „Wituś, zróbmy tego myśliciela”. I Witek go nakręcił. Trzeba przyznać, że Pawłowski jest bardzo fotogeniczny. Ma też bardzo dobrą sportową sylwetkę. Jak to my mówimy, kamera go kocha.

Łączyliśmy się około dziewiętnastej (tak jak zwykle było umówione) z Maćkiem i Tomkiem. Siedzą w dwójce, czekają. Są zespołem asekuracyjnym lub kolejną dwójką, która ma szansę wejść na szczyt. Maciek to silny i odpowiedzialny facet. Twardy góral, a serce gołębie. Jest bardzo dobrym człowiekiem. Na początku nam się przyglądał, patrzył, co to za dziwoląg Kukuczka zabrał na tę wyprawę. Z dnia na dzień się do nas przekonywał i myślę, że się przekonał. Świetny, twardy wspinacz, nigdy nie marudził. Jak był trochę chory, to nic nie powiedział, tylko koniecznie chciał wychodzić, pracować, poręczować drogę. Dopiero po kilku dniach przyznał się, że źle się czuł.

Około dwudziestej łączyliśmy się z Jurkiem. Założyli z Ryśkiem obóz szósty. Niestety nie wiadomo, na jakiej wysokości, bo zapomnieli altymetru. Jutro idą dalej. Jak mówił Jurek, pogoda dobra.

22 października

Strategia na szczyt

Wstałam o 9.15. Korzystam, że nie ma marudy Kukusia, nikt mi nie powie, że za długo śpię. Prawda jest taka, że choćbym wstała o czwartej rano (a przecież wielokrotnie tak było, gdy chłopaki wychodzili się wspinać), to potem po ogarnięciu kuchni, magazynu, leków i napisaniu pięciu artykułów i tak przychodził moment, że robiło się nudno.

Żeby nie zwariować, czyta się książki. Chociaż na kilka godzin odrywa się myśli od tej kamiennej pustyni, z trzeszczącym lodowcem i krajobrazem jak z kosmosu. I wbrew pozorom tylko ta cudna góra daje jakieś dziwne ukojenie.

Któregoś wieczora siedzieliśmy z chłopakami w jadalni i pytałam ich po kolei, z czym najbardziej kojarzy im się ta góra. Wymyślali cuda, nie do powtórzenia, ale jedno określenie mi się spodobało. Nie pamiętam, kto to powiedział: z nadzieją. Tak, mnie chyba też.

Przemek, Ryszard Warecki i doktor poszli poćwiczyć na paralotni. Mają wrócić po południu.

Jurek idzie dalej. Jest podobno bardzo zimno.

Na obiedzie byłam tylko ja, Wituś i Leszek, i oczywiście cały nasz zespół pomocniczy. Po obiedzie graliśmy w karty, aż tu nagle połączyli się z nami paralotniarze i powiedzieli, że skaczą. A to ci historia. Ale im się spodobało. Byli bardzo zadowoleni. Mówili, że jest tak dobry wiatr, że świetnie się lata.

Łączyli się Maciek i Tomek, o jedenastej. Doszli do trójki.

Dziś wyjątkowo będzie łączność z Polską, miała być jutro, ale jutro Leszek opuszcza już bazę i zasuwa w dół.

Wiadomość z Polski: moja córka zdrowa, rodzice też, a Darek nie wrócił jeszcze z wyprawy. On na swojej, ja na swojej.

Wieczorem po kolacji łączność z Jurkiem. Mają te 8000 metrów. Tak myślą. Są w dobrych nastrojach. Jutro idą dalej.

W bazie zapanowała radość. Zostało im tak niewiele. Powiedziałam do chłopaków: „Kto się modli, to niech się modli, a reszta trzymać kciuki”. Nagle Warecki wstał i wychodzi. Pytam go więc: „A ty gdzie?”, a on: „Modlić się”. I wszyscy zaczęli się głośno śmiać.

Ponieważ już kilka dni wcześniej wiedzieliśmy, że Leszek chce już schodzić, postanowiliśmy razem z Ryszardem Wareckim przejąć łączność. Dla mnie to była czarna magia. Na szczęście Wareckiemu szło super. No dobrze, przez kilka dni pobieraliśmy też szybkie lekcje, jak obsługiwać radio. Było to ważne, gdybyśmy w razie jakichś kłopotów musieli natychmiast połączyć się choćby z Katmandu. Nie mówiąc już o łącznościach z Polską. Robiliśmy również nasze, Ryszarda i moje, łączności, żeby sprawdzić, czy damy sobie radę. Pomocny był także nasz Australijczyk. Jego słyszeliśmy doskonale.

Leszek okazał się bardzo dobrym nauczycielem. Potem przekazał nam dokładną (na piśmie) instrukcję, jak spakować radio i resztę gratów, by bezpiecznie i bez uszczerbku dotarły do Katmandu. Ustaliliśmy godziny łączności z nim. On w Katmandu, my w bazie. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

23 października

Do szczytu 150 metrów

Piękna pogoda. Pomagamy Leszkowi w pakowaniu. Sporo tego ma. Na szczęście nie musi zabierać ze sobą całego sprzętu do łączności. Radia, antenę zabierzemy, jak będziemy wracać, teraz cała łączność w naszych

rękach. Jest godzina 8.30. Leszek wyrusza w dół. Krótkie pożegnanie i już znika nam z oczu. Widzimy się za kilka dni w Katmandu.

Postanowiliśmy dzisiaj pójść na wierzchołek koło bazy, piękny, cały w śniegu.

Przemek, doktor i ja wychodzimy około dziesiątej. Zapytałam Przemka, jak się ubrać. Odpowiedział, że „na lekko” i że „dasz radę, nie będzie trudno, w końcu to tylko 5800 m n.p.m.”. Założyłam polar, czapkę, wzięłam czekan i w drogę.

Na początku szło mi się dobrze, choć było dość stromo i oczywiście cały czas pod górę. Czułam się dobrze, oddychało mi się świetnie. Pomyślałam, że dobra aklimatyzacja, siedzenie tyle dni w bazie, dały dobre rezultaty, jeśli chodzi o mój organizm. Jestem zadowolona.

Jakieś 80 metrów przed szczytem zatrzymałam się. Przemek dotarł już na wierzchołek, a ja stoję. Przede mną bowiem bardzo wąska ścieżka, cała w śniegu, na mniej więcej dwie stopy szerokości. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że jak spojrzałam w lewo i w prawo – po obu stronach przepaść. Nie chcę sobie nawet wyobrażać, co będzie, jak źle stanę.

Przemek się ulitował, wrócił po mnie. Co z tego, i tak muszę przejść sama. Powoli, z duszą na ramieniu, dotarłam do szczytu.

Spojrzałam na zegarek. Godzina 12.30. Uczucie cudne. Ja, wielki człowiek, dotarłam do szczytu. Posiedzieliśmy z Przemkiem na tym wierzchołku bez nazwy jakąś godzinkę i zeszliśmy.

Okazało się, że doktor trochę źle się poczuł i nie dotarł.

Niespiesznie schodziliśmy do bazy. Upojona szczęściem wejścia, myślałam o chłopakach, którzy walczą z Lhotse. Ciekawe, czy też mają taką dobrą pogodę jak my tutaj. Ciekawe, jak daleko zaszli.

Łączenie dziś przy kolacji. Tak się umówiliśmy. Niestety przy kolacji łączył się tylko Maciek i Tomek. U nich wszystko w porządku. Pytali, co u Kukuczki. Nie wiemy. Próbujemy połączyć się z Jurkiem kilkanaście razy. Tak naprawdę wołamy ich bez przerwy. Niepokoimy się bardzo. Czemu się nie zgłaszają?

W końcu gdzieś po dwudziestej pierwszej połączył się Jurek. Bardzo kaszle. Kilka słów, ciężko wypowiedzianych, i kaszel. Są na grani. Jak mówi, do szczytu zostało im jakieś 150, może 180 metrów. Hura! Boże, żeby im się udało.

Po tej łączności pytam Ryszarda Wareckiego, co on (Jurek) tak kaszle. Domyślałam się, że to przez wysokość. Płuca dają znać o sobie. Ryszard potwierdził.

Jak jutro wejdą, tak sobie liczę, to zaczną przecież zaraz schodzić. Jak zejdą niżej, to zaraz będzie lepiej. I nie będzie już tak kaszlał. W ten sposób uspokajam samą siebie. Warecki też mnie uspokaja, że Jurek ma przecież ogromne doświadczenie. I zna swój organizm.

Choć bardzo chciałam się nie martwić, i tak się martwię. Przekonuję samą siebie, że jak już są tak wysoko, jakieś 8300 m n.p.m. z hakiem, to pewnie im się uda. Przecież tak niewiele im zostało.

Na szczycie koło bazy. Każdy ma swój Everest.

Przemysław Piasecki/prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

24 października

Nie ma łączności

Jutro Darunia ma imieniny. Podczas łączności z Polską poprosiłam o wysłanie jej telegramu. Mam nadzieję, że go dostanie, na pewno się ucieszy. Bardzo już tęsknię za moją małą sześcioletnią dziewczynką.

Rano w bazie piękna pogoda. Słońce oświetla ścianę. Mamy dwie bardzo dobre lornetki. Każdy chętnie ogląda ścianę. Mamy nadzieję coś zobaczyć, mimo że z tej odległości nie jest łatwo. Patrzymy z niepokojem, licząc na jakiś obrazek inny niż tylko skała, lód i śnieg.

Kukuś rano się nie zgłosił. Nerwy straszne. Przy takim czekaniu człowiek nie wie co robić. Głupie myśli kołaczą się w głowie.

Najgorsza jest ta niepewność. Najgorsza jest ta niewiedza.

Żeby mniej się denerwować, zaczęłam trochę pakować swoje rzeczy. Jak zejdą, to nie ma co tu już siedzieć, schodzimy. Zapytałam Ryszarda, czy może trochę popakować też jakieś graty z namiotu Jurka. Powiedział: „Zostaw, sam sobie spakuje, jakby coś, to mu pomożesz”.

Obiad jemy po jedenastej. Jakoś nikt nie jest głodny. Właściwie to dobrze, że nie tylko ja się martwię. Najgorzej, że się nie łączą. Cholera, daliby jakiś sygnał. A tu nic.

Jest godzina piętnasta. Bez łączności. Zmieniamy się przy tych lornetkach, nic nie widać.

Wrócił do naszej bazy Kurczab z przyjaciółmi. Wcześniej chodzili po okolicy. Też czekają na wiadomości od Jurka.

O siedemnastej – bez łączności.

A tam w górze przecież są też Maciek Pawlikowski i Tomek Kopyś. Przynajmniej oni się łączą. Przekazali nam informację, że idą do piątki. Też się niepokoją tym brakiem łączności z Kukuczką i Pawłowskim. Warecki rozmawiał z nimi dość długo. Pytał, czy może oni coś widzą. Nic. Nerwy coraz większe, różne domysły. Może „łoki-toki” im zamarzło, może baterie padły?

Najgorsze, że nie można nic zrobić, tylko czekać. Warecki też się martwi, udaje, że nie, ale ja wiem, że to nieprawda. No cóż, trzeba czekać. Nie ma innego wyjścia.

Z tych nerwów poszłam wcześniej spać. Ryszard mówi, że on jeszcze trochę posiedzi, cały czas na nasłuchu. A nuż się połączą.

Fantom w bazie

Noc, nagle się przebudziłam, usłyszałam, jakby ktoś chodził koło namiotu. Trochę się przestraszyłam. Nagle poły namiotu się rozchylają i wchodzi Jurek. Na głowie ma czołówkę.

Świeci jasno w moją twarz. Nie widzę go dokładnie, ale za to poznałam go po głosie. Mówi: „A, to ty tu śpisz? To śpij, ja pójdę do namiotu chłopaków”. I wyszedł. Dopiero po tych słowach ocknęłam się na dobre. Co on gada? Przecież to jego namiot. Ubrałam się i wyszłam go szukać. Pomyślałam, że przecież jest zmęczony, to niech śpi w swoim namiocie. Ja się gdzieś przeniosę. Wychodzę. Ciemno jak nie wiem co. Nic nie widzę. Zaczynam rozglądać się po bazie, cicho nawołuję, nic.

Nagle patrzę: u Wareckiego w namiocie pali się światło. Aha, poszedł do niego. Otwieram namiot Ryszarda. Zanim zapytałam, czy nie ma tu Jurka, dotarło do mnie, że mi się to chyba śniło. Ale aż tak? Jakoś Warecki nie jest zaskoczony, że mnie widzi. Opowiadam mu o Jurku. Tym swoim spolegliwym, dobrym głosem mówi: „Ja też się martwię i nie mogę spać. Chodź, napijemy się herbaty”. Zagotował wodę. I tak siedzieliśmy do rana. Zaczęło świtać.

Dalej nie wierzyłam w to, co się stało i co widziałam. Przecież myślę racjonalnie, nie da się tak nagle zwariować. Pierwszy raz w życiu przydarzyło mi się coś takiego.

Opowiadał mi kiedyś Krzysio Wielicki, że na dużych wysokościach czasem czuje się jakby obecność drugiego człowieka. Jak jesteś sam, to bardzo pomaga. Nie boisz się, myślisz sobie: „Dobrze, że nie jestem sam". Ale to na dużych wysokościach, tam mózg pracuje inaczej, a tu?

25 października

Hiobowe wieści

Dziś od rana wszyscy na nogach. Nawet nasi Nepalczycy czują zdenerwowanie. Najgorszy jest ten brak łączności. Co chwilę zmieniamy się przy lornetce. Kucharz przynosi każdemu ciepłą herbatę. Mówi do mnie: „*Ho*, *Didi*, nie martw się", i podaje mi napój. Zimno, wszyscy ciepło ubrani, ale widoczność w miarę dobra.

Około dziewiątej Ryszard Warecki zobaczył jednego człowieka schodzącego ze szczytu. Tylko jednego. Wzięłam od niego lornetkę. „Dawaj" – powiedziałam. Patrzę, a tu mała czarna kropka. Kropka się porusza, tak, wyraźnie schodzi. Maciek z Tomkiem wyszli z obozu piątego w kierunku tej kropki. Widzimy, jak idą.

Około jedenastej kropka jest na poręczówkach. Nie wiemy, kto to. Boże, co się stało? I czemu tylko jeden? Ponieważ ten ktoś schodził dość szybko, pomyślałam, że to Jurek. Tak, to na pewno musi być Jurek. Ale co z Ryśkiem?

Ta godzina oczekiwania była straszna. Czekaliśmy, żeby czegokolwiek się dowiedzieć. Czekaliśmy, żeby Maciek z Tomkiem doszli do

schodzącego. Wtedy coś będziemy wiedzieć.

Nagle jest łączność i ten komunikat: „Jurek spadł, jakieś 140 metrów”. Wczoraj.

Szok, niedowierzanie. Nie łączyli się z nami, bo spadł im radiotelefon. Okazało się, że Rysiek nocował w ścianie. Jest bardzo zmęczony. Mało mówi. Coś, że urwała się lina.

Kazaliśmy mu jak najniżej schodzić, ale nie chce. Powiedział, że jest tak zmęczony zimnem, wysokością, że chce przenocować w piątce, może w czwórce, ale nie schodzi. Namawialiśmy go wszyscy, nie chce słuchać.

W bazie wszyscy załamani tą tragedią. Jeszcze nikt nie chce w to uwierzyć. Prawie ze sobą nie rozmawiamy. Bo o czym?

Napisałam dziś na skale przy bazie: „Jerzy Kukuczka – 24.10.1989”. Obok nazwisk Rafała Chołdy i Czesia Jakiela. Zapaliliśmy świeczki. Wszyscy płaczą. Witek kręci kamerą filmową. Taki symboliczny pogrzeb.

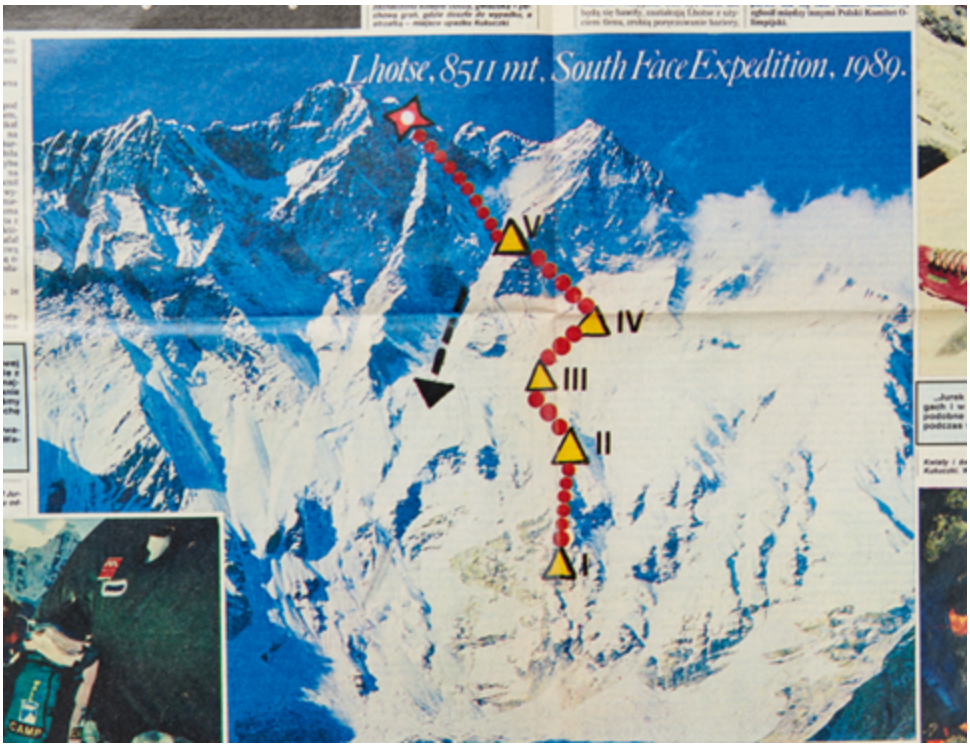

Pocztówka wyprawowa z naniesionymi miejscami obozów. Gwiazdką zaznaczono miejsce wypadku Jurka. Strzałka określa kierunek upadku.

Marcin Klaban

Wieczorem razem z Ryszardem spakowaliśmy rzeczy Jurka.

Warecki powiedział, że każdy, kto chce, może wziąć sobie coś z rzeczy Jerzego. Taki zwyczaj. Długo się zastanawiałam, czy coś w ogóle brać. W końcu wzięłam kijek, z którym chodził, taki niebieski.

Nie dość jednej tragedii, to jeszcze Napał nie chce schodzić. Jeszcze o niego się martwimy.

Czekamy na jutro. Jutro ma schodzić. Maciek przez radio powiedział, że jak z nim rozmawiał, to Rysiek stwierdził, że zna swój organizm i nic mu nie będzie. Musi tylko odpocząć.

Niech schodzi. Wszyscy chcemy wiedzieć, co się właściwie stało.

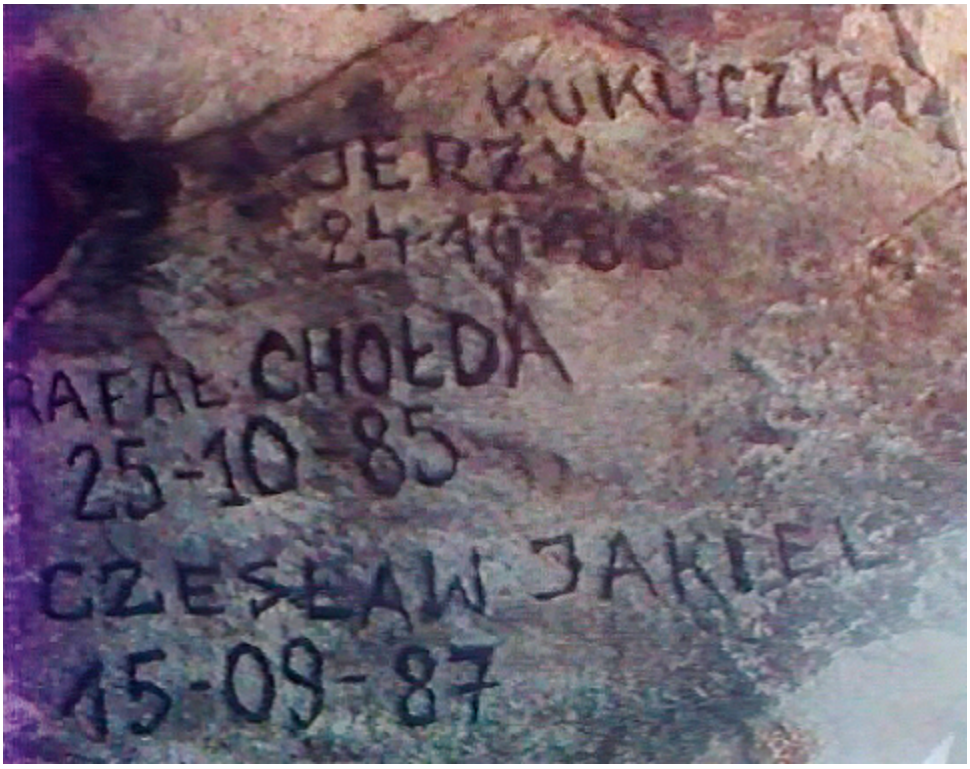

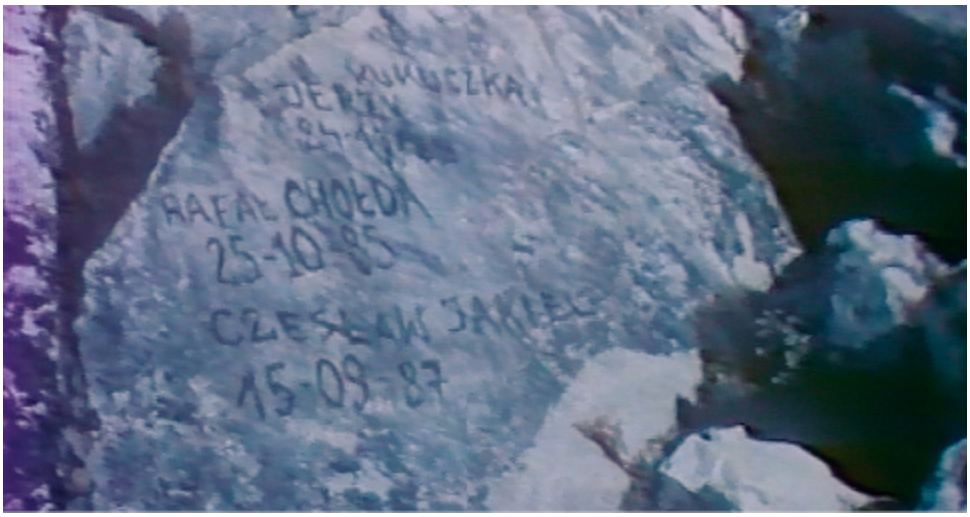

Pierwsza tablica pamiątkowa w okolicach bazy z umieszczonymi nazwiskami Polaków, którzy zginęli na południowej ścianie Lhotse. Ela Piętak dopisała datę śmierci Jurka i jego nazwisko. Nazwisko Rafała Chołdy wykuł nieżyjący już Janusz Nabrdalik w czasie wyprawy Lhotse 1985.

Elżbieta Piętak

Wieczorem łączność i przekazanie komunikatu o śmierci Jurka. Chcemy, żeby ta informacja dotarła jak najszybciej do osoby, która zawiadomi Celinę.

Wareckiemu bardzo sprawnie idzie ta łączność. Przekazuje informacje i prosi wszystkich będących na nasłuchu, by zachowali tę informację w tajemnicy. Najpierw musi dowiedzieć się żona, rodzina. Ktoś z przyjaciół zostanie poinformowany, pojedzie do żony (pewnie Janusz Majer, może Krzysiek Wielicki). Dopiero potem można podawać tę informację do mediów. Rodzina po prostu musi dowiedzieć się w pierwszej kolejności.

26 października

Co się stało?

Wrócił Pawłowski. Cały, zdrowy, choć bardzo zmęczony. Siedzimy w naszej jadalni. Opowiada, że wyszli na grań. Pogoda była dobra. Widoczność też. Wiało, jak to na górze. Nagle nie wiadomo, co się stało, bo Jurek zaczął spadać. Nie wiadomo, czy się poślizgnął, czy był za mało skoncentrowany, czy zbyt zmęczony. Rysiek pomyślał tylko, że za chwilę pociągnie i jego. Skulił się. Zastygł na chwilę. A tu nic. Cisza. Żadnego krzyku, szarpnięcia, nic. Powiedział, że zerwała się lina. Wszystko działo się bardzo szybko. Któryś z kolegów zapytał, czy zniósł tę linę. Nie.

Warecki poprosił, żeby teraz odpoczął, a potem żeby opowiedział wszystko jeszcze raz w najdrobniejszych szczegółach. Może sobie coś przypomni.

Ponieważ Ryszard Warecki przejął dowodzenie wyprawą, zadecydował, że dziś i jutro wszyscy zwijają bazę, a potem wychodzimy.

Tak jak mówił, po południu przyszli mieszkańcy okolicznych miejscowości. Warecki kazał wydać im większość żywności, część leków, a naszym Nepalczykom rzeczy z wyposażenia kuchni.

Każdy, kto przychodził, składał kondolencje. Bardzo to wzruszające. Tak jakby wszyscy go znali, a nawet jak nie znali, to przecież słyszeli o Kukuczce. Wiele razy podczas rozmów z ludźmi z Nepalu słyszałam, jak o nim opowiadali. Mówili „Kukucka”, bo trudno im było wymówić prawidłowo jego nazwisko.

Pracy było bardzo dużo, trzeba było nie tylko zwinąć cały sprzęt, ale i wszystkie rzeczy osobiste. Dwa dni wcześniej Ryszard posłał naszego gońca po tragarzy. Ktoś to całe wyposażenie wyprawy musi przecież znieść.

Ryszard i ja łączymy się z Polską. Jeszcze raz prosimy, by krótkofalowcy, którzy nas słuchają, nie przekazywali wiadomości o śmierci Jurka, zanim rodzina się nie dowie. Nie mamy jeszcze wieści, czy żona wie.

Dzisiaj jest mi jeszcze smutniej niż wczoraj. Jakoś mnie wziął taki smutek i przygnębienie, że chodzę i płaczę. Przecież to niemożliwe, że był i go nie ma. Nie jego, nie Kukuczki.

Warecki podejmuje decyzję, że wychodzimy go szukać. Spróbujemy podejść wysoko, jak się da. Nie możemy go tak zostawić. Zaczynają się nerwowe rozmowy, może wpadł w szczelinę, może jeszcze żyje, może…

Zaczynamy się szykować do wyjścia. Ja też.

Ryszard podszedł do mnie i poprosił, żebym nie szła. Po pierwsze chce mi oszczędzić widoku, po drugie droga może być trudna, a oni muszą iść dość szybko. Ponadto większość chorągiewek (traserów), które wyznaczały trasę, jest zniszczona. Z powodu ruszającego się lodowca po prostu powpadały w szczeliny albo zwiał je wiatr. Droga zatem będzie dość ciężka nawet na podejściu i trzeba bardzo uważać, bo jest niebezpieczna. Powiedział ponadto, że potrzebny jest w bazie ktoś, kto będzie cały czas na nasłuchu, jakby coś. „Jakby co?” – pomyślałam.

Dobra. Zostaję, będę cały czas na nasłuchu.

Wyszli. Nie było ich kilka godzin. Obserwowałam całą akcję przez lornetkę.

Jak wrócili, powiedzieli, że znaleźli Jurka i pochowali w szczelinie lodowca. Nie wiem, czemu tak powiedzieli. Dopiero wieczorem trochę się rozkleili i wyjawili prawdę. Nie znaleźli go**.

Szukali w miejscach, gdzie mógłby spaść, i nic. Ani śladu.

Zrobiło się jeszcze smutniej i jakoś przygnębiająco.

27 października

Powrót

Od rana w fatalnych nastrojach szykujemy się do opuszczenia bazy. Nie tak miało być. Przecież już był na tej górze. Liczyliśmy wszyscy, że to będzie kolejny sukces. Los jednak zadrwił z naszych marzeń. Nie wiemy, jak się odnaleźć w tej sytuacji. Ani co mamy mówić, ani, tak naprawdę, co robić.

Kończymy zwijać bazę i schodzimy. Chcemy dotrzeć dzisiaj do Tengboche (3867 m n.p.m.).

Po drodze spotykamy ludzi, którzy idą na trekking. Pytają, czy my z tej wyprawy z Kukuczką.

Tak. Współczują. Wieści szybko się rozchodzą.

Spotykam dwie starsze panie. Obie, jak się okazuje, z Australii. Szły drogą w kierunku Everestu, z małymi, wręcz mikroskopijnymi plecakami, pomagając sobie kijkami. Zadają to samo pytanie, co wszyscy, chcą wiedzieć, co się stało. A czy ja wiem?

Pytają, jak radzi sobie kobieta na takiej długiej wyprawie. Czy nie doskwiera brak ciepłej wody, zimno, a jak z higieną? Zaskakuje mnie taka otwartość pytań. Opowiadam, że z wodą jest OK, bo bazujemy przy strumyku, jak tylko to możliwe, wyprawy starają się zawsze wybrać takie miejsce. Jedyny problem, to że woda jest potwornie zimna, ale można się przyzwyczaić. Tłumaczę również, żeby uniknąć tego pytania, że toaletę buduje się w odizolowanym miejscu, na lodowcu. Ten ruszający się stwór wszystko przemieli.

Nie pytają już o nic więcej. Opowiadają o sobie. Jedna ma siedemdziesiąt sześć, druga trochę więcej lat. Postanowiły spełnić swoje największe marzenie życia i przyjechać w Himalaje.

Marsz nie sprawia im specjalnego problemu, bo idą bardzo wolno. Do tego zatrudniły dwóch tragarzy, którzy niosą ich rzeczy. W każdej miejscowości przystanek, żadnej nie omijają. Spędzają tam zawsze więcej niż dwa dni, żeby się zaaklimatyzować. A tak naprawdę to są bardzo dobrze

przygotowane, bo szykowały się do tej podróży przeszło dwa lata pod okiem kolegi, wytrawnego alpinisty.

Pomyślałam, że też tak chcę. Też będę tu przyjeżdżać na stare lata, w góry, które są mi bliskie i w których zostawiłam kilku przyjaciół.

Pożegnałyśmy się czule i pognałam za chłopakami, którzy minęli mnie już dawno.

Oczywiście, tak jak myślałam, im niżej, tym lepiej. Pogoda była fantastyczna, słońce pięknie grzało, więc i zejście było łatwe.

Dogadałam się wcześniej z chłopakami, że schodzę do szpitala. Zostawiamy tam leki. Jestem bardzo ciekawa, jak sobie radzą w tym szpitalu.

Byli niezmiernie zadowoleni z naszego przyjścia. Pewnie też z lekarstw, które dostali. I kolejny raz nie obyło się bez podstawowego pytania, co się stało.

Nie zabawiliśmy tam długo. Poczęstowali nas herbatą. Pyszną, jak to moi koledzy mówią: „wreszcie prawdziwa herbata”. I plackami, które sami zrobili. Zapytałam, czy przez przypadek nie mają czasem też prawdziwego papierosa. Mieli.

Przed wyjściem przypomniało mi się, że odmroziłam sobie dłonie, opowiedziałam o tym jednemu z lekarzy. Uśmiechnął się i dał mi jakąś maść z witaminą A. Trochę byłam zła, bo on się uśmiecha, a ja mam chore ręce. Ale podziękowałam i dalej w drogę.

Dotarliśmy właściwie bez większych problemów do Tengboche, choć każdy w innym czasie.

Tu postanowiliśmy zanocować. To pierwsza inna przystań niż nasza baza. Po tylu tygodniach pobytu w jednym miejscu wszyscy jesteśmy zachwyceni innym światem. Natychmiast po przyjściu wszyscy brali kąpiel,

prawdziwą, z nieograniczoną ilością ciepłej wody (no prawie). Mnie wyraźnie inaczej się oddychało, a i dłonie jakby zaczęły się same goić.

Nepalscy portersi są w stanie transportować duże ciężary, używając do tego opasek czołowych. Ładunki, jakie noszą w górach, ważą zazwyczaj 30–60 kilogramów.

Dariusz Piętak

Nocleg załatwiliśmy w znanym nam miejscu. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy o powrocie, co trzeba załatwić, kto co ma zrobić. W pewnym momencie przysiedli się do nas gospodarze hoteliku. Wiedzieli, że jesteśmy uczestnikami „tej” wyprawy. Nagle postawili na stole butelkę jakiegoś niezbyt sklarowanego płynu. Okazało się, że to tutejszy bimber. Zanim jednak zaprosili nas do degustacji, zaproponowali, by pomodlić się za duszę Kukuczki. Przystaliśmy na tę modlitwę. Gospodarz zapalił w dość dużej misie kadzidła i zaczął się modlić po nepalsku. Na koniec zabrzmiały dzwonki. W ciszy, skupieniu, każdy modlił się po swojemu. Trzeba przyznać, że dało mi to jakiś rodzaj ukojenia, można by rzec, nawet spokoju. Spojrzałam na chłopaków. Myślę, że czuli podobnie.

Potem podano każdemu po kolei butelkę i trzeba było to świństwo wypić. W przeciwnym wypadku obrazilibyśmy ponoć gospodarza i jego rodzinę.

28 października

Karawana w dół

Schodzimy do Namcze Bazar (3440 m n.p.m.). Tu mamy kolejny przystanek. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu odmrożenia prawie zniknęły. Zostały tylko małe czerwone placki na wewnętrznej stronie palców.

Ponieważ hodują tu jaki, poszłam zobaczyć te piękne, majestatyczne zwierzęta. Kupiłam na straganiku marchewki. Pomyślałam, że może w ten sposób się z nimi zaprzyjaźnię. Marchewkę zeżarły, ale o przyjaźni nie było mowy. Nepalczyk, który pilnował zwierząt, głośno się śmiał, jak to zobaczył.

Nie było tu nic specjalnego do roboty. Siedziałam na wystającym ze ścieżki wielkim głazie i przyglądałam się zmierzającym w naszym kierunku ludziom. Niektórzy przystawali, zagadywali. Teraz to ja byłam ciekawa, dlaczego idą do góry. Przecież robi się coraz zimniej.

To były tak naprawdę ostatnie w sezonie wejścia trekkingowców. Przyjechali tu z całego świata. Tu, w Namcze, pytali tylko, czy jeszcze daleko i czy droga jest bardzo trudna.

Dwukrotnie opowiadałam o miłych starszych paniach, które spotkałam, schodząc. Widziałam, że napawa to ich nadzieją, że pewnie też dadzą radę.

W pewnym momencie, dość zmęczony, zatrzymał się obok mnie facet ze Stanów Zjednoczonych. Nie pytał, czy jeszcze daleko, bo widział, że

dotarł do celu. Z jego wypowiedzi wynikało, że nie zamierza iść dalej, bo jego celem było właśnie Namcze. Naczytał się o tej miejscowości, o niesamowitych ludziach, którzy tu żyją, i postanowił zobaczyć to wszystko na własne oczy.

Zaczęliśmy rozmawiać. Opowiadał bardzo interesujące rzeczy o swoich podróżach. Wybierał, jego zdaniem, najciekawsze, często dzikie miejsca na świecie i tam podróżował. Wcale nie interesowały go Himalaje. Interesowały go konkretne miejscowości i tam docierał, a że leżały akurat w Himalajach, no cóż. Taka karma.

Jak dowiedział się, że jestem z Polski, zrobił takie oczy, że przez chwilę myślałam, że nie rozumie, co mówię. Często bowiem słowo *Poland* było rozumiane jako *Holland*. On akurat dobrze zrozumiał. Zapytał, jak się tu dostałam z tego komunistycznego kraju i czy tu w Himalajach się ukrywam. Teraz to ja zrobiłam wielkie oczy.

Potem już było lepiej. Opowiedziałam o wyprawie, o Polsce, o miejscach, które może u nas zobaczyć, i jakie są piękne.

Rozmawialiśmy aż do zmroku.

29 października

Lukla

Rano wstałam dość wcześnie. Trzeba dziś dotrzeć do Lukli (2800 m n.p.m.), a to ponad 600 metrów w dół. Droga nie jest ciężka, więc powinniśmy jeszcze dziś odlecieć do stolicy Nepalu.

Poszłam pożegnać się z gospodarzami. Na odchodne dali mi kartkę. Zostawił ją dla mnie Amerykanin. Na niej był adres i prośba o kontakt, jak dotrę do Polski. Jakie to miłe.

Do Lukli dotarliśmy w pełnym słońcu. Już z daleka było widać tłumy ludzi. Pomyślałam, że tak to zwykle bywa w miejscowości z lotniskiem. Jedni przylatują, a przed wyjściem w góry zatrzymują się tu na jeden lub dwa dni, żeby złapać aklimatyzację. Drudzy odlatują, ale chcą spędzić tu trochę czasu, zanim dotrą do Katmandu.

Nic bardziej mylnego.

Okazało się, że pogoda jest fatalna. Samoloty nie przylatują ani nie odlatują i nikt z obsługi lotniska nie wie, kiedy to się zmieni. No to klops.

Jeden z naszych chłopaków znalazł nam nocleg. Nie było innego wyjścia, jak przystać na propozycję przespania nocy, chyba że decydujemy się dalej schodzić, a nie lecieć. Ale bilety wtedy przepadają, bo nikt tu nam żadnej kasy nie zwróci. No więc czekamy.

Tak bardzo nam się nie spieszyło. Mieliśmy sporo dni do odlotu do kraju. Rozłożyliśmy z Witkiem nasze bagaże w miejscu, gdzie chłopaki wskazali nam nocleg, i poszłam zobaczyć lotnisko.

Czegoś takiego się nie spodziewałam. Pas startowy to klepisko, jakiś taki krótki. Podeszłam do końca góry, z której startował, a tam przepaść, po prostu dziura. „Boże – pomyślałam – może lepiej iść na piechotę”. Na „pasie startowym” czeka w pogotowiu jeden samolocik. Rozejrzałam się dookoła. Ludzi koczujących po obu stronach pasa ponad setka. Ponoć siedzą tu już kilka dni, bo nic nie przylatuje. Trzeba uzbroić się w cierpliwość. Innego wyjścia nie ma.

Z mnichami lamaickimi w kafejce internetowej.

Dariusz Piętak

Ale jak tu uzbroić się w cierpliwość, skoro chciałoby się już być jak najbliżej domu.

Zrobiliśmy krótką naradę. Nie ma wyjścia, trzeba zakolegować się z szefem lotniska. Niech nam pomoże. Zdawaliśmy sobie sprawę, że przed

nami w kolejce do odlotu jest mnóstwo ludzi. Nie mogliśmy ich wszystkich przepuścić, choć wiedzieliśmy, że im się to należy. Poprawi się pogoda, poleci kilkadziesiąt osób, a potem znów nie będzie warunków do lotu i co? Znowu czekanie? Przecież w ten sposób to my nie wylecimy i za miesiąc.

Po naradzie ustaliliśmy, że Witek i ja mamy załatwić tę sprawę. Łatwo powiedzieć, trudniej zrealizować. Ale przecież Polak potrafi. Pełni zapału udaliśmy się do budynku – biura lotniska. Tam okazało się, że szefa nie ma. Będzie wieczorem, a oni nic nie poradzą, trzeba czekać.

W naszej misji wspomógł nas Tomek, ale też nic nie wskórał. Czekamy do wieczora. To znaczy, że dziś śpimy tutaj.

30 października

Misja

Żarty się skończyły. Dowiedziałam się, że ponoć jutro jest szansa na pierwszy samolot, który odleci z tego niby-lotniska. Trzeba było działać.

Znaleźliśmy w końcu szefa lotniska i zaprosiliśmy go do siebie na „poczęstunek”. Opowiedziałam mu, że my z ciężkiej wyprawy na południową ścianę Lhotse, że wszyscy jesteśmy bardzo zmęczeni i że nie możemy czekać, żeby odlecieli wszyscy, którzy są przed nami, bo spóźnimy się na samolot do kraju. Owszem, wysłuchał tego ze zrozumieniem, ale trzeba go było jakoś jeszcze mocniej przekonać. Powiedział, że przyjdzie do nas pogadać.

Przyszedł. Postawiliśmy flaszkę, a chłopaki zaczęli po swojemu argumentację dotyczącą naszego lotu w pierwszej kolejności. I już myślałam, że się udało, a tu nasz wybawca zaproponował swoją wersję.

Okazało się, że dziś jest jakieś święto i chodzi się od domu do domu i śpiewa po nepalsku, goszcząc w każdej chałupie. O zgrozo.

Nie było innego wyjścia.

Wieczorem z kilkoma kolegami z wyprawy wędrujemy od domu do domu razem z szefem lotniska. Przy każdym z domów się zatrzymujemy, grupka ludzi śpiewa, my pomrukujemy i jakoś idzie. Jesteśmy oprowadzani i przedstawiani jako przyjaciele z Polski. Wszyscy nas witają, obściskują i… częstują samogonem. Po dwóch takich przejściach mówię do Witka, że jak tak dalej pójdzie, to ja tu na pewno zostanę, bo nie wytrzeźwieję przez tydzień. Przyznał mi rację. Postanowiliśmy pić niewiele. No cóż, misja to misja.

31 października

Katmandu ponownie

Nasz nepalski znajomy wywiązał się z obietnicy w stu procentach. Wprawdzie nie polecieliśmy pierwszym samolotem, bo uznał, że nie chce być zlinczowany przez czekających od kilku dni turystów, ale już drugim tak.

Byłam bardzo ciekawa, jak ten samolot poleci. Choć właściwie było mi wszystko jedno, byle nie musieć dalej uczestniczyć w tej dość męczącej degustacji.

Wreszcie start. Krótki rozbieg, bo pasa startowego mało, i hop. Skończył się pas i samolot zaczął spadać. Na szczęście trwało to niedługo, doświadczony pilot wyrównał lot i dalej już szczęśliwie dotarliśmy do lotniska w Katmandu.

Zakotwiczyliśmy w naszym poprzednim miejscu. Gdy dotarliśmy do hotelu, w recepcji zauważyłam umieszczone na centralnej ścianie duże zdjęcie Kukuczki oprawione w ramę. Przez środek oplecione czarnym kirem. Rozpłakałam się.

Warecki poszedł załatwiać jakieś formalności związane ze śmiercią Jurka. Wrócił bardzo smutny. Powiedział tylko, że przyjechał tu z przyjacielem, a wraca z kartką papieru, na której widnieje informacja o jego wypadku.

Potwierdził też nasze bilety. Mieliśmy odlatywać w różnych grupach i w różnych terminach. To załatwianie wszystkiego bardzo długo trwa. Nepalczycy niespecjalnie się spieszą, narzucając w pewnym sensie swój sposób postępowania innym nacjom.

Trzeba było jeszcze wysłać cargo do Polski. Znalazły się tam rzeczy wyprawowe i nasze osobiste. Należało się do tego dobrze przygotować. Beczki mają być plombowane i dostarczone danego dnia do wysyłki. Zaczęło się więc wielkie pakowanie.

Zamierzałam jak zwykle kupić trochę pamiątek, może jakieś maski oraz prezenty dla rodziny i przyjaciół. Udaliśmy się więc nieśpiesznie do znanych nam sklepików, bazarów, wybierając fajne rzeczy. Potem selekcja. Co idzie do beczek, a co leci z nami w naszym bagażu.

Jutro 1 listopada. Wieczorem umówiliśmy się, że pójdziemy do jakiejś świątyni zapalić świeczkę za Jurka.

1 listopada

Zginął kolejny, jeden z wielkich

Po śniadaniu, które zjedliśmy w hotelu, udaliśmy się do świątyni buddyjskiej (w końcu byliśmy w Nepalu) i zapaliliśmy symboliczne świece.

Po powrocie dostaliśmy informację, że idziemy na kolację z panią Elizabeth Hawley.

Nienagannie, bardzo schludnie ubrana, ze swoją nieodłączną torebką, przywitała każdego z nas z dużą dozą serdeczności. Jak zwykle, chciała się dowiedzieć wszystkiego. Jaką drogą szli, jakie były wcześniejsze plany, co się zmieniło? A przede wszystkim, jak doszło do wypadku? Krótko mówiąc: co się stało?

Spotkanie było inne niż zwykle. Widać było, że pani Hawley bardzo nam współczuje. Ostatnie jej słowa najbardziej mnie wzruszyły. Powiedziała: „Zginął kolejny, jeden z wielkich".

Potem porozmawiała jak zwykle z każdym z nas. Pożegnaliśmy się serdecznie. Zapytała jeszcze, jakie mamy plany. Nikt z nas nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Wiedzieliśmy jedno: że przed nami czas trudnego powrotu do kraju, bez Jurka.

2 listopada

Tunga – tomga

Wylot mamy za kilka dni. Każdy spędza ten czas po swojemu. Jedni na zwiedzaniu, inni na zakupach, a jeszcze inni na jedzeniu. Lubimy wszyscy to nepalskie żarcie. A jest z czego wybierać.

Najpopularniejszym daniem jest przepyszny dal bhat – soczewica z ryżem wymieszana z sosem z warzyw, pełnym aromatycznych przypraw. W smakach króluje curry. Mogę to jeść o każdej porze dnia i nocy.

Dalej niezwykle popularne placki. Zarówno w Indiach, jak i w Nepalu można je kupić w wielu miejscach u ulicznych sprzedawców. Nazywają się chapati, są robione z pszenicy i wody. Podaje się je również jako dodatek do różnych dań. Nie należy ich mylić z plackami naan, bo te są wypiekane w specjalnych piecach tandoori. I jest to już wyższa szkoła jazdy.

Grzechem byłoby nie wspomnieć o pierożkach momo. Są specjalnością kuchni tybetańskiej. Można jeść mięsne i wegetariańskie. Ja uwielbiam te drugie. Do tego jeszcze pyszny, aromatyczny sosik i można się zajadać. Czasem miejscowi pytają, jakie podać: pieczone czy gotowane. Należy sprecyzować przy zamówieniu, bo inaczej przyniosą gotowane. Dobre są i jedne, i drugie, ale ja wolę pieczone, a właściwie smażone. Jest jeszcze chlebek tybetański smażony na głębokim oleju, pudding ryżowy, ale można zjeść również boski stek. Po powrocie z wysokich gór szliśmy zawsze na stek. Nie wiem, czy jest taki dobry (wysmażony oczywiście tak jak się chce), czy zawsze jesteśmy tacy wygłodzeni, że smakuje jak nigdzie na świecie.

Muszę jeszcze wspomnieć o napojach i nie mam tu na myśli przepysznego mango lassi ani herbaty z masłem i mlekiem jaka, ani herbaty z imbirem. Myślę raczej o napojach alkoholowych.

Nepalski popularny alkohol ma około 20 procent i nazywa się raksi. W smaku przypomina bimber i chyba nim jest. Pędzą go w wielu nepalskich domach, zwłaszcza w górach. Raksi robione jest z ryżu lub pszenicy.

Wspomnienie z baru Thomba w Katmandu. Drewniane kubki wypełnione fermentowanym prosem zalewa się gorącą wodą podawaną w termosach. Napój jest lekko alkoholowy, ale idzie w nogi i głowę. Od prawej: Tomek Kopyś, Jurek Kukuczka, Witek Oklek i Ela Piętak.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

Mnie najbardziej jednak zawsze smakuje tunga. My mówimy raczej tomga. To taki dziwoląg ze sfermentowanego prosa. Tybetańczyk przynosi rodzaj tuby, w której znajduje się to sfermentowane proso, z pierwszą nalewką, czyli zalane pierwszym wrzątkiem. Do tego dostaje się zawsze termos z gorącą wodą przeznaczoną na dolewki. Po zalaniu wrzątkiem należy chwilę poczekać, a potem niebo w gębie. Pychotka. Smakuje jak sfermentowana woda z drożdżami, trochę jak nasz podpiwek robiony dawniej przez babcie, tylko mniej słodki, a bardziej słomiany. Gdy zabraknie wrzątku, można poprosić o więcej i siedzieć w knajpie, dopóki jej nie zamkną. Trudno się tym upić, bo jest słabe, ale póki się siedzi, jest dobrze, za to gorzej, gdy pora wstać.

Z tomgą mam również specjalne wspomnienia. Poszliśmy z Tomkiem późnym popołudniem do naszej ulubionej knajpy w Katmandu, która znajduje się opodal hotelu, pubu Tom and Jerry's. To tam właśnie podają najlepszą, moim zdaniem, tomgę. Ku naszej radości okazało się, że siedzą tam już Przemek i Witek. Rozmawialiśmy, oczywiście po polsku, a przy stoliku obok jakiś facet bardzo się nam przyglądał, jakby rozumiał, co mówimy. „Podsłuchuje czy co?" – pomyślałam. Nagle wstał i podszedł do nas. Przedstawił się po angielsku: „Jestem John". Okazało się, że mieszka w Nepalu od czterech lat. Jest inżynierem i buduje drogi. Opowiadał, że bardzo tęskni za domem, za Europą. Australijczyków i Amerykanów jest tu trochę, ale jak ma okazję pogadać z Europejczykiem, to zawsze się dosiada. Kończy mu się kontrakt i pewnie mógłby wracać do Anglii, ale pokochał ten kraj i może jeszcze trochę im te drogi pobuduje.

W pewnym momencie powiedział, że jest zaproszony na chrzciny i musi na godzinkę skoczyć na tę uroczystość, ale jak będziemy tu jeszcze siedzieli, to on tu chętnie wróci, żeby z nami pobiesiadować. Niczego nie obiecaliśmy, ale może? I poszedł.

Fajny, miły gość. Po kilkunastu minutach od wyjścia Johna doczłapał się do nas Maciek. Cóż było robić? Siedzieliśmy dalej, przecież nie zostawimy kolegi samego. I rzeczywiście, ku naszemu zdziwieniu, John wrócił. Zaproponował, byśmy wszyscy udali się na te chrzciny. Ponoć rozmawiał z rodzicami dziecka i będą zachwyceni, jak przyjdziemy razem z nim. Trochę mi się nie chciało. Słyszałam wiele opowieści o tym, jak długo Nepalczycy celebrują różne uroczystości, ale nie wypadało odmówić. Poszliśmy, na szczęście miało być niedaleko.

Gdy weszliśmy w jakieś ciemne uliczki, pomyślałam sobie: no to się wpakowaliśmy. Ale jest nas tu trochę chłopa, więc jakby co, to damy radę.

Nagle uliczka przeszła w ulicę, i to oświetloną. Pojawiło się jakieś zagraniczne przedstawicielstwo, szczelnie ogrodzone, do którego wejścia pilnowali żołnierze. „Śmiało, śmiało”– zachęcał nas John. Przez całą drogę byłam przekonana, że idziemy na chrzciny do jakiejś nepalskiej rodziny, a okazało się, że do szkockiej. Po minach moich kolegów widziałam, że są tak samo zaskoczeni jak ja.

W pięknej rezydencji przywitali nas gospodarze. Szkocka żona i szkocki mąż, który był jakąś ważną personą reprezentującą swój rząd. Weszliśmy – ubrani w polary, niektórzy w butach trekkingowych – a tu piękne, błyszczące czystością dywany, grube na pięć centymetrów. Zaproszono nas do przestronnego pokoju z ogromnymi kanapami. Pani domu zniknęła na chwilę, a pan domu zapytał, czego się napijemy. Może to niegrzeczne, ale poprosiłam po polsku moich kolegów, żeby nie zamawiali whisky, bo tu jest bardzo droga i pewnie ją sprowadzają. „Powiedzcie, że piwa” – zagadnęłam do chłopaków.

Nie posłuchali. Wszyscy odpowiedzieli, że oczywiście napiją się whisky. Po chwili zjawiła się służba. Przynieśli szklanki, wodę, orzeszki i oczywiście whisky.

Małżeństwo okazało się nad wyraz sympatyczne i niezmiernie gościnne. Pani domu wróciła do nas ze swoją córeczką. To właśnie ona była chrzczona, a John nie był zwyczajnym gościem na chrzcinach, a jej ojcem chrzestnym. Pan domu był rzecz jasna bardzo zainteresowany naszą wyprawą, mówił też pięknie o Polsce.

I tak przez przypadek spędziliśmy niespodziewanie wspaniały wieczór (a właściwie noc) z przemiłymi ludźmi. Pomyślałam, że takie rzeczy zdarzają się tylko w snach. Okazuje się, że na jawie też.

Była to dla nas niespodziewana odskocznia od smutnych zdarzeń ostatnich dni. Choć na chwilę mogliśmy oderwać myśli od tego, co się

stało, i na krótko zapomnieć, że czeka nas trudny powrót do Polski.

5 listopada

Lubię nic nie robić

Dziś moje imieniny. Właściwie to wolę urodziny. Wydają mi się bardziej osobiste. Część mojej rodziny mieszka na Śląsku, w Katowicach. Kocham ten region. Śląsk i Zagłębie to mój dom. Moje dzieciństwo, cudne babcie, prababcia, ciotki – wszyscy są ze Śląska lub Zagłębia. I to nieprawda, że się między sobą nie lubimy. Spieramy się, opowiadamy o sobie dowcipy, ale się szanujemy. Na Śląsku ważniejsze są urodziny, w Zagłębiu i jedno, i drugie, ale ja wolę urodziny, bo moje.

Tak więc dziś są moje imieniny. Chłopcy o tym wiedzą, bo już wczoraj pytali, o której urządzam przyjęcie. Żart, pomyślałam. No dobrze, najwyżej zaproszę wszystkich na piwo.

Budzę się niespiesznie, bo to i tak kolejny dzień czekania na wylot z Nepalu. Wiem, że Ryszard Warecki kończy załatwianie wszystkich formalności związanych z zamknięciem wyprawy. Codziennie od samego rana gdzieś biega.

Nagle ktoś puka do mojego pokoju. Ubieram się szybko i otwieram drzwi.

A tu ogromna niespodzianka. Najpierw widzę Wareckiego z tym jego szelmowskim uśmiechem, a za nim reszta chłopaków. Część osób już wyleciała, bo tak mieli zarezerwowane bilety, ale „kwiat” wyprawy został. Za Ryszardem stoi więc ten „kwiat”, dosłownie i w przenośni.

Dostaję ogromny bukiet kwiatków, które bardziej przypominają polne niż ogrodowe, i śmieszny prezent. Prawdę powiedziawszy, niczego się nie

spodziewałam.

Prezent cudo, choć kompletnie nieprawdziwy. Otóż dostałam koszulkę, czarną, z następującym napisem: „Lubię spać, lubię pić, lubię nic nie robić – Elżbieta Piętak”.

Ha ha ha, bardzo śmieszne. Na pewno wymyślił to Warecki.

Prezent imieninowy.

Marcin Klaban

Wycałowałam chłopaków, tak naprawdę byłam bardzo wzruszona i zadowolona z tego, że pamiętali i że dostałam taki zabawny prezent.

Wiedziałam, że zrobienie takiej koszulki nie było prostą sprawą. W Katmandu prawie na każdej ulicy można spotkać prawdziwych krawców, szewców, rzeźbiarzy, tkaczy i wszelkiego rodzaju rękodzielników. Można zamówić garnitur, sukienkę, buty, skórzaną torbę i po kilku dniach, a czasem nawet następnego dnia, jeśli się powie, że ma się samolot, odbiera się towar. Często w ten sposób zamawiałam sobie jakieś szmatki na miarę.

Moi koledzy musieli najpierw tę koszulkę zamówić, wyraźnie, po polsku wykaligrafować napisy, i oczywiście zapłacić oraz odebrać. Trochę

wysiłku w ten prezent włożyli, inwencji twórczej też.

Zaprosiłam wszystkich po południu na piwo. I były to jedne z moich najpiękniejszych imienin.

Pamiętam jeszcze jedne śmieszne imieniny.

Wracałam z Kanady z festiwalu filmów górskich. Wraz ze mną podróżował Pierre Ostian (szef francuskiego magazynu *Góry*). Lecieliśmy do Frankfurtu. Był wieczór 5 listopada. Pasażerowie układali się do snu, tak mi się przynajmniej wydawało. W pewnym momencie podeszły do mnie stewardessy z wielkim tortem. Zrobiłam wielkie oczy, a one nagle zaczęły składać mi życzenia, a pasażerowie bić brawo. Nie wiem, czy tego tortu wystarczyło dla wszystkich, ale radości było wiele.

Koperta

Z Delhi do Warszawy wracaliśmy samolotem z polska załogą. Lot przebiegał spokojnie przez kilka godzin. Na szczęście dopiero jakąś godzinę przed lądowaniem pilot przez mikrofon obwieścił, że na pokładzie są członkowie wyprawy z Lhotse i prosi, by to oni opuszczali samolot w pierwszej kolejności. No i się zaczęło.

Podchodzili do nas ludzie, pytali, co się stało. Jak było, czy wszyscy pozostali są zdrowi? Łatwo było nas rozpoznać, bo wszyscy byliśmy ubrani w takie same polary.

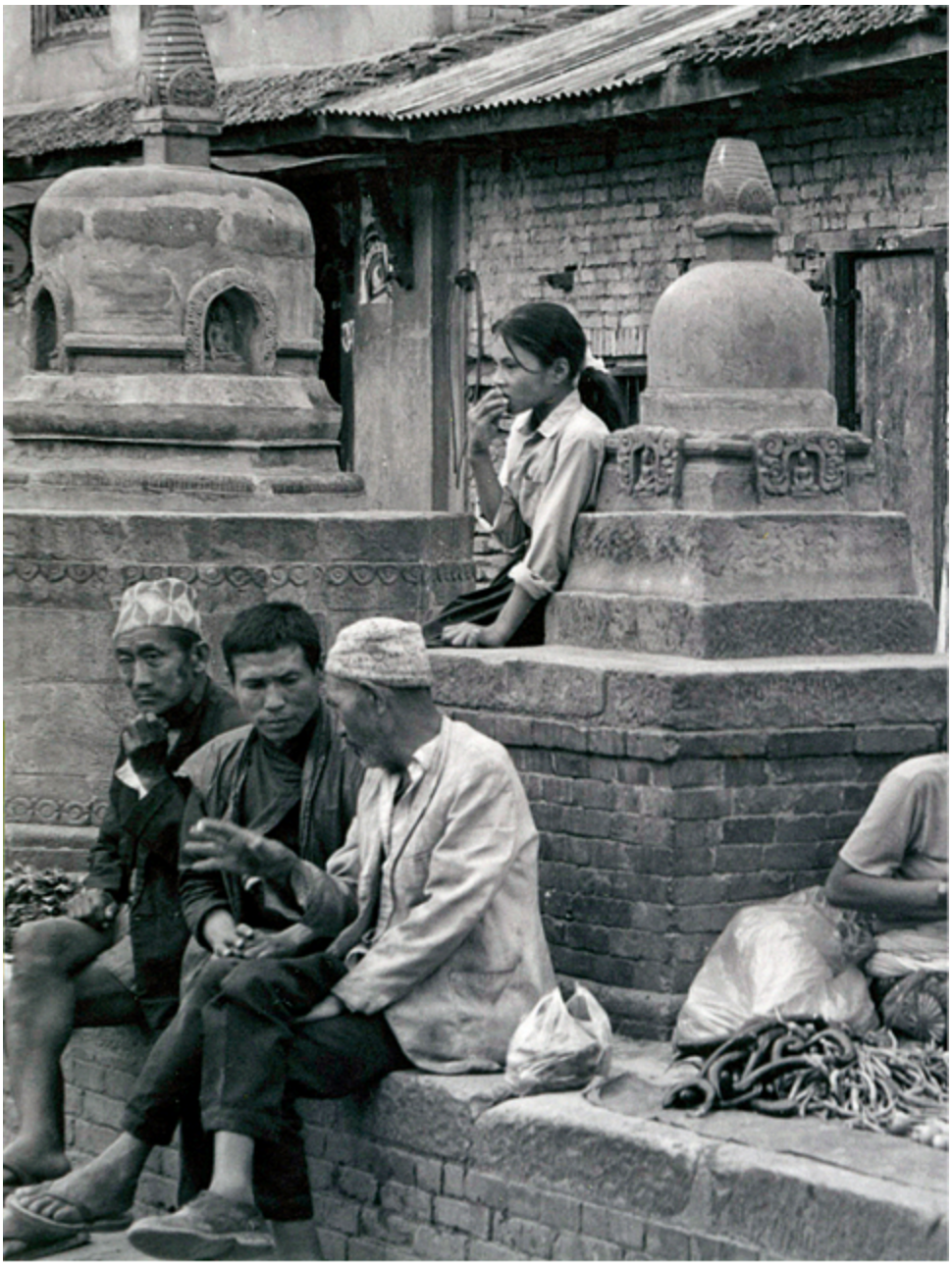

Patan. Życie ulicy. Miasto zostało mocno zniszczone przez trzęsienie ziemi w Nepalu w 2015 roku.

Dariusz Piętak

Niby to było sympatyczne, ale w tym momencie naprawdę nie mieliśmy ochoty ani odpowiadać na te pytania w takich warunkach, ani czuć się jak dziwolągi, bo wszyscy patrzyli tylko na nas.

Po wylądowaniu okazało się, że jest jeszcze gorzej. Chcieliśmy jak najszybciej spotkać się z rodzinami (na mnie czekał oczywiście Darek i widziałam jego marsową minę pod tytułem *husband is first*, to jego maksyma), a tu zaprowadzono nas do sali, gdzie czekali dziennikarze – i odbyła się konferencja prasowa.

My zmęczeni potwornie, a oni pełni zapału, zadający pytania.

Pamiętam piękne słowa Ryszarda Wareckiego, które kończyły to dziwaczne przedstawienie.

Powiedział mniej więcej tak: „Cóż mam państwu powiedzieć? Wyruszyliśmy na wyprawę z naszym przyjacielem i liderem, a przywożę go w kopercie”. I pokazał kopertę, w której był dokument potwierdzający pozostanie Jurka w Himalajach na zawsze.

Ludzie giną nie tylko
z braku sił, ale także
z ich nadmiaru

Halina Auderska

* Zmarła 26 stycznia 2018 w Katmandu.

** Uznanie Jurka za zaginionego pozwoliłoby na uznanie go za zmarłego dopiero po dziesięciu latach.

CZĘŚĆ IV

Radio

Telefon dzwonił i dzwonił. W końcu Darek powiedział: „Odbierz, przecież nie możemy się czuć jak więźniowie we własnym domu”. Nie odebrałam. Wiedziałam, że dzwonią dziennikarze. Nie miałam siły, by z nimi rozmawiać.

W końcu za którymś razem poprosiłam, żeby Darek odebrał telefon. Dzwoniła Krystyna Bochenek, jedna z najlepszych dziennikarek radiowych, jakie znałam. Guru dziennikarstwa, autorka nie tylko świetnych, wielokrotnie nagradzanych audycji radiowych, ale pomysłodawczyni wielu społecznych akcji, które pomagały ludziom. Zawsze twierdziła, że dziennikarstwo to nie tylko przekazywanie informacji, ale także pomoc skierowana do najbardziej potrzebujących. My, dziennikarze, powinniśmy wykorzystać nasz zawód i potraktować go również, a może przede wszystkim jako misję.

Dziennikarze Radia i Telewizji Katowice podczas akcji „Mamo nie płacz”.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

Pamiętam akcję pod hasłem „Mamo nie płacz”, którą zorganizowała, skrzykując dziennikarzy telewizyjnych i radiowych z Katowic. Pomagaliśmy dzieciom chorym na nowotwory. Pojechaliśmy do szpitala nie tylko z darami, ale także z przedstawieniem i przez kilka dni spędzaliśmy z nimi czas. Takich akcji organizowała bardzo dużo. Dawała ludziom również sporo edukacji połączonej z zabawą. Słynne „Dyktando” to również jej pomysł.

Darek podał mi słuchawkę. „Krystyna – powiedział – z nią powinnaś porozmawiać”.

Podczas naszej długiej rozmowy przekonywała mnie (a była bardzo przekonywająca), że nie mogę się chować, bo przecież byłam na tej wyprawie również jako dziennikarz i powinnam ludziom opowiedzieć, jak tam było. Wiedziała, że miałam ze sobą magnetofon Nagra i że nagrałam sporo materiału.

Na koniec zaproponowała, że zrobi ze mną wywiad w Radiu Katowice, który będzie początkiem cyklu audycji. Materiał miałam przecież nagrany i prawie gotowy.

Poprosiłam Krystynę, żeby dała mi parę dni. Muszę najpierw wrócić do pracy, do Telewizji Katowice, a poza tym nie tak łatwo się otrząsnąć po takiej tragedii i wrócić do normalnego życia na nizinach. Ona to rozumiała.

Obiecałam, że się odezwę.

Po kilku dniach od powrotu pojechałam do pracy, do Telewizji Katowice. Cieszyłam się, bo wszyscy nie tylko byli radzi z mojego powrotu, ale na szczęście nie zadawali wielu pytań. Wiedzieli, że potrzebuję czasu.

Zamówiłam montaże i zabrałam się do przeglądania i porządkowania materiału filmowego, który przywiozłam z wyprawy. Trwało to wiele dni. Na szczęście ludzie z telewizji w Warszawie zgodzili się na spokojne podejście do tematu i nie poganiali w sprawie realizacji filmu, na który czekała emisja na antenie ogólnopolskiej. Żeby jednak nie zmuszać widzów do czekania na ten najważniejszy, całościowy materiał z wyprawy, zostały powtórzone odcinki, które wcześniej były już emitowane, a które powstały podczas ekspedycji – nakręcone przez Witka i opracowane przeze mnie, a następnie wysłane do Polski.

Nepalskie kobiety w czasie prac rozbiórkowych.

Dariusz Piętak

Oprócz przygotowania listy montażowej musiałam się zająć doborem muzyki oraz komentarzem. Jeszcze raz w tym przypadku sprawdziła się moja zasada: „żeby fachowcy się nie śmiali, a ludzie zrozumieli”. Komentarz musiał być na tyle uniwersalny, żeby wszystkim dogodzić, a to nie było łatwe. Napisałam swoją wersję, tak od siebie, od serca, i sama ją nagrałam. Potem poprosiłam kolegę z redakcji, by naczytał własnym lektorskim głosem wersję dopasowaną do niego, czyli lekko zmienioną. Tak powstały dwie wersje, ale cały czas czułam jakiś niedosyt. W końcu zwróciłam się z prośbą o poradę i konsultację do mojego serdecznego i niezwykle sympatycznego kolegi – Bogdana Nierenberga. „Boguniu, nie słuchaj nagranych już wersji, tylko spróbuj zrobić coś od serca, po swojemu” – poprosiłam. I ta wersja była najlepsza.

Dziś Bogdan Nierenberg jest wybitnym profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, a ja mogę sobie po latach żartować, że do czytania komentarza w moim filmie wybrałam Bogusia, bo czułam, że będzie kiedyś wielkim naukowcem. On też się z tego śmieje.

Nieocenioną pomoc otrzymałam jak zwykle również od Hanny Suchorabskiej, kierowniczki produkcji, z którą bardzo często pracowałam. Poprosiłam ją o zorganizowanie prywatnej sondy wśród znajomych i o zapytanie: czego oczekują po takim filmie?

Hanka jak zwykle wspierała, pomagała i konstruktywnie krytykowała.

Nie musiałam nikogo ze wspinających się prosić o fachową pomoc merytoryczną, bo miałam Darka, a on doskonale wiedział, co mi poradzić. Zaoferował mi swoją pomoc również przy konstrukcji tych części komentarza, które dotyczyły wspinaczki.

Najcięższym zadaniem było – podejrzewam, że nie tylko dla mnie, ale i dla większości twórców – wybranie najlepszych i najważniejszych scen z kilkunastu godzin nakręconego materiału. Bardzo trudno jest nabrać dystansu do własnej twórczości i odrzucić całe mnóstwo fantastycznych ujęć, bo wszystkie i tak się przecież nie zmieszczą – film nie może być przegadany, a ponadto czas jego trwania w naturalny sposób zmusza do mocnej selekcji.

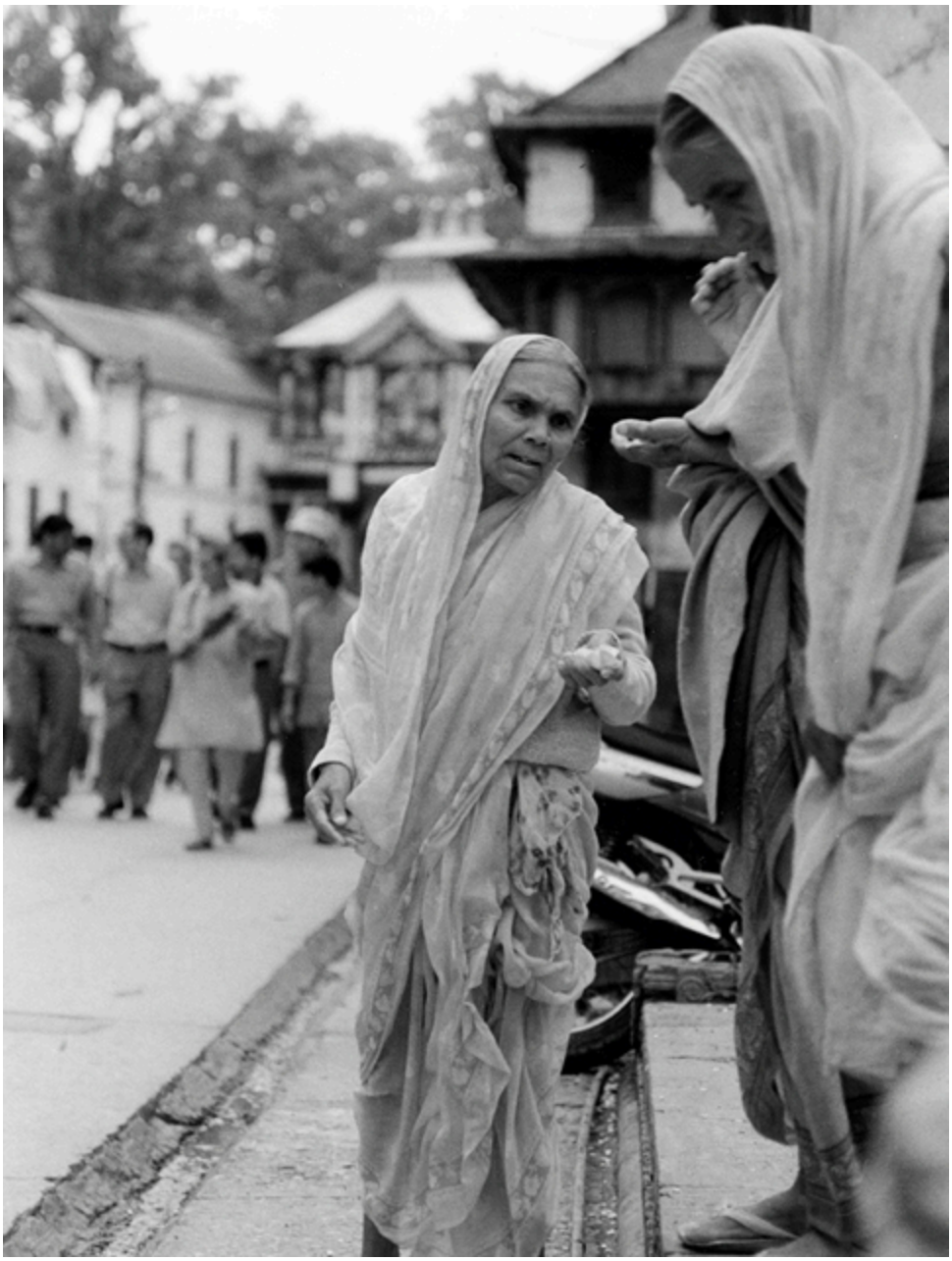

Jałmużna, stały element w okolicach świątyń. Tu przed buddyjską świątynią Bodnath w Katmandu.

Dariusz Piętak

Po kilkunastu dniach od powrotu z wyprawy oddzwoniłam do Krystyny. Umówiłyśmy się na rozmowę w Radio Katowice. Przedstawiła mi propozycję, by w pierwszej radiowej audycji na żywo, której będzie

gospodynią, dość ogólnie opowiedzieć o wyprawie, a w następnych, już nagranych, odcinkach przekazać resztę. Stwierdziła, że w ten sposób powstanie audycja najbardziej zrozumiała dla słuchaczy.

Pierwszy program był dla mnie dość trudny. Nie tylko dlatego, że leciał na żywo, ale również dlatego, że po rozmowie miałam odbierać telefony od słuchaczy. A tego naprawdę się obawiałam. Krystyna jak zwykle poprowadziła tę rozmowę koncertowo. Subtelność i takt zadawanych pytań oraz ciepły nastrój w studio spowodował, że czułam dobrą atmosferę i bez specjalnych problemów mogłam opowiadać o wyprawie. Gorzej było z bezpośrednią rozmową ze słuchaczami. Czułam, że dla tych, którzy telefonowali, żeby porozmawiać ze mną, to również był duży stres pomieszany z nieodpartą chęcią dowiedzenia się czegoś więcej niż to, co usłyszeli podczas wywiadu. Nie było jednak tak źle. Okazało się, że słuchacze, którzy dzwonili, chyba więcej mówili niż ja. Wspierali, współczuli, a czasem miałam wrażenie, że dziwili się, iż kobieta tyle przeżyła.

Misy *singing bowl*. Uliczna nauka wydobywania dźwięku.

Dariusz Piętak

Po tych wielu rozmowach poczułam ulgę, a jednocześnie satysfakcję, że choć trochę mogłam pomóc słuchaczom w zrozumieniu tematu.

Później Krystyna przedstawiła mi montażystkę, z którą przez wiele dni miałam pracować nad kształtem audycji w odcinkach. Montażystka

najpierw przegrała cały materiał, jaki zarejestrowałam na magnetofonie podczas wyprawy. Były tam niemal wszystkie łączności, jakie prowadziliśmy z chłopcami wychodzącymi się wspinać, jak również krótkie wywiady i komentarze przed ich wyjściem i po powrocie ze wspinaczki. Było tego sporo.

Należało jeszcze jakoś to poukładać. Krystyna zaproponowała, żebym nie bawiła się w specjalny artyzm, tylko spróbowała stworzyć odcinki chronologiczne. Tak słuchacz lepiej odbierze ten przekaz. Zgodziłam się, bo przecież miała ogromne doświadczenie radiowe. Zaczęłam więc dzielić cały materiał na poszczególne sekwencje, spisując najistotniejsze kwestie. W ten sposób łatwiej było stworzyć coś na kształt scenariusza radiowego.

Magnetofon reporterski Nagra. Świetna konstrukcja polskiego wynalazcy, popularna w latach 80.

Dariusz Piętak

Po kilkukrotnym przesłuchaniu materiału odbyłam długą rozmowę z montażystką. Poprosiłam ją, żeby na podstawie tego, co usłyszała,

opowiedziała mi historię wyprawy. Okazało się, że powstało trochę dziur. Całość była w porządku, ale szczegóły pozostawiały sporo do życzenia. Nie można było zostawić słuchacza z niedomówieniami oraz nieobjaśnionymi pojęciami, jak na przykład fachowe określenia dotyczące wspinania w górach wysokich.

Pomyślałam wtedy, że najlepiej będzie, jeśli do tego tworzywa dołączymy mój nagrany komentarz, coś w rodzaju tłumaczenia pewnych określeń i wątków, które będą łączyły elementy nagranych rozmów. Zrobiłyśmy próbę. Nagrywałyśmy z przerwami zostawianymi na materiał właściwy. Po przesłuchaniu poprosiłam Krystynę o opinię. Była więcej niż pozytywna. I tak zaczęłyśmy pracować nad całością.

W ten sposób powstało kilka odcinków o zupełnie innym charakterze niż materiał filmowy. Zauważyłam wtedy, choć to pewnie żadne odkrycie, że audycja radiowa pozostawia słuchaczowi dużo miejsca na własną wyobraźnię. Daje możliwość intymnego przeżycia tego, czego się słucha. Film, a zwłaszcza obrazy w nim umieszczone pokazują rzeczywistość taką, jaka została zastana przez oko kamery. Na wyobraźnię pozostaje niewiele miejsca.

Było to dla mnie duże przeżycie, zaszczyt, że mogłam również słuchaczom radiowym przekazać historię, która się zadziała. Gdyby nie wiara Krystyny Bochenek i jej siła przekonywania, pewnie nigdy by do tego nie doszło. Wykorzystałabym fragmenty nagranych rozmów w filmie, przykrywając je zdjęciami południowej ściany Lhotse, i na tym by się skończyło, a tak powstały audycje radiowe o charakterze zapisu pewnej historii. Historii polskiego himalaizmu.

Wycinki

Przed wyjazdem na wyprawę zamówiłam w agencji prasowej wycinki. Zamówienie dotyczyło wszystkich materiałów prasowych, które będą ukazywać się przed, podczas i po wyprawie. Chciałam je w jakiś sposób wykorzystać do filmu. Prawdę mówiąc, nie do końca wiedziałam, co z nimi zrobię, ale miałam nadzieję, że się przydadzą.

Gdy powiedziałam o tym Jurkowi, bardzo się ucieszył. Odpowiedział, że zobaczymy, co o nas napiszą. Miał wiele doświadczenia w rozmowach z różnymi dziennikarzami. Kiedy któregoś dnia zapytałam go o to, niespecjalnie chciał ciągnąć ten temat. Domyślałam się, że najgorzej było rozmawiać z takimi, którzy wietrzą sensację, a temat wspinania tak naprawdę ich zupełnie nie interesuje. Jeszcze śmieszno-żałośnie jest, jak dziennikarz myli nazwy i nazwiska. I takie właśnie wywiady zdarzały się Jurkowi.

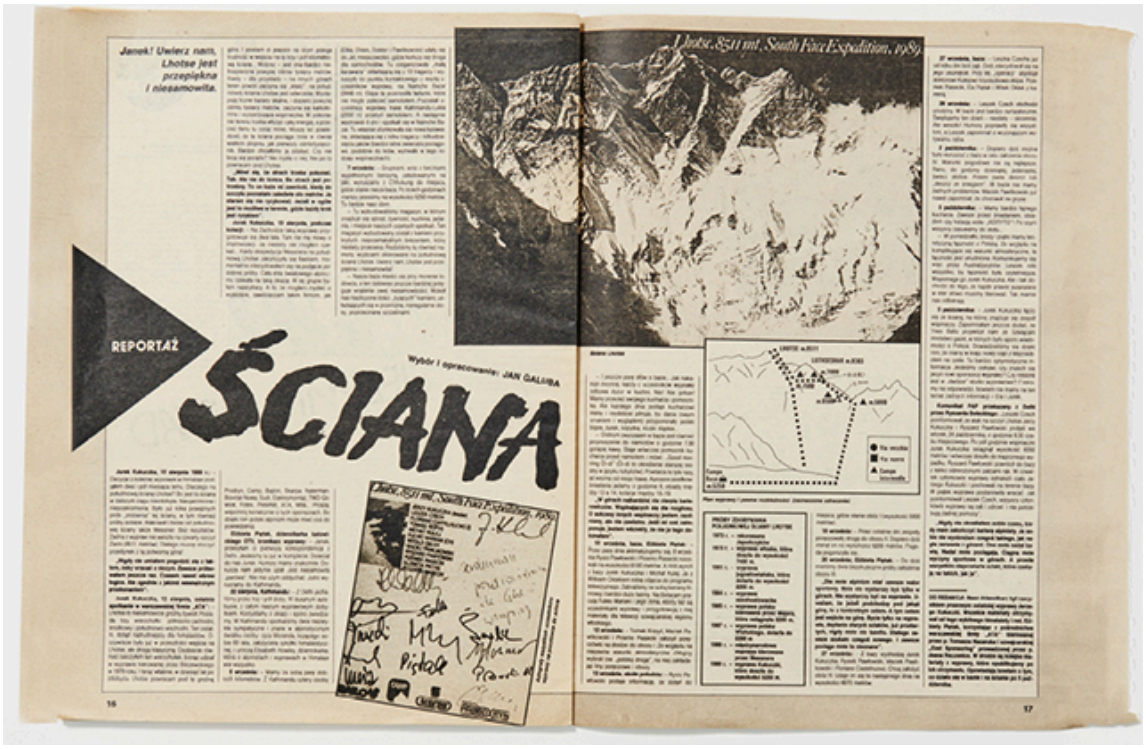

REPORTAŻ

ŚCIANA

Wybór i opracowanie: JAN GALIGA

Janek! Uwierz nam, Lhotse jest przepiękna i niesamowita.

Lhotse, 8511 mt. South Face Expedition, 1989

KATOWICKIE
PRZEDSIĘBIORSTWO
BUDOWNICTWA
PRZEMYSŁOWEGO
ul. Barbary 21 KATOWICE

WYSTĘPY

podpatrywał BOLESŁAW KUBICA

SPORT

Tak dziwnie i śmiesznie pije się szampana z plastikowych kubków...

Fot. Przemysław Wierzchowski

ŚCIANA

- *Messner zaczął, Kukuczka skończył*
- *Z kopalni na dach świata*
- *Każde szaleństwo ma swoje granice*

POMNIK W ŚNIEGU

SPORT

Fot. Przemysław Wierzchowski

Spiker mówił ściszonym głosem, lecz wyrwał mnie o czwartej rano z najgłębszego snu. Nie wierzyłem własnym uszom. Krótka, aż nazbyt lakoniczna informacja: na południowej ścianie Lhotse, tuż pod wierzchołkiem jednego z najwyższych (8511 m) himalajskich ośmiotysięczników zginął najwybitniejszy z polskich wspinaczy – Jerzy Kukuczka. Tylko tyle i aż tyle zostało powiedziane we wstępnym komunikacie radiowym, wyłapanym przez krótkofalowców. Dopełnił się wielki dramat, jaki stworzyli Polacy w Himalajach. Co wyprawa, to przynajmniej jeden trup. Najzuchwalszy z zuchwałych, najsprawniejszy ze sprawnych, supermistrz Jerzy Kukuczka długo wymykał się śmierci, choć ryzykował najwięcej. Wydawało się wprost, że prowadzi go ręka Boska. Jednakże 24 października skończył się stan łaski. Profesor wspinaczki wysokogórskiej padł o krok przed metą. Poddał się szczytowi, z którym wygrał walkę dziesięć lat wcześniej, zaliczając go jako pierwszy z serii czternastu wystających ponad 8000 m.

Tylko Włoch Reinhold Messner i właśnie Kukuczka uporali się z całą czternastką wierzchołków najbliższych Boga. Wraz ze śmiercią polskiego lidera skończyła się pewna epoka, której granice wyznaczyli ci dwaj mistrzowie.

Atakowanie południowej ściany Lhotse było już chyba nie tylko zuchwałością. Było bluźnierstwem. Jawnym igraniem ze śmiercią. Messner chodził na szczyty, żeby tylko tam wejść. Kukuczce chciało się szukać nowych, nieprzetartych dróg, szukać największego niebezpieczeństwa – bo przecież najczęściej wspinał się zimą, w najgorszych warunkach atmosferycznych.

Każde szaleństwo ma swoje granice. Czy jednak katowicki himalaista był naprawdę szalony?

W życiu codziennym czynił wrażenie najspokojniejszego w świecie, najskromniejszego człowieka. Niski, barczysty mężczyzna o twarzy budzącej ufność. Nie poddawał się jakimkolwiek emocjom. To znaczy – tak to wyglądało na zewnątrz. W rzeczywistości aż kipiał chęcią sportowej walki, chęcią przeżycia przygody.

Gdyby ograniczył się do swojej pierwszej pasji – podnoszenia ciężarów, pewnie zostałby kimś anonimowym, przeciętnym sportowcem, jednym z wielu. Nazwisko Kukuczka nie mówiłoby nam nic. On pragnął stale czegoś więcej. Mocowanie się z siłami przyrody tkwiło jakby w jego naturze.

Urodził się w 1948 r. w Katowicach, ale dzieciństwo upłynęło mu w Istebnej, w Beskidzie Śląskim. Jeszcze nie wtedy pokochał góry. Przed nim był typowy szlak młodego Ślązaka: praca fizyczna w kopalni, nauka w szkole wieczorowej, wreszcie zawodowy awans – przejście do laboratorium kontroli przyrządów. Czy można się dziwić, że młodemu człowiekowi tak bardzo chciało się przerwać szarość kopalnianej egzystencji, że pragnął się wyrwać z duszącej, szarobure atmosfery zadymionego Śląska?

Wystarczyła jedna wycieczka w Tatry i Jurek już gotów był zaprzedać górom serce i duszę. Przedtem urozmaicał sobie żywot dźwiganiem sztangi i uprawianiem lekkoatletyki. To mu nie mogło wystarczyć. Czy bowiem smród unoszący się wokół pomostu i stukot żelastwa były wystarczającym antidotum na stresy, związane z pracą zawodową?

Przystał ni stąd, ni zowąd do alpinistów. Ciągnęło go w góry jak wilka do lasu. Pierwsze poważne doświadczenia zdobył w Dolomitach. Już wówczas próbował wspinać się nowymi szlakami, zwracając na siebie uwagę środowiska. Potem przyszła wyprawa na Alaskę i zdobycie szczytu McKinley. Za jaką cenę? Za cenę odmrożeń, leczonych przez wiele tygodni w Piekarach Śląskich.

Opór, jaki stawiały góry, wyzwalał tym większą ambicję sportowca, który – jak prędko się okazało – miał wszystkie cechy rasowego wspinacza. Przede wszystkim – żelazne zdrowie. Poza tym charakteryzowały go olimpijski spokój, rozwaga, siła woli i pewna bezwzględność. Gdy się jest na dachu świata, nie można się zanadto rozczulać. Zmagania z zimną, lodowatą ścianą, prześlizgiwanie się między lawinami, wyścig ze śmiercią – bo tak trzeba nazwać wspinaczkę w stylu alpejskim, w przyspieszonym tempie i bez aparatu tlenowego, to wszystko nie pozwala na uleganie sentymentom. Trzeba być twardym, odpornym na wszelkie przeciwności i bezlitosnym w chwili, gdy dla partnera nie ma już ratunku. Dlatego himalaiści nie lubią tłumaczyć się po wyprawach, z których nie wrócili ich koledzy...

Walka ze śniegowo-lodowym masywem kształtuje charaktery. Polski Związek Alpinizmu zrzesza nieprzeciętne jednostki. Szkoda, że tych najlepszych tak wiele ubyło w ostatnim czasie. Śmierć Jerzego Kukuczki to niepowetowana strata. Ten sportowiec z krwi i kości przespacerował się po szczytach Ziemi jakby przeszedł katowickim deptakiem. Tak bardzo się śpieszył do nieba. Czyśćcem był mu afgański Hindukusz. Piekłem okazały się najwyższe Himalaje.

Finiszowa prosta króla gór to było ostatnich dziesięć lat: siedemnaście zwycięstw w walce z ośmiotysięcznikami. Lhotse, Mount Everest, Makalu, Broad Peak, Gasherbrum, Dhaulagiri, Cho Oyu, Nanga Parbat, Kanczendzonga, K-2, Manaslu, Annapurna, Shishapangma... Osiemnasta runda została przegrana przez nokaut. I to w pojedynku z przeciwnikiem, którego się miało już na początku na deskach.

Jaki był w gruncie rzeczy Kukuczka? Na pozór łatwo na to pytanie odpowiedzieć: swój chłop, o prostym, nieskomplikowanym charakterze. Taki, co równie dobrze czuje się w rzędowym pokoiku hotelu robotniczego, jak na uroczystym przyjęciu, kiedy go dekorują, ściskają, całują. W ubiegłym roku pisałem o Kukuczce na tych łamach. W plebiscycie „Przeglądu Sportowego" zajął drugie miejsce wśród najlepszych polskich sportowców 1987. Tylko drugie. Cały świat nie wspominał o innych naszych mistrzach, mówił wyłącznie o Kukuczce. O tym, który doścignął i właściwie prześcignął legendarnego Messnera. Tymczasem w kraju dyskutowano, czy to, co robi Kukuczka, można w ogóle nazwać sportem.

Mój poprzedni tekst o tym wielkim, małym człowieku był utrzymany w zupełnie innej tonacji. Po Balu Mistrzów Sportu w warszawskim Hotelu Europejskim widziałem Jurka w szampańskim nastroju, zewsząd zbierał gratulacje. Był chyba wtedy w pełni szczęśliwy, choć może źle się czuł w tandetnym smokingu z domu towarowego w Katowicach. On, wiecznie chodzący w koszuli flanelowej i dżinsach, nie pasował do tej gali. Pewnie wolałby pić szampana na śniegu.

Mimo to cieszył się i uśmiechał przez całą noc. Przyjaciele podrzucali go wysoko, nosili na ramionach.

Pod wierzchołkiem Lhotse ponieśli go ostatni raz i zostawili w śnieżnej szczelinie – zgodnie z niepisanym kodeksem himalaizmu – na wieczną rzeczy pamiątkę.

MACIEJ PETRUCZENKO

Wątpliwości nie było, wygrali lep

Polska - Szwecja 0-2

GORZEJ NIŻ Z ANGLIĄ

Sport

26 października 1989 Nr 211 ROK XLV

Stracony rok młodzieżówki

Futbol w świecie rozrywki

Korespondencja własna „Sportu" z RFN

PROGRAM XII KOLEJKI

WARSZAWA: LEGIA — ŚLĄSK

CHORZÓW: RUCH — JAGIELLONIA

LUBLIN: MOTOR — WISŁA

ŁÓDŹ: WIDZEW — LECH

ZABRZE: GÓRNIK — STAL

POZNAŃ: OLIMPIA — ZAWISZA

SOSNOWIEC: ZAGŁĘBIE — KATOWICE

LUBIN: ZAGŁĘBIE — ŁKS

TRAGEDIA NA LHOTSE

JERZY KUKUCZKA NIE ŻYJE

Gość Sportu

Waldemar Legień:

To nie był gorszy sezon

W jubileuszowym nastroju

Akrobaci walczą o Puchar Świata

30 świetnych minut poznańskiej Olimpii

Koszykarki wchodzą pod ligowe tablice

Działacze Cracovii mieli dobre samopoczucie

Leszek Olszewski w reprezentacji Europy

Ostatni gong Marinowa

Trudne próby GKS Katowice

CHWILA ZAPOMNIENIA

Gdzie puste są myśleniu, jak powiązać koniec z końcem, mogą tuzy od stanu w kolejkach i tanczyć po zamkach, a życie codzienne od dziegcia stać. Dlatego po wczasie, niedzielne studenie...

Trzeba jednak koniecznie przerwać to pasmo, robić wszystko, by choć na chwilę zapomnieć o codziennych kłopotach. Wychodząc z tego założenia, postępowaliśmy w następujących konkretach. „Poczciwiarki" przyjmowali wyjątkowo z tym, jak może ludzkie mieć, sobie zanim ze sobą, w czym osiągają wytrzymania. Zachęcamy Was, drogie Czytelniczki, do udziału w tej naszej akcji, Chyba takie może mieć sposoby na chwilę zapomnienia. Czekamy na listy.

A dziś menu.

JOLANTA WIERCIŃSKI-KUBIAK – psycholog

Chyba do dla optymalnej przyjaciółki, niezależnego jaka – ogólnie wiadomo jest obecność obok drugiego człowieka. Dzwonienie, wyjście, jest to może bolec, ale może też być przyczyną i efekty – bycia nie obciąża.

Jest wiec mamy kogoś, kto jest obok, kto rozumie i daje podstawy do rady, to nie jest źle, istnieje coś takiego, co tanie jest przeżyć czy wyrazić – jest jakimś stopniu wyrzut z siebie napięcia, zmartwienia.

Kiedy mnie jest najtrudniej, najczęściej wtedy, kiedy mam na to czas, bez sensu „zostaje" go. Wtedy nie wiadomo od kiedy się znajduje, pomaga znaleźć jakiś sposób na wyjście z tej sytuacji. Dlatego, jeśli właśnie znaleźć się kiedy, idę zachęcić mi w wyjściu, chcę wyjść z domu, wyjść do ludzi, wyjść, dam mi poczuć się przyjemnie.

ANNA BIELICKA – aktorka

– Jestem niepoprawnym optymistom na wszystkie sposoby, jest dla mnie... praca. Kiedy coś się nie przydarzenia do spotkania, albo komedia – zawsz dla mnie po prostu przestaje istnieć. Kiedy gram, kocham tylko to, co mam może publicznie do powiedzenia i za każdym wieczorem. Gdzieś ten wieczór, gdzie wyjaśniałam z moim kolegami i gdzie na chwilę wchodzą wszystkie problemy światowe i o których. Gdzieś ten wieczór, gdzie znajdzie ma do mnie ich zniknie, to, co mogę dać im chwilę radości.

To właśnie stanowi magia moja go zawodu, a także jego przeciwieństwo psychotraumatyczna, wartości, że uczestnik on – na zapomnienie z tych tych tamtych i codzienne czy bez niego, wzbiera, wzbiera.

Kiedy pragnę mówię im, tutaj nawrzeć jest dobrze, bo potrafi przedmiotu sytuacji – czerwonych na stroju i myślę, gdybyście wiedzieli, jak często niekiedy trudne przeżywać had sobą, aby nie spotkać o tym, rozmawiać takim mimo wszystko... a budzić do pisania tego tak nie zapomnieć.

Wiem o tym też optymizm trzymam w czyjejś chwili, aby przyjaciółki mi chciały i nie rozmawiać w przyszłości i czasie na co pory. Wiem to kochani. To czy właśnie dwa spotkały i jak mój sekret na to, aby nie dać zuba, Wszystkim, dam mych tom.

ANNA STAFOR-WIŚNIEWSKA – lekarz chirurg

Jestem medykamentalnym mężczyzną i kiedy bardzo chciałam być dziewczyną wiec musiała ma dla chwili muszę, który natychmiast, kiedy mam wolne, kiedy mam wolny weekend, kiedy mam wolny wieczór, to mam wszystkie sposoby, jakie mogą, aby zapomnieć o tej pracy, o tym, aby pozostała mi przeczucie uspokojenia.

DOROTA Z. – kosmetyczka z „Praktycznej Pani"

Na wszelkie stresy i chandry najlepiej robi mi wizyta u mojej babci w Warszawy. Kiedy wchodzę, najpierw jest długi telefon, a tamci potem herbata i ciut plotkuje. To właśnie babcia promienia, że wspomnienia, które w mnie wywołuje. Kiedy wracam do domu, jestem już zupełnie inna. Mam ochotę na wszystko, co dobre, a przede wszystkim na pracę. Jestem pełna energii, mam nowe, ciekawe pomysły, kiedy jestem zdolna się do wszystkiego. Ale najlepsze jest to, że ta chwila zapomnienia trwa długo, nawet kilka dni.

MARIA ŁOPATKOWA – podręczny, pisarka

Wtedy kiedy piszę mój tomik pracy Jana Twardowskiego, a w nim znalazł się jeden z najpiękniejszych – moich ulubionych – wierszy o tym, że nie ma nic trudniejszego niż pisać. Anny Kamieńskiej. Za czynię się od siebie. Zamykam się w swoim świecie, nie słyszę dzieci. Czytając te słowa myślę sobie, że chociaż mogę one wydawać się w kilku sytuacjach, to w każdej specjalnie dziwnie, to w każdej sytuacji mogę się znaleźć. Wtedy mogę się wyłączyć, nie słyszeć, nie widzieć, nie myśleć o niczym innym, tylko o tym, co robię. Wtedy mogę się zapomnieć.

Dokuczliwości tylko odbierają mi energię, zanijkowość, wyrwają, a zgrzeje albo obrzydzenie. Szczególnie tylko to kobiet, chwilami tych do dziergania zapleciem ozdobnego tylko znajome praktyce czegoś ich ich – mozliwości. Czy tamm znajomym kobietom można robić, aby skupić na pracy wtedy, kiedy na nic nie mogą już siły? Oczywiście tak, tylk które tylko pracą na rzeczy tego dziełem, mogą je mieć, kiedy chcą, chcą tam, które nie robią tego dotychczas, chciałbym powiedzieć, kiedy tylko spróbowali, nie potem może dłużej mieć przy tłoku, który wiedzą.

Ja zawsze, kiedy chciałam odpocząć od problemów tych, które do mnie, W ich otoczeniu. Wiedzą ich dziecięcych spraw – wyjmuje – na pomówieni o swoich. A jest pocza do tego, żeby o tych, głupich pewną trzyma mnie po tamach – zapomnieniem za natychmiast.

Teraz robię to samo: przez dziecięcy zobaczyć na wiele ich tutaj wzruszeniach do mnie i przez z dziecięcych tkanin. A mój mąż czy pies – Tasia Klapsuch – jest obok mnie i w tan sposób łatwo znaleźć mi to, co przykre, smutne, a na co na nam zachęcić wzbiera.

Rozmawiała ALINA CZERKA

Wielki zdobywca

Kiedy góry wzniesienia rozmyślamy, może przyjdzie na zyskanie o granicie trudno zgodnie wybrnąć niezbędnie. Chyba tego nie wiedz wspaniałych ludzi, którzy wspinają się na najwyższe szczyty świata, a czasami zdarzy się i tragedia?

Do październiku 1985 r. ogrzał polski z najwybitniejszych himalaistów świata **JERZY KUKUCZKA**. Ma wówczas wiele, może wcześniej z tego, że w takich wspinaczkowych uczy grzeczami tamtego kraju, jego niezwykłe bujne tamtejsze jedzenie. Chociaż po stanie, napisze Andrzej Zarzecki.

Był zdrowiejącym tamtejszym, wiarom, z wielkiej wytrzymałości psychicznej. Dzisiaj na nie tylko o wspinaczkach wiadomo, nie tylko on przyjaciółmi. Tamtych, mimo musiał czasami odpocząć. Wiele wcześniej tutaj, po wspinaczce, po jakiejś trudnej wyprawie, tutejsze kraju i tamtej, że był dzisiejszych tamtejszych w gdzieś tutejszych. Wiadomo, że wspinaczka to nie tylko wysiłek fizyczny, ale przede wszystkim psychiczny, intelektualny, emocjonalny. Wiadomo, że wspinaczka to wielka szkoła życia, szkoła cierpliwości, wytrwałości, pokory, szacunku dla przyrody, dla ludzi, dla siebie.

Jerzy Kukuczka nie należał do wspinaczy, którzy zdobywają szczyty, a potem wracają do domu. Wiedział, że wspinaczka to nie tylko zdobywanie szczytów, ale także przeżycie, które wzbogaca człowieka. Dlatego tak wiele pisał o wspinaczce, dlatego tak wiele mówił o swoich przeżyciach.

Jerzy Kukuczka nie należał do wspinaczy, którzy zdobywają szczyty, a potem wracają do domu. Wiedział, że wspinaczka to nie tylko zdobywanie szczytów, ale także przeżycie, które wzbogaca człowieka. Dlatego tak wiele pisał o wspinaczce, dlatego tak wiele mówił o swoich przeżyciach.

Jerzy Kukuczka nie należał do wspinaczy, którzy zdobywają szczyty, a potem wracają do domu. Wiedział, że wspinaczka to nie tylko zdobywanie szczytów, ale także przeżycie, które wzbogaca człowieka. Dlatego tak wiele pisał o wspinaczce, dlatego tak wiele mówił o swoich przeżyciach.

(A.Z.)

Zdjęcia MACIEJ BRZOZOWSKI

Spełnione przepowiednie

Jerzy Kukuczka urodził się 24 grudnia 1948 r. w Istebnej. Ma wykształcenie górnicze. Jest mistrzem sportu. Jest żonaty, ma dwie córki. Jest członkiem Klubu Wysokogórskiego w Katowicach. Jest członkiem Polskiego Związku Alpinizmu. Jest członkiem Polskiego Związku Himalaizmu. Jest członkiem Polskiego Związku Wspinaczki Sportowej. Jest członkiem Polskiego Związku Wspinaczki Wysokogórskiej. Jest członkiem Polskiego Związku Wspinaczki Górskiej. Jest członkiem Polskiego Związku Wspinaczki Skałkowej. Jest członkiem Polskiego Związku Wspinaczki Lodowej. Jest członkiem Polskiego Związku Wspinaczki Mieszanej. Jest członkiem Polskiego Związku Wspinaczki Zimowej. Jest członkiem Polskiego Związku Wspinaczki Letniej. Jest członkiem Polskiego Związku Wspinaczki Jesiennej. Jest członkiem Polskiego Związku Wspinaczki Wiosennej.

– A jakie to pisało wrażenie? Jakie wrażenie? – Jerzy Kukuczka uśmiecha się. – Jestem zadowolony z tego, co napisałem. Ale nie wiem, czy to jest dobre. Czytałem, co pisali dziennikarze. Niektórzy napisali dużo prawdy, inni mniej. Ale najważniejsze jest to, że ja wiem, co napisałem. Wiem, co chciałem powiedzieć. Wiem, co chciałem przekazać. Wiem, co chciałem zostawić po sobie. Wiem, co chciałem zostawić po sobie. Wiem, co chciałem zostawić po sobie. Wiem, co chciałem zostawić po sobie. Wiem, co chciałem zostawić po sobie. Wiem, co chciałem zostawić po sobie. Wiem, co chciałem zostawić po sobie. Wiem, co chciałem zostawić po sobie. Wiem, co chciałem zostawić po sobie. Wiem, co chciałem zostawić po sobie.

– Jerzy Kukuczka, co pisali dziennikarze na temat Twojej wyprawy na Lhotse? Czy pisali prawdę?

– Dziennikarze, którzy pisali o mojej wyprawie na Lhotse, pisali prawdę. Ale nie wszystko napisali. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło.

– Jerzy Kukuczka, co pisali dziennikarze na temat Twojej wyprawy na Lhotse? Czy pisali prawdę?

– Dziennikarze, którzy pisali o mojej wyprawie na Lhotse, pisali prawdę. Ale nie wszystko napisali. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło.

– Jerzy Kukuczka, co pisali dziennikarze na temat Twojej wyprawy na Lhotse? Czy pisali prawdę?

– Dziennikarze, którzy pisali o mojej wyprawie na Lhotse, pisali prawdę. Ale nie wszystko napisali. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło.

– Jerzy Kukuczka, co pisali dziennikarze na temat Twojej wyprawy na Lhotse? Czy pisali prawdę?

– Dziennikarze, którzy pisali o mojej wyprawie na Lhotse, pisali prawdę. Ale nie wszystko napisali. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło. Nie napisali wszystkiego, co się wydarzyło.

ANDRZEJ ZARZECKI

70 zł

echo

KRAKOWA

ODZNACZONE ZŁOTĄ ODZNAKĄ M. KRAKOWA

ROK XLIII. PISMO POPOŁUDNIOWE Nr 249 (13919)

Kraków, 27, 28, 29 października 1989 r.

Ostatnia droga

Artykuły, jakie ukazały się krótko po śmierci Jerzego Kukuczki.

Marcin Klaban

Opowiedział mi o pewnym spotkaniu z dziennikarzem prasowym, który zadawał mu pytania, ale wszystkie były ogólne. Żadnych konkretów, żadnych nazw szczytów zdobytych przez Kukuczkę, a nawet nazw gór, w których Kukuczka się wspinał. Jurek pomyślał, że coś tu jest nie tak. Zapytał „tego biedaka”, czy on coś w ogóle wie o wspinaniu i o ludziach, którzy zajmują się tą dyscypliną sportu. Wtedy okazało się, że ktoś z redakcji kazał „biedakowi” zrobić wywiad z Kukuczką, choć dziennikarz nie miał zielonego pojęcia nie tylko na temat wspinania, ale nawet jakie osiągnięcia ma Kukuczka.

Dwa tygodnie po powrocie z wyprawy odebrałam zamówione wycinki i zagłębiłam się w tę dziwną lekturę. Większość artykułów to były suche fakty. Pojechali, byli, na górę nie weszli, Kukuczka zginął. Były także tak zwane pogłębione materiały, z dziwną nostalgią wspominające sukcesy Jurka. Niestety często brakowało w nich prawdy i wiedzy, za to pojawiało się dużo przymiotników – wspaniały, wielki, niedościgniony. Najbardziej mnie zaskoczyło to, że prawie wszyscy pisali o nim dość familiarnie – Jurek. Tak jakby się znali z nim od lat, a przecież w większości przypadków tak nie było. W środowisku wspinaczy wszyscy mówili sobie na „ty", ale autorami tekstów byli obcy ludzie, którzy często nigdy w życiu nie widzieli Kukuczki na oczy. Dosłownie kilka artykułów okazało się naprawdę dobrych. Nie tylko przypominających drogę Jurka do wielkiej wspinaczki, ale napisanych fachowym językiem z dużą dozą pokory wobec jego wyczynów.

Te wycinki mam do dzisiaj. Czasem do nich sięgam, nie żeby je gdzieś wykorzystać, ale przypomnieć sobie, jak wielkie było wtedy zainteresowanie tą wyprawą, a wszystko za sprawą jednego człowieka. Jerzego Kukuczki.

Pamięć

W ciągu tych trzydziestu lat od śmierci Kukuczki ukazało się wiele wartościowych publikacji, książek i filmów o jego drodze wspinaczkowej. Szczególnie ważna jest dla mnie książka dwóch fajnych facetów z „Gazety Wyborczej", Dariusza Korotki i Marcina Pietraszewskiego, *Kukuczka. Opowieść o najsłynniejszym polskim himalaiście*, wydana w 2016 roku. Nie

dość, że bardzo rzetelnie napisana, z dobrą dokumentacją, to jeszcze przywołuje informacje z jego życia na nizinach. Otrzymałam ją od autorów w podziękowaniu za spotkanie i wywiad, który robili ze mną w trakcie zbierania materiałów do swojej książki.

Przy każdej okrągłej rocznicy śmierci Jurka telewizja pokazuje filmy. Nie ma ich zbyt wiele, ale te, które są, dość dobrze przedstawiają jego wspinaczkową drogę.

Ja każdego roku 24 października pilnuję, by ukazywały się o nim jakieś wspomnienia. Na jedną z rocznic śmierci Jurka z większości niepokazywanych wcześniej ujęć filmowych skleiłam felieton zatytułowany *Kukuś*, a dokładnie dziesięć lat później przygotowałam filmowy kolaż pod tytułem *Kukuś – 10 lat później* (1999, retrospektywne spojrzenie na materiały z Jurkiem w tle z mojego dorobku realizacyjnego).

W owej Jurkowej pamięci rocznicowej nie byłam sama, każdego roku bowiem Walenty Nędza z uporem maniaka pamiętał i dbał o organizację spotkań pamięci Jurka połączonych z mszą świętą (park Kościuszki – Katowice), a Maria Szul, fantastyczna dziennikarka radia BiS, a potem radiowej Dwójki, niezwykle zaangażowana w tematykę górską, nagrywała rocznicowe audycje, wywiady i wspomnienia (audycja z 23 października 2009 na dwudziestą rocznicę jest nadal dostępna w archiwum radiowym).

Od niedawna w mediach pojawiają się wzmianki także o urodzinach Jerzego Kukuczki. I dobrze. Bo może trzeba zmienić ten sensacyjno-katastroficzny trend. Pamiętajmy o jego życiu, sukcesach wspinaczkowych, dobrych chwilach na wyprawach, a nie tylko o śmierci.

Po powrocie z wyprawy zrobiłam film dokumentalny *Lhotse ’89* właśnie z tej ekspedycji. W 1991 roku zrealizowałam swój ostatni górski film – *Annapurna ’91*, z wyprawy na południową ścianę Annapurny. Materiały o górach robiłam oczywiście nadal, ale zwykle był to odzew na sygnał od wspinających się kolegów – „zrób, bo się na tym znasz, to jest ważne wydarzenie i warto podać je lege art”. Taka powinność zawodowa.

Nie było w mojej decyzji żadnej symboliki. Po prostu uznałam, że skończyła się pewna epoka, moja misja uległa zakończeniu i czas zająć się innymi tematami. Innymi wyzwaniami zawodowymi, choć w dalszym ciągu związanymi z telewizją.

Od ponad dwudziestu lat prowadzę zajęcia ze studentami, głównie z organizacji produkcji i reżyserii na różnych uczelniach filmowych. Co to ma wspólnego z Kukuczką? Gdy przerabiamy materiał o kręceniu zdjęć w trudnych warunkach, czasami zadaję im pytanie, czy wiedzą, kto to Jerzy Kukuczka. Wiedzą, ale z roku na rok jest ich coraz mniej. Na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego (który sama skończyłam) studenci

wiedzą o Kukuczce sporo, bo to Katowice. Ku mojemu zdziwieniu – w Warszawskiej Szkole Filmowej też. Zaś w łódzkiej Filmówce bywa różnie. Pomyślałam więc kiedyś, że może książka da im wiedzę o fajnych ludziach, wspinaczach, którzy czasem niechcący mogą stać się naszymi idolami, udowadniając, że ich pasja może być dla nas natchnieniem twórczym w wielorakich dziedzinach.

Dziękuję moim przyjaciołom z wyprawy na południową ścianę Lhotse. Te trzy miesiące były dla mnie nie lada doświadczeniem, wielkim wyzwaniem i fantastyczną przygodą. Były również niebanalną nauką, jak kręcić filmy w wysokich górach.

Przez wiele lat zastanawiałam się: co by było, gdyby… Gdyby wszystko zakończyło się sukcesem, a Jurek pokonałby tę cholerną ścianę. Byłaby wielka radość. Powrót do kraju, a tu po raz nasty przez krótką chwilę owacje na stojąco. Czy zrezygnowałby ze wspinania? Wątpię. Miał już kolejne plany, kolejne wielkie ściany, kolejne marzenia. Ale czy ma sens zastanawiać się, co by było, gdyby…? Ciągle myśleć i wracać do wspomnień? Ma. Bo nie da się zapomnieć tego, co przeżyliśmy. Nie da się też zapomnieć o Kukuczce.

Uboga, ale piękna flora na lodowcu.

Elżbieta Piętak

Młynki modlitewne mani mogą mieć różne rozmiary. Ten jest wielkości dorosłego człowieka.

Dariusz Piętak

Wypadek

Wydaje się, że samo miejsce i szczegółowe okoliczności wypadku na południowej ścianie Lhotse nie doczekały się jak dotąd wystarczającego opracowania. Zbyt wiele jest niewiadomych i detali technicznych wynikających choćby z samego know-how wspinania, by można było jednoznacznie wskazać na przyczynę i przebieg wypadku. W relacjach autoryzowanych najczęściej pojawia się informacja o dwóch hakach przelotowych i linie długości około 70–80 metrów łączącej wspinaczy. To wydaje się pewne. Pewne wydaje się również i to, że wspinacz tej klasy co Ryszard Pawłowski miał założone dolne stanowisko i był w nie wpięty. Czy Jerzy Kukuczka wbił owe dwa haki przelotowe, czy może wykorzystał – czynnie lub nie – zastane w ścianie po poprzednim zespole? Tego już nie wiemy na pewno. Z kolei Artur Hajzer opisał końcowy kominek jako bardzo trudny do asekuracji – na tyle trudny, że zrezygnował z jej osadzenia i, jak sam napisał, „poszedł va banque” (bez osadzenia punktów przelotowych). Himalajska Baza Danych wzmiankuje o publikacji Krzysztofa Wielickiego, który podaje informację, że Kukuczka odpadł 5 metrów poniżej miejsca biwaku (8300 metrów) jego i Hajzera z 1987 roku. Na tej podstawie można przypuszczać, że chodzi o ten sam kominek (trudne asekuracyjnie zacięcie), o którym pisał Hajzer.

Jerzy Kukuczka zginął na Lhotse

25 bm. z Nepalu do Polski dotarła wiadomość o tragicznym wypadku w Himalajach; 24 bm. pod wierzchołkiem Lhotse (8511 m) zginął Jerzy Kukuczka — najwybitniejszy polski himalaista i jeden z największych zdobywców himalajskich szczytów.

Według niepełnych jeszcze informacji, wypadek nastąpił we wtorek rano, kiedy to Kukuczka i jego partner Ryszard Pawłowski wspinali się powyżej 8300 m w szczytowej partii południowej ściany Lhotse. Kukuczka najprawdopodobniej zginął na miejscu; Pawłowskiego sprowadzają w dół koledzy ubezpieczający zespół szczytowy. (PAP)

WANY POLSKI

0137-9224
PL ISSN
Nr indeksu 35032

ODZNACZONY ORDEREM SZTANDARU PRACY II KLASY

Ukazuje się od 1945 r. Czwartek, 26 X 1989 r. Nr 250 (13 549)

Marcin Klaban

W 1990 roku podczas wyprawy rosyjskiej na wysokości około 8300 metrów znaleziono stare haki, których pochodzenie określono jako *polish gear* (polski sprzęt), a samo miejsce jako ślad (artefakt) drogi Ryszarda Pawłowskiego ze wspinaczki z Jerzym Kukuczką w 1989 roku, którą zakończył śmiertelny wypadek tego ostatniego. Znaleziono też zawieszone kawałki liny (nie wiadomo – resztki, fragmenty, pętle?).

Obecność owego haka miała jakoby potwierdzić samotne przejście Słoweńca Tomo Česena w kwietniu 1990, jednak droga jugosłowiańska, którą teoretycznie poruszał się Česen, nie przebiega w sąsiedztwie drogi polskiej. Fakt ten, jak również relacja Osamu Tanabego z późnojesiennego przejścia Japończyków (droga japońska), wyklucza hipotezę, że hak (haki) należały do Česena. Zdaniem Siergieja Bierszowa droga Česena nie została przez niego ukończona wejściem szczytowym, a dla

samotnego wspinacza jest to niemal niemożliwe w tej linii. Tak więc kolejny dowód na przejście Česena został obalony. Česen po wielu latach milczenia w 2015 roku ponownie zaczął bronić swojej wersji, publikując kolejną wersję polemiki z interlokutorami. Wątpliwości jednak nie tyle pozostały, co uległy jeszcze większej eskalacji.

Wydaje się, że znalezione artefakty potwierdzają miejsce lokalizacji wypadku Jerzego Kukuczki i rzucają światło na hipotetyczny przebieg tego zdarzenia, choć trudno jednoznacznie stwierdzić, czy hak (haki) to artefakty z tego konkretnie przejścia. Wiadomo bowiem, że Hajzer i Wielicki również stosowali asekurację z przelotów, asekurując się na sztywno[*].

Cytat z Lhotse South Face – The Wall of Legends Edwarda Morgana:

> Członek zespołu rosyjskiego z 1990 roku, Ukrainiec Giennadij Kopiejka (Геннадий Копейка), potwierdził mi ostatnio, że znalazł haki około 150–200 metrów poniżej szczytu, ale na pewno nie znajdują się one na trasie Česena. Kopeika uważa, że zostały one prawdopodobnie pozostawione przez Kukuczkę i Ryszarda Pawłowskiego, gdy ten pierwszy poniósł śmierć podczas próby w poprzednim roku. Z lokalizacji tych haków wynika, że jedynymi osobami, które mogły je zostawić, byli Polacy Krzysztof Wielicki i Artur Hajzer, którzy poszli tą samą drogą w 1987 roku. Informacja przekazana przez Kopiejkę została pierwotnie opublikowana tylko na łamach rosyjskiego portalu wysokogórskiego, tak więc wiele osób nie wiedziało, że widział on haki.

Relacja Kopiejki:

Kolejna trudna część grani na wysokości 8350 metrów, zdecydowaliśmy się pójść w prawo wzdłuż stromej skalnej ściany. Niespodziewanie natknąłem się na skałę, gdzie były wbite haki i zawieszone kawałki liny. Zdaliśmy sobie sprawę, że było to miejsce zeszłorocznej tragedii. Na tę wysokość na południowej ścianie Lhotse był w stanie dotrzeć tylko słynny polski wspinacz Jerzy Kukuczka, który w tym miejscu poślizgnął się i poleciał w przepaść.

Morgan:

Tak więc haki, które widział Kopiejka, prawdopodobnie były na stanowisku, z którego Ryszard Pawłowski asekurował, a więc nieco poniżej wysokości, z której spadł Kukuczka.

Istnieje wiele wersji opisu wypadku, które różnią się detalami. Najbliższe oddaniu specyfiki samego wspinania na owym odcinku są chyba te najbardziej lakoniczne, nawet bowiem relacje z pierwszej ręki uczestnika tych wydarzeń Ryszarda Pawłowskiego również różnią się w szczegółach, co w obliczu zaskakującego i nieprzewidywalnego momentu odpadnięcia Kukuczki wydaje się być uzasadnione. Sam moment krytyczny i jego uświadomienie sobie to ułamki sekund. Trzeba nie lada odwagi i wyobraźni, by z punktu widzenia salonowego fotela (tak było w przypadku wielu relacji dziennikarskich) pokusić się o analizę owego mgnienia oka.

W roboczym, nieopublikowanym w tej postaci materiale do przygotowywanego opracowania Bohaterowie południowej ściany nieżyjący już Artur Hajzer (jedna z czterech osób

znających ścianę powyżej Bariery, które wspinały się w miejscu, gdzie nastąpił wypadek), napisał:

> Godzina 8 rano 24 października. Jerzy Kukuczka i Ryszard Pawłowski wyruszają z namiotu szturmowego z zamiarem zdobycia szczytu. Choć pogoda jest wyjątkowo dobra, ryzyko nadal pozostaje skrajne. Zazwyczaj w górnych partiach, na wysokości, na której znajdowali się Pawłowski i Kukuczka, teren staje się łatwiejszy i często bywa tak, że alpiniści idący razem wcale nie muszą się asekurować. To jednak było Lhotse i tu sytuacja była całkowicie odmienna. Z punktu, w którym znajdowali się wspinacze, opadało w dół trzykilometrowej długości niemal pionowe urwisko.
>
> Decydują się użyć długiej, osiemdziesięciometrowej liny. Jest jednak bardzo cienka – ma zaledwie siedem milimetrów. Na wysokości 8000 metrów każdy gram ma niezwykłe znaczenie. W pewnym sensie to bardzo skąpa forma asekuracji, jednak w obliczu pionowej ściany, której do tej pory nie udało się przejść absolutnie nikomu, nawet cienka nić wydaje się dawać poczucie bezpieczeństwa.
>
> Pawłowski asekuruje, pierwszy idzie Kukuczka. Porusza się szybko i pewnie, jak zwykle. Udaje mu się pokonać najtrudniejszy odcinek, do łatwego miejsca zostało już tylko kilka metrów. Lina zbliża się ku końcowi, wspinaczy dzieli zatem mniej więcej 70 metrów. Między nimi założone dwa przeloty. Kukuczka wydaje się sięgać już ośnieżonej grani. I nagle, niespodziewanie zaczyna się osuwać. Najpierw wolno, pierwszy punkt nie zadziałał, powinien zadziałać drugi. Nie zadziałał, zsuwa się coraz szybciej, obija się

o skały. Gdy spada poniżej stanowiska asekuracyjnego, Pawłowski zamiera. Nie ma szans, by stanowisko wytrzymało. Nagle jednak cienka lina pęka, przecina ją krawędź skały. Oniemiały, jeszcze ciągle czekający na potężne szarpnięcie, spogląda w przepaść – pionową, trzykilometrową otchłań. Jedynym dochodzącym do niego dźwiękiem jest brzęk obijającego się o skały czekana[**].

Jerzy Kukuczka zginął w Himalajach

Ściana, na której giną Polacy

Gazeta ROBOTNICZA

Marcin Klaban

Zapis Artura Hajzera z przejścia wzmiankowanego fragmentu ściany[***]:

28 października [1987] rano opuściliśmy obóz. Choć było mroźnie, może jakieś 25–30 st. C poniżej zera, to jednak pogoda nie była najgorsza. Szybko doszliśmy do końca lin i rozpoczęliśmy wspinaczkę w skale.

Szło to bardzo opornie, ale do przodu. Prowadził Krzysiek [Wielicki – przyp. red.], wspinał się na długość całej 100-metrowej liny. Najwięcej kłopotu miał z asekuracją. Co parę metrów wbijał haki, ale widać było, że każdy z nich jest dość słaby. Był jednak wyżej i za sobą zostawiał jeden próg po drugim. Na trzecim, chyba najtrudniejszym, skalne trudności trochę go przyblokowały, wtedy nie przejmując się niczym

zdjął rękawiczki i kolejnych chwytów łapał się pewnie gołymi palcami.

To się nie może skończyć dobrze – pomyślałem wtedy, Krzysiek bowiem w poszczególnych fragmentach wspinaczki nie używał już rękawiczek aż do końca dnia. Jeszcze dziś nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że nie nabawił się wtedy nawet najmniejszych odmrożeń.

Idąc po założonej przez Wielickiego linie do góry, zauważyłem wystające spod śniegu resztki sprzętu Kukuczki i Rafała [z 1985 roku – przyp. red.]. To chyba troszkę nas przyhamowało. Po dojściu, jak ocenialiśmy, do połowy Bariery zjazdami wycofaliśmy się do „szóstki”.

Byliśmy zadowoleni z naszych postępów. Zdecydowaliśmy, że następnego dnia weźmiemy ze sobą maszynkę butanową na wypadek biwaku i będziemy próbować wspinać się aż do szczytu.

Tak też zrobiliśmy. W połowie Bariery, tam, gdzie kończyły się założone dzień wcześniej liny, byliśmy około 8.00 rano.

Teraz kolej na prowadzenie wypadła na mnie. Było tego w sumie pięć pełnych, czterdziestometrowych wyciągów różnego terenu. Najwięcej problemów sprawił mi pionowy, szklisto-lodowy kominek, gęsto poprzetykany skalnymi odłamkami. Ani jednej szczeliny na hak, lód zbyt cienki, aby wkręcić śrubę. Poszedłem va banque, choć nigdy wcześniej w górach mi się to nie zdarzyło. Nawet Krzyś się zdziwił.

Najważniejsze, że około piętnastej Bariera była już za nami. Teraz Lhotse zaczęła grać z nami nie fair. Ledwo

zdążyliśmy zobaczyć wierzchołek i teren, jaki prowadzi w jego kierunku, kiedy nagle wokół nas wszystko opatuliła gęsta mgła i zaczął wiać porywisty wiatr. Nie bardzo wiedzieliśmy, co powinniśmy w takiej sytuacji zrobić. Liny się skończyły, a my nie znaliśmy kierunku, w którym należało się dalej wspinać. Rozsądek nakazywał odwrót do „szóstki” na jeszcze jedną noc. Byliśmy na wysokości 8300 metrów.

Łódź, piątek 27, sobota 28 i niedziela 29 października 1989 r.

EXPRESS ilustrowany

MAGAZYN

Nr 210 Cena 150 zł (Wychodzi od 1946 r.)

PO ŚMIERCI J. KUKUCZKI

Marcin Klaban

Krzysztof Wielicki, relacja o południowej ścianie Lhotse****:

Południową ścianę Lhotse próbowałem przejść trzykrotnie: w latach 1985, 1987, 1989. Jako Polak mam do niej stosunek równie emocjonalny, jak Niemcy do Nanga Parbat. Dwa razy byłem bardzo blisko szczytu. W 1985 roku wraz z Mirkiem Falco Dąsalem, Walkiem Fiutem i Arturem Hajzerem wyszliśmy na grań (8250 metrów) chyba zbyt nisko i musieliśmy zrezygnować.

W 1987 roku wraz z Arturem Hajzerem wyruszyliśmy do ataku szczytowego z obozu na wysokości 7800 metrów. Po trzech dniach wspinaczki weszliśmy na grań na wysokości 8300 metrów. Decyzja o odwrocie zapadła po spędzeniu w jamie śnieżnej bardzo ciężkiego biwaku przy huraganowym wietrze. Odwrót był równie trudny, co wspinaczka w górę. Mieliśmy nadzieję, że jeśli zdołalibyśmy wejść na szczyt, zeszlibyśmy na stronę zachodnią do bazy pod Everestem. Niestety, musieliśmy zjechać ścianą trzy kilometry w dół.

W 1989 roku do udziału w wyprawie na tę ścianę zostaliśmy zaproszeni przez Reinholda Messnera. W składzie wyprawy była międzynarodowa elita ówczesnego himalaizmu. Lecz mimo to nie udało się zrealizować wymarzonego planu. Zamiast kolektywnej współpracy, która w przypadku tak potężnej ściany jest konieczna, zbyt wiele było na tej wyprawie gwiazdorstwa, a także prywatnych gier. Dream team Messnera niestety nie zagrał najlepszego meczu.

Więcej już tam chyba nie pójdę – myślałem – uważałem, że nie warto. Gdyby Rosjanie [w 1990 roku – przyp. red.] nie przeszli ściany, to może należałoby pokusić się o zweryfikowanie wejścia Česena. Znałem już na niej każdy kamień. Jest tam zbyt niebezpiecznie, aby ryzykować w celu powtórzenia czegoś, co już zostało zrobione przez kogoś innego. Mam w sobie coś takiego, co w przypadku podejmowania nowych wyzwań jest dla mnie motorem napędowym. Na południowej ścianie Lhotse to „coś” już nie działa. Więc po co się tam pchać?

Najważniejsze wyprawy na południową ścianę Lhotse od 1989 roku

1989 – Jesienna wyprawa polska, kierownik Jerzy Kukuczka. Wyprawa wspina się drogą polskich prób, a w kotle podszczytowym linią Hajzera i Wielickiego z 1987 roku. Powyżej kotła zespół: Jerzy Kukuczka i Ryszard Pawłowski, wspinając się w stylu alpejskim, osiąga wysokość niemal biwaku z roku 1987. W końcowej fazie przejścia terenu skalno-lodowego na wysokości około 8280–8300 metrów (brak altymetru) Kukuczka traci jednak równowagę i, odpadając, zrywa linę łączącą go z Pawłowskim. Ponosi śmierć, spadając do podstawy ściany.

1990 – Wiosenna wyprawa Słoweńca Tomo Česena, który ogłosił swoje wejście na szczyt południową ścianą drogą jugosłowiańską z 1981 roku. Przejście ze względu na brak jednoznacznej relacji, fotografii i innych dowodów uznaje się za mało prawdopodobne, kontrowersyjne i mało wiarygodne.

1990 – Wyprawa radziecka. Wspinaczka nową drogą filarem centralnym od dołu. Siergiej Bierszow i Władimir Karatajew nieco powyżej biwaku polskiego z 1987 roku wyszli na wysokość około 8350 metrów, skąd po lekkim obniżeniu się zjechali z ostrza filara do żlebu-zacięcia, którym po kolejnym dniu wspinaczki weszli na szczyt. Południowa ściana Lhotse została zdobyta. Rosjanie korzystali podczas wejścia z tlenu w czasie biwaku na 8300 metrach i być może wyżej. Poprowadzili środkiem ściany bardzo elegancką w formie linię bliską

direttissimie. Członkowie ekspedycji ocenili trudności ściany jako niemożliwe do pokonania przez samotnego wspinacza.

1990 – W tym samym czasie co Rosjanie działał mały zespół francuski: Christophe Profit i Pierre Béghin. Francuzi wspinali się centralnie, na prawo od filara centralnego do kotła podszczytowego, gdzie łączyli się z drogą polską. W kotle na około 8000 metrów trudności i warunki pogodowe zmusiły ich do odwrotu.

Ryszard Pawłowski o dramacie na Lhotse

„PERSPEKTYWY" NR 43 • 8 GRUDNIA 1989 ROKU

Pozostały mu trzy, może cztery metry...

Ta wyprawa miała wszelkie szanse powodzenia. Kiedy 21 października Jerzy Kukuczka i Ryszard Pawłowski założyli VI obóz na wysokości 7850 metrów, pogoda była wymarzona do wspinaczki. Po dwóch dniach dotarli na wysokość około 8300 metrów. Do szczytu Lhotse (8511 m) pozostało im już niewiele metrów.

Rzucili namiot na śnieżną półkę pod skalną barierą wysokości około 70 metrów. To był najtrudniejszy odcinek do pokonania. Dalej rozciągała się już tylko śnieżna grań dużo łatwiejsza pod względem technicznym. Gdyby pokonali te 70 metrów, mogliby się już cieszyć zdobyciem niepokonanej południowej ściany Lhotse.

– Byliśmy pewni, że uda się nam przebyć tę ścianę – wspomina Ryszard Pawłowski. – Spaliśmy bardzo wysoko w namiocie, w śpiworach i wyszliśmy wypoczęci. Wydawało się, że dopisuje nam szczęście, ponieważ ustał silny wiatr, który w poprzednich dniach wył jak odrzutowiec. Właśnie z powodu tego porywistego wiatru załamały się dwie poprzednie polskie wyprawy w latach 1985 i 1987. Na obniżenie wysokości co my byli już Krzysztof Wielicki i Artur Hajzer, nie mogli jednak przypuścić decydującego szturmu.

24 października wstaliśmy około 5 rano. Zaczęliśmy się krzątać w namiocie. Przygotowaliśmy jedzenie, ugotowaliśmy herbatę. Dużo piliśmy: trinsy, lekko gazowane napoje z dodatkiem minerałów i mikroelementów, kawa Inka... Na tej wysokości to bardzo istotna sprawa. Około 8 wyszliśmy z namiotu i zaczęliśmy się wspinać. Kukuczka pierwszy, ponawał się szybko. Do pokonania grani, za którą był już łatwiejszy teren, pozostały mu trzy, może cztery metry...

Nagle usłyszałem krzyk. Jurek odpadł od ściany. Przeleciał kilkadziesiąt metrów. Nie wiem, być może instynktownie odruchowo się. Lina nie wytrzymała długiego, prawie stumetrowego lotu. Pękła. Jurek poleciał dalej w dół.

Nie mogłem o tym wypadku zawiadomić bazy, ponieważ radiotelefon miał Jurek. Używając jedynej liny, jaka pozostała, zacząłem wyczyfrować się skalną barierą, którą pokonaliśmy poprzedniego dnia. Nie zdążyłem jednak dotrzeć do ostatniego obozu. Noc musiałem spędzić na półce, którą wykopałem w lodzie i śniegu. Następnego dnia o świcie zacząłem schodzić jeszcze niżej i dopiero wtedy dostrzegli mnie przez lornetkę koledzy z wyprawy. Przy ich pomocy dotarłem do V obozu, a potem do bazy.

– Co było powodem upadku Kukuczki?

– Nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie, byłem bowiem kilkadziesiąt metrów niżej. Mogę tylko snuć przypuszczenia. Być może poślizgnął się, ukruszyła się skała. Nie można również wykluczyć, że rozluźnił się, otworzył karabinek. Miał przed sobą przecież jeszcze trzy, cztery metry, dalej nie byłoby już problemu.

Kukuczka nie był jednak nowicjuszem, wiedział, że odpowiednie jest jednym z głównych wrogów alpinisty. To było raczej urwanie chwyta, omunięcie się na śniegu.

– Czy zawiodła lina?

– To była bardzo dobra lina, tak zwana polówkowa, włoskiej firmy Camp, jednego ze sponsorów wyprawy. Miała atest UIA. Problem tylko w tym, że powinno się ją było składać podwójnie. Zarówno przy wspinaniu, jak i zejściu. My jednak używaliśmy jej pojedynczo. Chodziło o zwiększenie szybkości wspinania się kosztem ryzyka. Tak ustaliliśmy z Jurkiem.

– I to był błąd...

– W górach wszystko jest dobrze, dopóki jest dobrze. Przystępując do atakuj zabiera się ciepłe ubranie, wiatrochronny, puchowe śpiwory, kuchenkę, jedzenie, butan... Wszystko to jest niezbędne, cała lina to tylko jeden z elementów zwiększających bezpieczeństwo.

Na takiej wysokości, na której byliśmy, liczy się każdy gram, trzeba więc z czegoś zrezygnować. My zdecydowaliśmy się na wzięcie najlżejszego sprzętu, między innymi tej właśnie liny Camp. Zrezygnowaliśmy z drugiej liny tej firmy ważącej około 2,5 kilograma.

– Czy lina, którą asekurował się Kukuczka, wytrzymałaby jego upadek, gdyby była złożona podwójnie?

To bodaj ostatnie zdjęcie Jerzego Kukuczki. Przygotowuje herbatę przed atakiem na skalną barierę, która stanowiła najtrudniejszą przeszkodę na drodze do zdobycia południowej ściany Lhotse.

Marcin Klaban

Ostatnia droga Jerzego

Historia himalaizmu zapisała się wieloma tragicznymi ofiarami, ale wydawało się, że Jerzu nic nigdy złego przytrafić się nie może. Przywykliśmy do niezwykłych wyczynów, które przyniosły mu sławę najwybitniejszego wspinacza ostatnich lat. Fascynowało połączenie niezwykłego talentu alpinistycznego, fizycznej wytrwałości, wewnętrznego zdyscyplinowania, wyobraźni i nadzwyczaj pragmatycznej, trzeźwej oceny własnych możliwości. Pełen odwagi i zawziętego zdecydowania, i ani śladu zgubnej skłonności, typowej dla ludzi gór, których obsesja dotarcia na szczyt popycha często do nierozważnego ryzyka.

Jako himalaista musiał jednak żyć pod wrażeniem śmierci. Cztery kolejne wyprawy z jego udziałem miały tragiczny finał. Zginęli między innymi dwaj jego partnerzy: Andrzej Czok i Tadeusz Piotrowski. On zawsze wychodził cało. Szczyt za szczytem zdobywał w niezwykle błyskotliwym stylu. Za każdym razem była to nowa droga lub pierwsze zimowe wejście. Za każdym razem rzucał wyzwanie bezlitosnym górom. Czy tylko górom?

Podczas wspinaczki wiele rzeczy robi się instynktownie. Mówił zresztą o tym w ostatniej rozmowie drukowanej na naszych łamach. Wiele razy unikał pułapek, bo dawał krok w tę, a nie w inną stronę, nie bardzo wiedząc dlaczego. Ten ostatni, u szczytu Lhotse, okazał się krokiem w niewłaściwą stronę, krokiem fatalnym i ostatnim.

Z suchego i lakonicznego komunikatu agencji prasowej dowiedzieliśmy się, że nie żyje. Zginął podczas ataku szczytowego. Kiedy oddawaliśmy ten tekst do druku, nadal nie wiadomo było, jak to się właściwie stało. Nic ponad to, że runął w przepaść i że jego partner od liny uniknął śmierci. Ci, którzy znali Jerzego bliżej, długo nie dopuszczali myśli o najgorszym. Ktoś tak twardy jak on z pewnością ocalał, za wcześnie nakładać żałobę. Przeczucie ich jednak myliło.

Jerzego Kukuczkę pochowano w szczelinie lodowca u podnóża Lhotse. Przed dziesięcioma laty, właśnie tu, od tego masywu, czwartego co do wielkości szczytu świata rozpoczął swoją błyskotliwą karierę sportową. Uwieńczył ją zdobyciem „himalajskiej korony" – wszystkich ośmiotysięcznych supergigantów. Potrzebował na to siedmiu lat. Wspinaczka, początkowo sposób na spędzenie wolnego czasu, stała się jego właściwym zawodem. Sportowo-komercyjna konwencja raziła co prawda krajowe środowisko alpinistyczne, tradycyjnie pojmujące misterium obcowania z górami, ale w sumie rozgłos towarzyszący sukcesom Jerzego wyszedł tej dyscyplinie na dobre.

Jerzego Kukuczkę gościliśmy w naszej redakcji wiele razy. I wówczas gdy głosami czytelników wybrany został Człowiekiem Roku „Perspektyw" 1987. I w tym roku, gdy uczestniczył w podobnej uroczystości uhonorowania tytułem Człowieka Roku prof. Bogdana Suchodolskiego. Umawialiśmy się, że będzie drukował na naszych łamach swoją książkę.

Choć w himalaizmie osiągnął szczyty marzeń i ambicji, nie odpowiadała mu rola sportowej gwiazdy. Ujmował skromnością i naturalną prostotą bycia. Takim dla nas pozostał, takim będziemy go zawsze pamiętali.

Zespół „Perspektyw"

Przed rokiem, w obozie u stóp Annapurny...

... i w drodze na jej szczyt.

Fot. Archiwum „P"

Jerzy Kukuczka i prof. Bogdan Suchodolski, laureaci dwóch edycji konkursu Człowiek Roku „Perspektyw".

Fot. Jarosław Sedniarczyk

4 PERSPEKTYWY

„PERSPEKTYWY" 3 XI 1989, NR 42

Marcin Klaban

2001 – Wyprawa rosyjska zdobyła środkowy wierzchołek Lhotse Middle (Lhotse East) o wysokości 8414 m n.p.m. i było to pierwsze wejście na dziewiczy dotąd szczyt. Zdobywcami byli: Jewgienij Winogradzki, Siergiej Timofiejew, Aleksiej Bołotow, Piotr Kuzniecow. Po nich weszły w kolejnych dniach jeszcze dwa

zespoły rosyjskie. Wszyscy z użyciem tlenu powyżej 8000 metrów.

2006 – Trzecia już wyprawa zimowa Japończyków kierowana przez Osamu Tanabego. Osiągnięto w grani głównej punkt leżący około 40 metrów deniwelacji poniżej szczytu. Zasadniczo wejście miało miejsce przed rozpoczęciem sezonu zimowego oraz bez wejścia na wierzchołek i nie można go uznać za zimowe, choć sama ściana w znaczeniu przejść alpejskich została pokonana.

2019 – Kolejna, szósta już wyprawa koreańska pod kierownictwem Sung-Taek Honga, który mierzył się ze ścianą południową pięciokrotnie w latach: 1999, 2008, 2013, 2015 i 2017. Każdorazowo przejściu ściany przeszkodziła pogoda. Koreańczy wspinali się swoją drogą (wariantami bliższymi prób francuskich), a jej górny, kluczowy odcinek określili jako kontynuację drogi polskiej („Kukucka route", co jest pewnym błędem semantycznym, bo na ścianie zasadniczo nie można mówić o drodze Kukuczki, choć wiemy, o jaką lokalizację i plan mogło chodzić). Próba zdobycia ściany nie powiodła się.

Południowa ściana Lhotse nadal czeka na czyste sportowo przejście bez tlenu oraz na pierwsze przejście zimowe. Historia się nie kończy i nadal jest to niebanalne wyzwanie.

Mieliśmy ręce chłodne
i buty niewygodne.
A skrzydła nam obrzynał
tępy losu puginał.
I tak się to odbyło:
kres,
koniec,
kropka,
finał.

Wisława Szymborska, *Meblościanka*, lata 70.

* Dyskusję i okoliczności opisanych wydarzeń zamieszczono w książce Edwarda Morgana *Lhotse South Face – The Wall of Legends*, Bee Different Books 2015.

** Źródło: A. Hajzer; z prywatnego archiwum E. i D. Piętaków.

*** Artur Hajzer, *Atak rozpaczy*, Explo, Gliwice 1994.

**** K.Wielicki, polishhimalayas.wordpress.com/tag/lhotse/page/4.

CZĘŚĆ V

Celina

Dawno ze sobą nie rozmawiałyśmy. Ostatnio przed wyprawą. Nie miałam odwagi, by się z nią spotkać po powrocie z Lhotse, choć czułam, że powinnam. Każdy czas wydawał mi się nieodpowiedni. Czekałam na jakiś sygnał, impuls, a może zbieg okoliczności. Odczuwałam niepokój wynikający z niewiedzy, jak obie się zachowamy. Nie chciałam też naruszać miru domowego i rozdrapywać być może zbyt świeżych ran.

Zadawałam sobie pytanie: co chciałabym jej powiedzieć? Czy po prawie czterech miesiącach będę w stanie wrócić do wyprawowych wydarzeń? A może powinnam była zatelefonować zaraz po powrocie? Im więcej na ten temat myślałam, tym więcej pojawiało się wątpliwości. Miałam jednak silne przekonanie, że muszę ją odwiedzić.

Kukuczka z synem. Jurek podarował to zdjęcie autorom wraz z maszynopisem swojej książki *Na szczytach świata*.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

W końcu zadzwoniłam. Słuchawkę podniosła Celina. Przeprosiłam ją, że się nie odzywałam. I zapytałam, czy chciałaby się spotkać. Porozmawiać.

– Jasne, przyjeżdżaj – odpowiedziała krótko. W jej głosie usłyszałam znany mi spokój. I jakby radość, że zatelefonowałam. A może tylko mi się wydawało?

Następnego dnia podjechałam na jedno z katowickich osiedli mieszkaniowych z wielkiej płyty. Drzwi otworzyła mi Celina. Przywitałyśmy się serdecznie, a ja wręczyłam jej kwiatki kupione po drodze – tak się złożyło, że był akurat 8 marca. Na jej twarzy malował się lekki uśmiech. W jednej chwili wszystkie moje wcześniejsze wątpliwości zniknęły.

Tanka jest wiadomością dla osób praktykujących medytację. Ma pomóc w zrozumieniu nauk Buddy. Powinna być pobłogosławiona przez lamę.

Celina spytała, czy jestem głodna, bo przecież przyjechałam prosto z pracy. „Cała ona” – pomyślałam. Odmówiłam, bo i tak nie mogłabym nic przełknąć. Zbyt wiele emocji. Podała więc herbatę i ciasto. Usiadła naprzeciwko mnie. Przez dłuższą chwilę nie mówiłyśmy nic, tylko patrzyłyśmy na siebie.

– Dobrze, że przyjechałaś – powiedziała.

– Nie byłam w stanie zrobić tego wcześniej – odparłam.

Doskonale to rozumiała.

Najgorszy był moment, gdy zobaczyła w drzwiach Krzysztofa Wielickiego i Janusza Majera. Słowa były zbędne, wiedziała już wszystko. Znała przecież przypadki, gdy kolega Jurka ginął na wyprawie i należało zawiadomić rodzinę. Wiedziała, jakie to trudne: jechać do bliskich i powiedzieć, że syn, mąż został na zawsze w górach. Wyobrażała sobie, co musieli czuć. Ale wyobrażać sobie to jedno, a doświadczyć tego osobiście to zupełnie inna sprawa.

Celina powiedziała, że nic nie przeczuwała. Miała taki niepokój jak zawsze, kiedy wyjeżdżał. Przez tyle lat wiedziała, że ten niepokój minie dopiero, gdy Jurek wróci. Opowiedziałam jej swoje omamy. Widziałam go w bazie.

– Celina, przecież nie zwariowałam! – rzuciłam cicho.

– A ja nic – odrzekła spokojnie.

Zaczęłam opowiadać o ostatnich dniach wyprawy. Jurek cały czas miał nadzieję, że wejdzie. Powtarzał, że do trzech razy sztuka, że na początku długo była zła pogoda i denerwował się, że nie mogą się wspinać, ale jak w końcu pogoda dopisała, to nadzieja wróciła. Nagle Celina mi przerwała

i zaczęła mówić o filmie. Oglądała go w telewizji i dzięki temu trochę wiedziała o wyprawie.

Potem wyszła na chwilę i przyniosła zdjęcia. Zaczęłam je oglądać i nagle zorientowałam się, że to wcale nie były fotografie Jurka z wypraw. To były ich zdjęcia rodzinne. Ona, Jurek i ich synowie. Poczułam się wyróżniona.

Wyjęłam z torebki zdjęcia z wyprawy, które ze sobą wzięłam, choć nie wiedziałam, czy Celina w ogóle będzie chciała je oglądać. Chciała. Tłumaczyłam jej, kto na nich jest i kiedy zostały zrobione. Zdjęć Jurka było sporo. Przy kolejnym nie wytrzymałam i łzy same zaczęły mi płynąć po policzkach. Ona też miała łzy w oczach. Aż w końcu obie się rozpłakałyśmy. Zaczęłam ją przepraszać, że się tak rozkleiłam, a ona mnie pocieszała. Choć wiedziałam, jak jest jej ciężko, bo została sama z dwoma małymi synami, ale przede wszystkim z powodu niezagojonych jeszcze ran, to widziałam przed sobą silną kobietę, która na pewno sobie poradzi.

Byłam jej wdzięczna za to spotkanie.

Elżbieta Piętak

CZĘŚĆ VI

Posłowie

Do napisania tej książki namówiła mnie Alicja.

To niezwykła osoba. Zapytała mnie kiedyś: ,,Możesz mi powiedzieć, co jest takiego fascynującego we wspinaniu? Bo ja tego zupełnie nie rozumiem”. Sama ma wiele pasji i jest bardzo tolerancyjna, zatem wiedziałam, że pewnie nie chce moich egzaltowanych wywodów o mistyce gór, ponieważ takiego bredzenia naczytała się pewnie tyle samo co ja. Za to wiedziałam, że szanuje moją pasję, bo znamy się ponad 25 lat.

Alicja jest wybitną dziennikarką i pisarką. Przeprowadziła setki wywiadów z najwspanialszymi ludźmi z całego świata. Ale wywiad z nią, wiele lat temu, przeprowadziłam ja.

Praca była moją fantastyczną przygodą. Całe zawodowe życie spędziłam w telewizji. Byłam dziennikarką, producentką filmów, reportaży, widowisk telewizyjnych, później zaś objęłam stanowisko kierownicze. Kiedyś wymyśliłam cykl programów studyjnych zatytułowany *Planeta zawodowców*. I właśnie do tego programu zaprosiłam Alicję Resich-Modlińską.

Z Alicją Resich-Modlińską podczas realizacji programu *Planeta zawodowców*.

Prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

To ona namówiła mnie do napisania książki. Podarowała mi rzecz bezcenną – radość pisania jako bezpośredni asumpt, by coś z tym zrobić. Z tym, czyli z moim sztambuchem wyprawowym, o którym Darek całe lata powiadał: „Zrób z nim coś – opracuj, skomentuj, wydaj lub spal albo schowaj głęboko, żeby się nie zgubił”. Tak zrobiłam. Schowałam go na wiele lat.

Ganeśa, bóg z głową słonia. Według mitologii indyjskiej bóg mądrości i sprytu. Usuwa wszelkie przeszkody i zapewnia pomyślność w różnych przedsięwzięciach.

Marcin Klaban

Tybetańskie noże khukri i młynek modlitewny. Khukri stanowi uzbrojenie Ghurków. To również wielofunkcyjny nóż użytkowy.

Marcin Klaban

Pomocną dłoń podczas pisania książki podały nam jeszcze dwie osoby z Telewizji Katowice: Hanna Suchorabska i Krzysztof Toboła.

Hanusia, jedna z najlepszych naszym zdaniem kierowniczek produkcji, przypominała o ważnych programach telewizyjnych, nazwiskach występujących osób, dawała wsparcie: „Pisz, pisz, to ważne, żeby to gdzieś przeczytać”.

Krzysztof Toboła to najlepszy archiwista telewizyjny w Polsce. Przekopywał dla nas swoje niezwykle skrupulatnie ułożone archiwum taśm filmowych w poszukiwaniu tych, które mogą przydać się do książki. Oglądaliśmy zatem obrazki sprzed trzydziestu i dwudziestu paru lat, a one rozświetlały naszą pamięć.

Szczególne podziękowania należą się naszym redaktorkom wydawniczym.

Redaktor prowadzącej Małgosi Zemście, która z ogromną atencją czuwała nad całością prac wydawniczych.

Basi Żukowskiej, która zajęła się opracowaniem redakcyjnym książki, bacznie pilnując zakonnej reguły jej powstawania. Jej bezcenne uwagi nadały książce ludzką twarz.

Warszawa, Amsterdam, Podzamcze 2019

Dariusz Piętak

Elżbieta Piętak

główny autor dziennika himalajskiego z Lhotse ’89

Z wykształcenia dziennikarka telewizyjna – z trzydziestosześcioletnim stażem – i politolog; producent telewizyjny, publicystka. Studiowała na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego oraz podyplomowo dziennikarstwo międzynarodowe. Pracowała w Telewizji Polskiej, pełniła funkcję dyrektora Agencji Produkcji Audycji Telewizyjnych TVP Warszawa. Wykładowca na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego, w Łódzkiej Szkole Filmowej, Akademii im. Leona Koźmińskiego w Warszawie i Warszawskiej Szkole Filmowej. Dyrektor do spraw Realizacji Telewizji Polsat.

Dyrektor artystyczna Festiwalu Filmów Górskich w Katowicach (1990), członek jury i uczestnik: Festiwalu Filmów Eksploracyjnych i Przyrodniczych w Hakubie w Japonii, Festiwalu Filmów Eksploracyjnych i Sportowych w Banff w Kanadzie, Festiwalu Filmów Speleologicznych i Etnograficznych w La Chapelle-en-Vercors we Francji, Festiwalu Chopinowskiego im. George Sand w La Châtre we Francji oraz Międzynarodowego Festiwalu Filmów i Programów Telewizyjnych w Płowdiwie w Bułgarii.

Za swoją twórczość filmową otrzymała nagrody: Festiwal Filmów Górskich w Antibes we Francji: Honorable Trophy 1989; nagrodę specjalną festiwalu w Teplicach nad Metují 1990.

Z zamiłowania pierwsza w Polsce skoczek na paraglajcie, eksploratorka górska. Uczestniczka wypraw w Himalaje Nepalu: Lhotse (8511 m) i Annapurnę (8091m).

Elżbieta Piętak

Darek Piętak

część historyczno-geograficzna i bodyguard autorki

Wspina się od ponad czterdziestu lat. Autor dróg skalnych: skałki – autor ponad 150 nowych dróg autorskich w Tatrach, Alpach Julijskich, Alpach Kamnickich, Dżabal Azurki, w kanionie Todra, na Wraczanskiej płaninie i w Alpach Albańskich-Prokletije. Uczestnik wypraw himalajskich na szczyty ośmiotysięczne: Dhaulagiri i Annapurnę. Eksploracja Svalbardu – Spitsbergen – Hornsundtind – Sørkapp.

Grotołaz i wspinacz skalny ukierunkowany eksploracyjnie. Uczestnik ponad czterdziestu wypraw, głównie jaskiniowych, w góry wielorakie. Odznaczony Srebrnym Medalem za Wybitne Osiągnięcia Sportowe (eksploracja jaskiniowa Apeninu Abruzyjskiego), wyróżnienie „Kolosy”(eksploracja jaskiń Papui-Nowej Gwinei), Premio di San Benedetto (odkrycia jaskiniowe w Complesso del Foran del Muss). Działał w czołówce ówcześnie najgłębszych jaskiń świata, m.in.: Réseau Jean-Bernard (–1602), Pierre Saint-Martin (trzy wyprawy) i Lamprechtschoffen. Kierował przejściami sportowymi: Pierre Saint-Martin – trawers w zespole dwójkowym z poręczowaniem bez wsparcia – 1024 m (–1342 m) – Gouffre Soudet (–1166); Abisso Olivifer – 1211 m.

Publicysta i fotografik jazzowy. Członek Jazz Journalists Assiociation. Wraz z Elżbietą Piętak organizator pierwszego w Polsce kursu paraglajtowego (1989, Klub Wysokogórski Katowice). Wnuk legionisty Piłsudskiego, dumny ojciec i dziadek.

Bibliografia

Bilczewski Adam, *Lhotse czwarta góra Ziemi*, KAW, Katowice 1982.

Dąsal Mirosław Falco, *Każdemu jego Everest*, At Publications, Kraków 1995.

Dobroch Bartek, *Artur Hajzer. Droga Słonia*, Znak, Kraków 2018.

Drożdż Piotr, *Krzysztof Wielicki – Mój wybór. Wywiad-rzeka*, t. 1–2, Góry Books, Kraków 2015.

Hajzer Artur, *Atak rozpaczy*, Explo, Gliwice 1994.

Herzog Maurice, *Annapurna*, Iskry, Warszawa 1960.

Korotko Dariusz, Marcin Pietraszewski, *Kukuczka. Opowieść o najsłynniejszym polskim himalaiście*, Agora, Warszawa 2016.

Kurczab Janusz, *Himalaje Nepalu*, Sklep Podróżnika, Warszawa 2013.

Kurczab Janusz, *Polskie Himalaje 3. Wielkie wspinaczki*, Agora, Warszawa 2008.

Kurczab Janusz, *Polskie Himalaje 5. Największe tragedie*, Agora, Warszawa 2008.

Matthiessen Peter, *Śnieżna pantera*, Czytelnik, Warszawa 1988.

McDonald Bernadette, *Elizabeth Hawley. Strażniczka gór*, Agora, Warszawa 2018.

Morgan Edward, *Lhotse South Face – The Wall of Legends*, Bee Different Books 2015.

Moro Simone, *Kometa nad Annapurną*, Stapis, Katowice 2011.

Piętak Elżbieta, Dziennik – Lhotse 1989, Lhotse BC–Katmandu 1989 – niepublikowany.

Piętak Elżbieta, korespondencje prasowe 1989.

Raj Prakash A., *Kathmandu & the Kingdom of Nepal*, Nabeen Publications, Kathmandu 1990.

Ryn Zdzisław Jan, *Góry. Medycyna. Antropologia*, Medycyna Praktyczna, Kraków, 2015.

Simpson Joe, *Dotknięcie pustki*, Stapis, Katowice, 2011.

Warneńska Monika, *Tam, gdzie bogowie są wiecznie młodzi*, KAW, Warszawa 1984.

Filmografia

Alpiniści, program studyjno-filmowy, TVP1, 12 odcinków, scen. i real. Elżbieta Piętak.

Jurek, reż. Paweł Wysoczański, PISF Silesia Film, 2014.

Kukuczka, reż. Jerzy Porębski, Fundacja Wielki Człowiek, 2011.

Kukuś – 10 lat później, TVP 1999, reż. Elżbieta Piętak.

Kukuś, TVP, 1992, reż. Elżbieta Piętak.

Lhotse ’89, TVP, 1989, reż. Elżbieta Piętak.

Magazyn Góry, Góry, W górach, TVP 1983–1989, scen. i real. Elżbieta Piętak, ok. 140 odcinków, współpraca: Ryszard Warecki, Artur Hajzer, Julian Rachwał, Janusz Uznański.

Paciorki himalajskiego różańca, reż. Wojciech Królikowski, TVP 2014.

Dziennik autorki Elżbiety Piętak z zapiskami z wyprawy Lhotse ’89.

Marcin Klaban

Burda Media Polska Sp. z o.o.
ul. Marynarska 15, 02-674 Warszawa
Dział Handlowy: tel. 22 360 38 41–42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Tekst © 2019 Elżbieta Piętak, Dariusz Piętak

Opracowanie redakcyjne: Barbara Żukowska
Projekt graficzny okładki: Paweł Panczakiewicz PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN® – panczakiewicz.pl
Korekta: erte
Redaktor prowadzący: Małgorzata Zemsta
Redaktor techniczny: Mariusz Teler

Zdjęcia na okładce: Witek Oklek (front); prywatne archiwum Elżbiety Piętak i Dariusza Piętaka

Copyright for Polish Edition © 2019 Burda Media Polska Sp. z o.o.
Licencjobiorca National Geographic Partners, LLC. All rights reserved.

National Geographic i żółta ramka są zarejestrowanymi znakami towarowymi National Geographic Society.

ISBN 978-83-8053-671-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach do przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiejkolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych, również częściowe, tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.burdaksiazki.pl
www.national-geographic.pl
www.kultowy.pl

Na zlecenie Woblink

woblink.com
plik przygotował Marcin Kośka